

RAPORT SPECJALNY „DO RZECZY”:

Czy powódź zmyje Tuska?
Analiza Rafała A. Ziemkiewicza



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 39/597 23-29 WRZEŚNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

**DO
RZECZY**

**Ołeksij Arestowycz: Skuteczna
wobec Kijowa jest polityka Orbána**



**Stylińska: „Równość” płci wbrew
logice i tradycji**

Eskalacyjne gry ministra Sikorskiego

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 46 800 egzemplarzy

**POLSKIE WŁADZE NIE BOJĄ SIĘ
ATOMOWYCH GRÓŻB ROSJI**

api b525c47aea

Przyjaciele Republiki – nowoczesne telewizyjne show publicystyczne bazujące na charyzmie prowadzących. Program, który od pierwszej emisji podbija serca widzów Republiki w luźny i humorystyczny sposób omawiając aktualne tematy społeczno-polityczne. **Poznaj Przyjaciół REPUBLIKI.**

PRZYJACIELE

REPUBLIKI

OD PONIEDZIAŁKU
DO PIĄTKU

5:30

w Republice



 **RepublikaTV**  **@RepublikaTV**  **Telewizja Republika**  **@RepublikaTV**

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: [@Telewizja_Republika](https://www.youtube.com/@Telewizja_Republika)



SKANUJ KOD QR
**WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Siła zewnętrzna i ład

Kiedy człowiek słucha premiera Donalda Tuska, robi mu się i śmieszno, i straszno. Do tej pory najwięcej komentarzy, w tym mój własny, wywołały jego słowa o „demokracji walczącej”. Jednak uwagę powinny przykuć w nie mniejszym stopniu inne rozważania polskiego polityka. Otóż podczas tego samego sławetnego wystąpienia w Senacie, gdzie mówił o demokracji walczącej, Donald Tusk powiedział także: „Nie chciałbym, byśmy my, w Polsce, znaleźli się kiedykolwiek w takiej sytuacji, że siła zewnętrzna będzie niezbędna, żeby zagwarantować nasz ład konstytucyjny. Byłaby to tragedia. Ja dalej będę takie decyzje podejmował z pełną świadomością ryzyka, że nie wszystkie będą odpowiadały kryterium pełnej praworządności”. Przeczytałem je kilka razy i naprawdę nie wiem, co autor miał na myśli.

Przede wszystkim czym jest i na czym polega owa „zewnętrzna siła”, która miałaby „zagwarantować nasz ład konstytucyjny”? Do tej pory politycy PO, na czele z premierem, mówiąc o zewnętrznych siłach, zwykle wskazywali na Rosję. W ich retoryce, nieróżniące się zresztą pod tym względem szczególnie od retoryki PiS, potencjalne niebezpieczeństwo dla Polski może nadciągnąć wyłącznie ze Wschodu i może nim być tylko Moskwa Putina. Jednak nie w tym przypadku. Skoro chodzi o siłę gwarantującą ład konstytucyjny, to nie może chodzić o Rosję.

Jaka zatem inna siła zewnętrzna wchodzi w grę? Czyżby miała to być siła z Zachodu? Nie wydaje się jednak, żeby mogło chodzić o którąkolwiek z zaprzyjaźnionych armii. Bundeswehra z różnych powodów do tej roli się nie nadaje,

podobnie jak francuska Legia Cudzoziemska, a europejska armia, mimo nadziei, którą pokładają w niej niektórzy, jest w powijakach. Czy premier miał na myśli armię amerykańską? Też trudno mi w to uwierzyć, nawet przyjąwszy, że po zwycięstwie, na szczęście mniej prawdopodobnym, pary Kamala Harris i Tim Walz władze w Waszyngtonie z nowym zapałem zabrałyby się do wprowadzania rewolucji aborcyjno-genderowej w państwach sojusznicych.

Amoże „zewnętrzna” oznacza nie z zagranicy, ale z zewnątrz systemu demokratycznego? Mogłoby chodzić o to, że „siła” byłaby nasza, polska, a więc wojsko lub policja, ale jednocześnie „zewnętrzna”, bo cieszyłaby się całkowitym poparciem Zachodu i zachodniego świata, który wystąpiłby po stronie „naszych wspólnych wartości” i widziałby w Tusku, tak jak to już pokazał ambasador USA i komisarze UE, obrońcę praworządności. Wydaje się to prawdopodobne. Słowa Tuska stanowiłyby zatem w pierwszym rzędzie groźbę zwróconą do opozycji: uważajcie, bo mam za sobą tak mocne wsparcie liberałów i lewicy z Zachodu, że gotów jestem użyć siły.

Byłoby to skądinąd logiczne, bo w umyśle premiera, a także jego zwolenników „nasz ład konstytucyjny” to taki ład, w którym nie ma miejsca dla PiS, a na pewno nie ma miejsca dla PiS, który mógłby wybory wygrać i władzę przejąć. W ich oczach rządy PiS to patologia, a wyborcy PiS cierpią na nieuleczalną chorobę, bo zamiast dostrzec to, co im serwują odpowiednie media, a więc niebywałą „skalę straszliwych zbrodni, afer i korupcji, jakiej świat nie widział”,

niczym żona alkoholika dalej chcą głosować na swoich. „Nasz ład konstytucyjny” to ład, gdzie rządzi Tusk z kolegami. Do tego dość osobliwego rozumienia demokracji idealnie pasowałyby inne słowa premiera, a mianowicie przekonanie, że rozlicza on obecnie polityków, którzy nadużyli swojej władzy „w największym stopniu od kilkudziesięciu lat, biorąc pod uwagę całą Europę”. Nie wiadomo jedynie, czy chodzi tu o rozliczenia porównywalne, jak zauważyli niektórzy złośliwie, z Norymbergą czy raczej z reżimami komunistycznymi.

Nasuwać się dalsze wnioski. Pierwszy: Tusk raz zdobytych władzy oddać nie może, bo przecież gdyby to zrobił, upadłby ład konstytucyjny i do władzy wróciłyby siły, które nadużyły jej najbardziej od kilkudziesięciu lat. Utrzymanie się przy władzy jest zatem kwestią ładu konstytucyjnego. Po drugie, co wynika z tej przesłanki, w sytuacji zagrożenia, gdyby miało się okazać, że rozliczenia nie przynoszą spodziewanych efektów, a elektorat PiS dalej chce być ciemieniony i oszukiwany, potrzebne będzie odwołanie się do „siły zewnętrznej”. Po trzecie, w ten sposób Tusk nie tylko grozi przeciwnikom, lecz także mobilizuje swoich. Mówi im: nie ma miejsca na pięknoduchostwo i jęczenie. Tak, naruszę praworządność i nie zawaham się łamać prawa, jeśli to konieczne. A wy macie mnie wspierać, bo tak postanowili moi mocodawcy z Zachodu.

Te wypowiedzi przedstawiciela „demokracji walczącej” mogą wskazywać albo na ciężki stan depresji, albo na faktyczny plan działania. Nie jest jasne, która z tych odpowiedzi jest prawdziwa. ©

TEMAT TYGODNIA

12 ŁUKASZ WARZECHA

GĄSZCZ CZERWONYCH LINII

Oby otrzeźwienie nie przyszło za późno

16 WOJCIECH GOŁONKA

DESPERACJA, CZYLI ESKALACYJNA GRA SIKORSKIEGO



RAPORT SPECJALNY

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CZY POWÓDŹ ZMYJE TUSKA?

Rząd nie podołał wyzwaniu

23 ADAM ZUBEK

PRZEKLĘTA RZKA, PRZEKLĘTA KOTLINA

KRAJ

26 PIOTR SEMKA

POLOWANIE NA ROBERTA KOSTRĘ

Czy ekipa Tuska zwolni dyrektora Muzeum Historii Polski?

29 JAN FIEDORCZUK

PSL SKRĘCA NA PRAWO

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

PRAWICA NA MULTIPLEKSIE

35 ROZMOWA Z TOMASZEM SAKIEWICZEM

DONALD TUSK NAS WZMOCNIŁ

38 ROZMOWA

Z ZBIGNIEWEM BOGUCKIM

KTO NIE JEST PRZECIWKO NAM, TEN JEST Z NAMI

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK

RONNIE ZWYCIĘZCA

Filmowa biografia zwycięzcy zimnej wojny

42 MAREK JUREK

EPOS WYOBCEWANYCH PLEMION

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 LECH MAŻEWSKI

PROGRESYWNA DEMOKRACJA WALCZĄCA

Zwalczanie opozycji

53 MIKOŁAJ IWANOW

TAJNA BROŃ PUTINA

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI

OBJAWIENIOWA OFENSywa WATYKANU

HISTORIA

56 RAFAŁ ŁATKA

HEROICZNY KAPŁAN

Kościół kontra komunizm

ŚWIAT

62 ROZMOWA

Z OŁEKSIIEM ARESTOWYCZEM

POLITYKA ORBÁNA WOBEC KIJOWA JEST SKUTECZNA

Bez waszej pomocy już dawno byśmy przegrali wojnę

66 TERESA STYLIŃSKA

JAK WYWAŻYĆ DRZWI MĘSKIEGO ŚWIATA

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI

FINTECHOWA REWOLUCJA

Współpraca BLIK i Revoluta może ruszyć jeszcze w tym roku

72 ROZMOWA Z ADAMEM ABRAMOWICZEM

PRZEDSIĘBIORCY NIE ODPUSZCZĄ RZĄDOWI OBIETNICY

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK

SPRZĄTANIE DOSKONAŁE

Otoczenie ma znaczenie

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygadlo
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczyk-Stefaniak
RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa**
 Okładka: **Wojciech Oliński/East News**
WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Lio

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerataprasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 800 egzemplarzy

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Zepsuty język”, Joanna Bojańczyk, „DRz” nr 33/2024

Szanowna Pani Redaktor, [...] piszę do Pani z podziękowaniem za felieton „Zepsuty język”. To bardzo aktualny temat! Na łamach „Do Rzeczy” pojawiło się kilka artykułów, m.in. Pani red. Stylińskiej o bezsensownym, niemającym żadnego uzasadnienia oprócz ideologicznego wprowadzaniu na siłę tzw. feminatywów. Jestem wprowadzie tylko anglistką, ale przecież także językoznawcą. I język polski leży mi bardzo na sercu [...].

Kaleczy się według narzuconej ideologii piękny język polski. Po co? W myśl poprawności politycznej, która wywraca do góry nogami to, co do tej pory było. Bo taki ma cel. Taki cel mieli przecież encyklopedyści – poprzez język stwarzać nowe znaczenia, pojęcia, a wraz z nimi „nowego człowieka”.

Moim pierwszym kierunkiem studiów była geologia. I gdy nasi koledzy chcieli sobie z nas, dziewcząt, trochę pokpić, to mówili: „O, idą nasze geolożki”. A teraz są same psycholożki, dermatolożki, co gorsza – chirurżki, choć wystarczyło do tej pory określić je jako „panie psycholog” czy „panie dermatolog, chirurg”. Takie formy wspólne dla rodzaju męskiego i żeńskiego, a rozróżniane tylko przez zaimki, są przecież także w innych językach obcych, nie tylko w języku polskim. Dlaczego nie można się tego nadal trzymać? Bo trzeba stworzyć „nowe”.

Zjawisko jest bardzo przykre. Zubażające język polski, psujące, zachwaszczające neologizmami. Ja wiem, że każdy język podlega zmianom, ale zmianom oddolnym, zmianom wywołanym jego żywotnością, adaptując niektóre słowa, szczególnie z innych języków. To zjawisko powszechne i nieuniknione. Ale tu jest coś innego. To jest odgórne narzucanie i wprowadzanie pojęć, słów, które dezorientują, a przede wszystkim sprowadzają język i ludzi na niższe poziomy. Ten, kto będzie używał pięknego języka, będzie poprawiany i sprowadzany na językowe manowce. A jak ma się do tego w przyszłości stosować moja wnuczka, która ma inne, niż propaguje się obecnie, wrodzone i wyuczone z domu rodzinnego piękne wzorce językowe? Gdzie się podzieje kultura językowa, wzorce, wzory? Do kogo mają ludzie w wypowiedziach i mowie równać? To celowy moim zdaniem bałagan, żeby „wszystko było wolno” i „wszystko było poprawne”, aby nikt nie wiedział, co jest właściwe, a co jest niewłaściwe [...].

Serdecznie Panią Redaktor pozdrawiam, dziękując raz jeszcze za Pani felietony i artykuły w „moim tygodniku” „Do Rzeczy”.

Ewa Herbich

PS Pisz Pani także o częstym używaniu wulgaryzmów. Ale jest to także, niestety, skutek przykładów, idących z tzw. góry, czyli w tym przypadku z literatury. Już kilka lat temu przestałam kupować książki Stasiuka, którego kiedyś lubiłam. W tych ostatnich przeze mnie kupowanych na jedną stronę przypadają przynajmniej kilka wulgaryzmów! Pozbyłam się ich. Nie chciałam mieć takich książek w naszej bibliotece!

Koalicja 13 grudnia wprowadziła
 dziś stan demokracji walczącej
 na obszarze całego kraju



4 x y 3 2 0 0 2 8 C W d t c i n b t i x e q



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Lenin na rogu Fremont Place i 36. ulicy

Ostatni tydzień spędziłem w Seattle, na północno-zachodnim krańcu Stanów Zjednoczonych. To tu wymyślono wiele rzeczy, bez których nie wyobrażamy sobie obecnie życia. Wszystkie te wynalazki łączyły w sobie pomyślowość z nonszalanckim stylem dzieci epoki hippie. Tyle że ten rodzaj ma swoją cenę. Jest nią hiperliberalna polityka władz miasta. To właśnie stan Washington, którego największym miastem jest Seattle, zalegalizował w 2012 r. jako pierwszy stan w Ameryce użycie marihuany jako używki.

Znajomy Polak z Seattle bierze mnie w objazd po mieście. Najgorzej prezentuje się dawny Little Saigon, który dziś jest zdegradowaną dzielnicą pełną obozowisk narkomanów i bezdomnych. Ale obozowiska ludzi o wyglądzie stałych odbiorców prochów znajdują się także w centrum miasta. A co z policją? Od czasu ponadmie-

sięcznych zajęć w Seattle z 2022 r., kiedy to przez parę tygodni tłum szturmował komisariat policji na lewicowej dzielnicy Capitol Hill, miejscowi stróże prawa zachowują się tak, jakby przepraszaali, że żyją.

W downtown, gdzie są siedziby Google czy Amazona, prywatni ochroniarze dbają, aby żadnych dzikich koczowisk nie było. Gdy legalizowano marihuanę, zwolennicy tego kroku argumentowali, że powstanie sieci legalnych punktów jej sprzedaży zlikwiduje czarny rynek. Nic podobnego się nie stało. Emisariusze podziemnych narkotykowych mafii działają na obu rynkach, kpiąc z legalnych sprzedawców, którzy muszą płacić podatki i opłacać niełatwo uzyskiwaną licencję.

Idealnym symbolem tego hiperliberalizmu Seattle jest pomnik Lenina, który stoi na skrzyżowaniu dwóch ulic w artystycznej dzielnicy Fremont. Przewodnik Lonely Planet sugeruje, że to po prostu artystyczny żart. Pomnik kiedyś stał

w Czechosłowacji, w tatrzańskim Popradzie, i spadł z postumentu po 1989 r. Kupiony przez lewaka z Seattle został przewieziony do amerykańskiej metropolii i ustawiony na prywatnym gruncie. Czy to istotnie jakiś żart? Bynajmniej. Tabliczka władz dzielnicy Fremont głosi: „Wielu ludzi myli Lenina i ideologię bolszewicką ze Stalinem – brutalnym komunistycznym dyktatorem, który wymordował miliony ludzi [...]. Lokalny rzeźbiarz, Peter Devis, sprowadził i ustawił ten pomnik, broniąc wartości związanych z wystawieniem pomnika Lenina jako dowód, że duch sztuki wykracza poza upadłe reżimy i ideologie”.

Tabliczka informuje, że „jeśli ktoś zapłaci za pomnik 260 tys. dol., to na miejscu postawiona zostanie rzeźba Johna Lennona”. Żałowałem, że nie może tego obejrzeć Przemysław Babiarsz. Miałby żelazny dowód na to, że miłośnicy Lenina i Lennona niewiele się różnią. ©

BEZPRECEDENSOWY ATAK IZRAELA NA HEZBOLLAH

Co najmniej 37 zabitych i ok. 4 tys. rannych. To krwawy bilans nietypowych ataków, o których przeprowadzenie libańscy bojownicy oskarżyli Izrael. We wtorek nagle wybuchły małe ładunki ukryte w używanych przez Hezbollah pagerach. W środe zaś nagle eksplodowały krótkofalówki. Wspierana przez Iran libańska organizacja zapowiedziała odwet. W czwartek Izrael przeprowadził zaś na Liban ataki lotnicze i artyleryjskie. (jap) ©



FOT. MOHAMED AZAMIR/REUTERS/FORUM

Dziś będzie dużo o wodzie. Pamiętacie ze szkoły albo studiów takich ancymonków, którzy jeszcze przed egzaminem chwalili się, że zdali? Oznaczało to zwykle, że albo są to beztroscy dowcipnisie, albo że rodzice kupili im wyniki. No i jesteśmy w kropce. Minister Marcin Kierwiński, zanim jeszcze woda dopłynęła do Opola czy Wrocławia, pochwalił się, że państwo zdało egzamin. No i do której grupy go zakwalifikować?

Powódz to w ogóle wielka lekcja historii. Nie dlatego, że mamy powtórkę z 1997 r. Ale że przypomina się rok 1947: oto premier krzyczy, żeby ścigać spekulantów podnoszących ceny oraz szabrowników (nawet miejsce pasuje: bo chodzi o Ziemię Odzyskane). Ani chybi czekają nas wybory, w których PSL zostanie okrutnie oszukane. A nie, przepraszamy, tym razem to raczej PSL może być raczej po drugiej stronie.

Tak czy inaczej udało się już zidentyfikować winnych. To hydrologzy. Wskazał na nich Jacek Sutryk, wóldar Wrocławia. Słusznie. Domagamy się, aby teraz podjęto wobec nich takie same działania jak wobec innych złych ludzi. Należy hydrologów zatrzymywać na lotniskach, wysyłać za nimi listy gończe oraz wyłamywać im w biurach łomem pancerne szafy. W ostateczności należałoby rozważyć odebranie hydrologom dotacji. Oraz subwencji.

Zatrzymamy się jeszcze chwilę, by pokpić z wielkiego pogromcy wielkiej wody, czyli Złego Donalda z Sopotu. Pal sześć szczawiową od Gosi i inne pokazuchy (czy była to zupa ze szczawiu zbieranego za młodu przez Niesioła?), ale poruszyło nas szczere wyznanie Donalda, który ogłosił, że największy problem to sprzeczne opinie. Cóż, gdyby wszyscy mieli tę samą opinię, to żadnego premiera byśmy nie potrzebowali. Najwyżej papugę, żeby ją rozgłaszała. Sztuka podejmowania decyzji, gdy opinie są różne, nazywana była kiedyś sztuką rządzenia.

Przy okazji: nie rozumiemy hejtu, który wylał się na minister Hennig-Kłoskę po sugestii, by wprowadzić

dla powodzian niskooprocentowane pożyczki. Widzimy w tym światłą kontynuację myśli PeŁo, w końcu ludziom, którzy narzekali, że biednie, już słynny Bronisław I Wąsaty Komorowski radził, żeby zmienić pracę i wziąć kredyt. A po propozycji Kłoski – trzeba jeszcze tylko zmienić pracę.

Powyższe wspomnienie skłania nas do rekonstrukcji nurtu pogodowego w dziejach rozwoju myśli liberalnej Platformy. Otóż pogoda daje się nam we znaki, gdyż „sorry, taki mamy klimat” (Elżbieta Bieńkowska). W następstwie opadów „woda ma to do siebie, że się zbiera i stanowi zagrożenie, a potem spływa” (Bronisław Komorowski). Gdy następują ulewę i podtopienia, „trzeba się do nich przyzwyczaić, a nie pomstować na nie” (Hanna Gronkiewicz-Waltz). No właśnie.

Jak się okazuje, nie tylko my studiujemy temat. Do poziomu refleksji luminarzy PeŁo dostosowała się prezes Wód Polskich Joanna Kopczyńska, tłumacząc na sztabie powodziowym premierowi Tuskowi zasadę działania zbiorników retencyjnych: „Podobnie jak z wanną. Płynie woda i spuszczaamy. I teraz, jeżeli się przeleje, jesteśmy w trudnej sytuacji”. No właśnie.

Tak czy inaczej jest przynajmniej jeden powód, dla którego powódz obróci się dla Platformy na dobre. Otóż będzie można teraz ogłosić, że CPK nie powstanie, bo pieniądze pilnie

potrzebne są gdzie indziej: na odbudowę zniszczonej powodzią Polski. No i kto teraz się ośmieli przeciw temu protestować? No właśnie.

Coraz głośniejsze o tym, że na kongresie PiS nie nastąpi jednak jakieś wielkie personalne trzęsienie ziemi w partii. Owszem, Mariusz Błaszczak zostanie namaszczoney przez prezesa na Delfina, ale to wiadomo od dłuższego czasu. Ciekawe, kto zostanie nowym Błaszczakiem, czyli szefem klubu. Tu najczęściej pada nazwisko Przemysława Czarnka. Wydaje nam się to całkiem możliwe, biorąc pod uwagę, że Czarnek ostatnio sporo podróżuje, i to niekoniecznie po swoim okręgu.

Zkolei do okręgu Czarnka też ludzie podróżują na potęgę. Ale nie na spotkania z szefem struktur, lecz z marszałkiem województwa, czyli Stawiarskim. Jak wiadomo, po ostatnich wyborach PiS zachował władzę na Lubelszczyźnie, która jest jednym z ostatnich miejsc, gdzie PiS-owcy jeszcze mogą znaleźć robotę. A miejsca pracy zależą właśnie od Stawiarskiego. Marszałek lubi zaś ugościć przybywających. Niekoniecznie w Lublinie, ale nieopodal: mianowicie w Piskach słynących z najlepszych w Polsce flaków. Ma to w sobie coś symbolicznego.

Telewizja w likwidacji ledwie zipie. Wprawdzie dostała od rządu trzy razy więcej niż powodzianie, ale i tak powoli zaczyna przypominać Łądek-Zdrój i Głuchołazy. Przynajmniej jeśli chodzi o stan kasy. Produccenci i inni kooperanci zewnętrzni zaczynają wzdychać: „Kurski jaki był, taki był, ale przynajmniej płacił na czas”. Pojawiają się więc pomysły, by zgłaszać wnioski o upadłość firmy albo nawet wnioskować do sądu o jej restrukturyzację. Pierwsze jest zasadniczo niemożliwe, bo firmy działające w oparciu o ustawę nie mogą zbankrutować. Nawet jak nie mają kasy, ich zobowiązania musi pokryć ostatecznie państwo. Ale restrukturyzacja jest jak najbardziej możliwa. A wtedy restrukturyzatora wyznacza nie rząd, ale sąd. Radzilibyśmy w tej sytuacji, żeby Kurski wpisał się na listę osób, które są uprawnione do prowadzenia restrukturyzacji. ©©





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Faszyzm? No dobrze

Wysoki wynik partii AfD w niemieckich wyborach regionalnych kazał rządzącemu tym krajem lewicowo-liberalnemu establishmentowi diametralnie zmienić podejście do imigrantów. Przynajmniej na pokaz. Dotąd jakakolwiek krytyka otwarcia na przybyszów była przez establishment i media okrzykiwana przejawem rasizmu, faszyzmu i populizmu, a tym samym skutkowałą usunięciem poza margines polityki i propagandowym „skancelowaniem”.

Skoro jednak okazało się, że już aż jedna trzecia wyborców „faszyzm” popiera i odsetek ten stale rośnie, to lewicowo-liberalny establishment postanowił zmienić linię: skoro chcecie „faszyzmu”, to

przecież my możemy być nie gorszymi faszystami niż ci z AfD. Tylko pozostawcie nas przy władzy.

Tak należy rozumieć decyzję o jednostronnym przywróceniu przez Niemcy kontroli granicznych i, de facto, wymówieniu układu z Schengen. Unijne traktaty okazały się Niemców nie dotyczyć, zgodnie z logiką starego polskiego powiedzenia o tym, co wolno wojewodzie. Po latach miotania gromów na Węgry za to, że wykonywały swe zobowiązania z Schengen, na Polskę, za obronę wschodniej granicy Unii, nagle ruszyły pushbacki. Nie do krajów, skąd ruszyli w odpowiedzi na „herzlich willkommen” niemieckiej kanclerz oczywiście, tylko prościej – do krajów sąsiednich, głównie do Polski.

Nie tylko pushbacki przestały być zbrodnią, lecz także deportacje tych, którym już przyznali Niemcy status prawny, a którzy go nadużywają. Tego chce niemiecki lud. A że nie przewiduje takich sytuacji prawo? To należy działać poza prawem, „ultra vires” – jak to uczenie ogłosił lider opozycyjnej CDU, Friedrich Merz, szykujący się do objęcia władzy po skompromitowanym Scholz. „Praworządność” jest dla Merza (nawiasem – starszego kolegi Tuska w Europejskiej Partii Ludowej) po to, by nią dyscyplinować Polaków, Rumunów czy Węgrów, ale nie może przecież krępować europejskich Übermenschen. Szczególnie wtedy, gdy w grze jest to, co najważniejsze: zachowanie przez nich przywilejów i władzy. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Co łatwiej powiedzieć?

Niekiedy mam wrażenie, że nasze społeczeństwo potrzebuje przynajmniej jednej grupy, dla której nie trzeba zachowywać żadnej tolerancji; do której można bez przeszkód odnosić się z nienawiścią. A jeśli ktoś śmie się do niej zbliżyć – w tym wypadku Papież – również traci prawo do tolerancji i do niego również można odnosić się z nienawiścią bez obaw i zahamowań”. Tak o Bractwie św. Piusa X, odwołując się do ludzkich uczuć, pisał do biskupów całego świata Benedykt XVI, 15 lat temu.

Przypomniało mi się to, gdy dowiedziałem się o komunikacie abp. Adriana Galbasa o tym, że Msza św. w kaplicach Bractwa

„sprawowana jest ważnie, ale niegodziwie”. Pierwsze uczucie, gdy słyszę takie sformułowania, to ogłuszający ból. Przecież użyty w tym komunikacie przysłówek oznacza – jak jasno stwierdza „Słownik języka polskiego” PWN (wyd. 1979) – „nikczemnie, podle, nieuczciwie, bardzo źle”. Przerażające.

W drugim jednak odruchu zawsze przypominam sobie ewangeliczne pytanie: Cóż jest łatwiej powiedzieć? (por. Łk 5, 23). Ono bowiem jest najlepszym testem intencji i prawdy.

Łatwo bowiem jest tak mówić o Mszach w kaplicach wspólnoty, „do której – jak z bólem pisał Benedykt XVI – można bez przeszkód odnosić się z niena-

wiścią”, do której nie wolno się zbliżyć nawet Papieżowi. Ale czy w ten sposób ktokolwiek wyraziłby się o Mszach (Służbie Bożej) sprawowanych w prawosławnych kościołach? Przez monofizyckich Koptów czy Ormian? Czy choćby w prawosławnych cerkwiach Patriarchatu Moskiewskiego?

Oczywiście sytuacja kanoniczna Bractwa św. Piusa X jest nieuregulowana, choć znacznie mniej niż 10, 20 czy 30 lat temu. Oby została uregulowana ostatecznie. Choć w zasadzie nie to dziś jest najważniejsze, bo samo życie Kościoła rozregulowane jest coraz bardziej. Nie uzdrowi jej używanie władzy przeciw tym, którzy mówią, że tak jest. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Kleptokracja walcząca



cezary krysztopa

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Polityczne bagno (włoskie)

31 października 2022 r., dwa tygodnie po zaprzysiężeniu rządu Giorgii Meloni, w „Domani” i „Il Fatto Quotidiano”, najbardziej lewicowych dzienników Italii, pomijając gazetki jaskiniowych komunistów, ukazały się dwa ohydne artykuły. Autorzy insynuowali, że minister obrony Guido Crosetto, w przeszłości związany z przemysłem zbrojeniowym, jest szalbierzem i chodzącym konfliktem interesów posiadającym bardzo podejrzane koneksje. Nad obu paszkwilaми pochylił się prokurator i po krótkim dochodzeniu wyrzucił je do kosza.

Autorzy ujawnili objęte tajemnicą szczegóły kont bankowych Crosetto i jego małżonki. Minister poszedł z tym do

prokuratury. W marcu tego roku wyszło na jaw, że wszystkiemu winni są porucznik policji skarbowej Pasquale Striano pracujący w „Antymafii”, specjalnym wydziale prokuratury do walki z mafią, a także dwaj prokuratorzy, jego zwierzchnicy.

Porucznik za zgodą swoich szefów ściągnął z przepastnej bazy tajnych danych „Antymafii”, a także banków co najmniej 50 tys. sekretnych dokumentów dotyczących ponad tysiąca znanych i bardzo znanych osób. Tak się złożyło, że spora większość ofiar, w tym pięciu obecnych ministrów, kilku gubernatorów i burmistrzów, jest związana z prawicą. Co ważne, przeciwko żadnej z tych osób nie było prowadzone żadne dochodzenie. Porucznik i jego

mocodawcy po prostu szukali haków. Poza tym – jak wykryto – Striano przekazywał niektóre dokumenty dziennikarzom. Gdzie są pozostałe i na czyje polecenie działał, jest przedmiotem śledztwa.

Co symptomatyczne, prowadzący śledztwo w sprawie tej największej włoskiej afery ostatnich lat prokurator Raffaele Cantone wnioskował, by porucznik i jego zwierzchnicy prokuratorzy trafili do aresztu, przynajmniej domowego, ale sędzia odmówił. Zapewne w ramach korporacyjnej solidarności przeżartego bezprawiem i korupcją polityczną włoskiego wymiaru sprawiedliwości. Cała trójka chodzi wolno, występuje w telewizjach, a jeden zasiada w parlamencie. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

PROBLEMÓW BRAK

Dziennikarz Michał Olszański przyznał w programie Moniki Richardson, że od jakiegoś czasu pije alkohol codziennie. Nie uważa tego jednak za problem, wręcz przeciwnie. – Czy uważasz, że jesteś uzależniony? – zapytała Richardson. – W pewnym sensie tak. W pewnym sensie, ponieważ nie czuję, żebym stracił kontrolę. Mając dzisiaj siedem dekad, wiem, jaką funkcję pełni dla mnie alkohol – podkreślił. – Po pierwsze, mi smakuje. Dla mnie zimne piwo po dwóch czy trzech godzinach pracy w ogrodzie jest fenomenalnym doświadczeniem smakowym. Następnie kieliszek dobrego czerwonego wina przy posiłku to coś, co niezwykle wzbogaca smak i aromat jedzenia. Wreszcie dobre whisky, które mogę sączyć wieczorem, oglądając film, sprawia mi ogromną smakową frajdę – opowiadał Olszański. Gość programu „The Richardson Star” stwierdził, że alkohol niczego mu w życiu nie odbiera. – Niczego mi nie zabiera, tylko daje. Nie tracę relacji z bliskimi ani poczucia trzeźwości w tym sensie, że się nie upijam. Piję codziennie, nie są to porażające

ilości, ale alkohol mi towarzyszy. Mam poczucie, że życiowo się z nim ułożyłem. Sprawdzam stan swojej wątroby – nie jest źle. Jestem z rodziny, gdzie alkohol zawsze był obecny. Ojciec dożył 94 lat. Nie tak dawno go żegnaliśmy. Smakował koniaczek – podsumował. I to wszystko w Polsce, która według Eurostatu zajmuje niechlubne drugie miejsce w Unii Europejskiej pod względem zgonów z powodu zaburzeń związanych ze spożyciem alkoholu. Wywiad udzielony na trzeźwo, ale mądrości jakby trochę pijane.

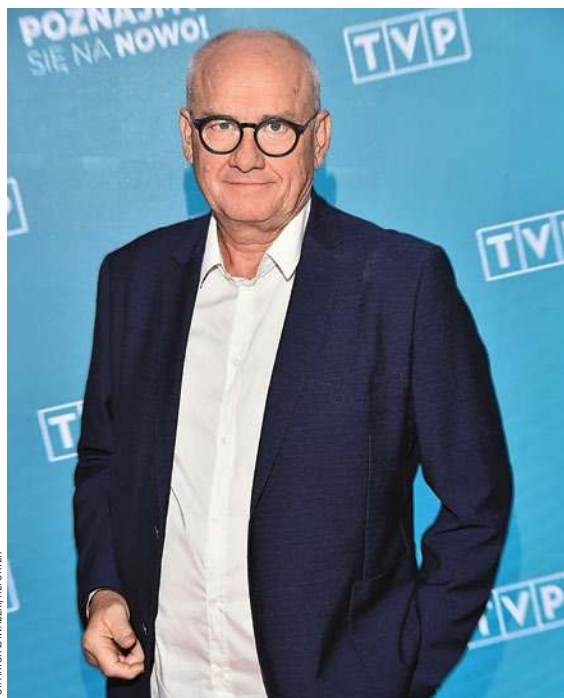
NAKRĘCENI I NAPOMPOWANI

Pod wpływem czegoś była za to chyba osoba, która zaplanowała wizytę wokalistki Blanki Stajkow w Szkole Podstawowej nr 2 w Skawinie. No może nie samą wizytę, ale jej formę. Reprezentantka Polski na ubiegłorocznym konkursie Eurowizji odwiedziła uczniów z okazji rozpoczęcia roku szkolnego. Wydarzenie zorganizowane przez Radio Zet wywołało burzę. Wszystko dlatego, że podczas występu przed tłumem dzieci Blanka wraz ze swoimi tancerzami zaprezentowała mocno sensualną choreografię, składającą się w dużej części z potrząsania pupą. W sieci zawrzało, bo jednak tego typu występy wydają się pasować do innych miejsc niż podstawówka. Wokalistka odwiedziła Polsat, gdzie odniosła się do krytyki swojego występu. Stwierdziła, że jest zadowolona, dzieciom też się podobało, a hejt wylał się dopiero w sieci i w ogóle to wredni ludzie się czepiają. – W szkole występ generalnie wszystkim się bardzo podobał. Jak wiemy, media lubią sobie nakręcić, napompować i wyolbrzymić pewne tematy, zazwyczaj niemiłe. Miłe się nie klikają. Z hejtem mierzę się od samego początku, kiedy moja kariera nabrała tempa, czyli od Eurowizji. Zostałam wrzucona na świecznik i trochę na pożarcie. Czuję, że każdy mój ruch jest oceniany potem w sieci – wskazała. – W sieci każdy czuje się bezkarny, anonimowy, więc jest dużo

łatwiej napisać jakiś hejterski komentarz. Natomiast ja się już uzbroiłam w moją „zbroję”, mam już grubszą skórę, jestem zdecydowanie twardsza [...]. Teraz już nie czytam komentarzy, staram się w to nie zagłębiać – podsumowała Stajkow. Dobre samopoczucie gwarantem sukcesu.

FAJNE DZIECIAKI

Ruszyła kolejna edycja „Tańca z gwiazdami”. W premierowym odcinku jedną z najlepiej ocenionych par byli influencerka Julia Żugaj i towarzyszący jej tancerz Wojciech Kucina (uzyskali 38 punktów z 40 możliwych). – Czujemy się wyśmienicie, jesteśmy zadowoleni z występu, wyniku. Nie spodziewaliśmy się, że będzie aż tak dobrze. To jest w ogóle dużo ponad satysfakcjonujący wynik. Mówiłam, że chcę minimum po sześć punktów od każdego jurora, czyli przynajmniej 24 – zdradziła Julia Żugaj po udanym występie. Jeszcze przed rozpoczęciem 15. edycji show było jasne, że influencerka może liczyć na wsparcie swoich fanów – na Instagramie obserwuje ją prawie 1,3 mln osób, a na organizowane przez nią eventy i obozy lista chętnych zapełnia się natychmiastowo. Kiedy wyszła na parkiet, słychać było piski i oklaski od strony publiczności, na której licznie zasiadły „żugajki”, czyli fanki celebrytki. Taki hałas nie spodobał się części widzów, którzy dali upust swojej niechęci w mediach społecznościowych (zwracając uwagę, że dzieci zachowywały się po prostu niekulturalnie). Jednak Julia nie widzi problemu. – Po to jest publika, żeby krzyczała i dopingowała. Moje dziewczyny nie zawiodły i jestem im wdzięczna, że tak się zaangażowały, żeby tutaj do studia przyjechać i nam kibicować – podkreśla influencerka. W rozmowie z Jastrzęb Post wskazała, że ma tak oddane grono fanek, ponieważ to, co pokazuje w sieci, jest autentyczne. – Naprawdę lubię te dzieci i lubię spędzać z nimi czas, robić sobie fotki, pogadać z nimi. Myślę, że czuć, że ja to lubię, i dzięki temu jesteśmy fajną społecznością – powiedziała Żugaj. Fajna społeczność, która generuje kosmiczne zyski. No i fajnie. ©



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie, jesteśmy od wielu lat lojalnymi pracownikami naszego korpo. Z tym większym niesmakiem i zdziwieniem przyjęliśmy więc informację, na którą się niedawno natknęliśmy, iż Polacy często chodzą do Państwowej Inspekcji Pracy, iżby donosić na swoich pracodawców, głównie za sprawą niewykorzystywania urlopów wypoczynkowych.

No kochani, na początek porozmawiajmy o instytucji nazwanej Państwową Inspekcją Pracy. Jak sama jej nazwa wskazuje, jest to organ (lol), który ma służyć inspekcji, a więc sprawdzaniu, pracy, czyli – innymi słowy – po prostu kontrolować, czy te wszystkie janusze i grażyny zatrudnione w zawodach niewymagających znaczących kwalifikacji nie objają się i dzielnie pracują na wspólne PKB.

Tymczasem rzeczywistość jest taka, iż PIP kontroluje pracodawców i weryfikuje, czy są przestrzegane prawa pracownicze. Of kors jako osoby o lewicowej wrażliwości gorąco popieramy prawa pracownicze, ale jednocześnie mamy świadomość, iż wielu pracowników niższego szczebla oraz w zawodach niewymagających wyższych kompetencji intelektualnych musi być pilnowanych i sprawdzanych. Nie to, of kors, co w naszym korpo, gdzie mamy owocowe czwartki, możliwość pracy zdalnej dwa dni w kwartale, ekstra 10 minut

Spokojnie, mamy najlepszych specjalistów od watów!



c e z a k y e k y j z t o i d

przerwy dziennie na e-papierosa oraz happiness menedżera, który dba o nasz dobrostan, drukując memy i wieszając je na tablicy z ogłoszeniami.

Dlatego też z naszej perspektywy PIP jest zupełnie niepotrzebna, a martwi nas dodatkowo, iż Polacy chodzą się skarżyć na te urlopy, zamiast po prostu wziąć się w garść i pracować. Urlop jest spoko, wiadomo, ale też trzeba sobie na niego zasłużyć. I jeszcze raz: dzięki naszej lewicowej wrażliwości społecznej jak najbardziej doceniamy możliwość wzięcia urlopu, ale to też nie może być tak, iż taki janusz spędza dzień pracy według schematu: małpka przed zakładem, papieros, śniadanie, toaleta, papieros, obiad, papieros, druga małpka i do domu, a potem domaga się urlopu.

No są jakieś granice roszczeniowości, nie jest sztuką tylko oczekiwać, trzeba też czasem coś od siebie dać.

Apropos happiness menedżera – nowy z Tarnowa zatrudnił nam taką osobę, której zadaniem jest zapewnienie nam pozytywnych doświadczeń z miejsca pracy, za czym idzie wyższy poziom przywiązania do korporacji i rosnący poziom lojalności – zwłaszcza w obliczu sytuacji, kiedy jakaś nieuczciwa konkurencja naszego korpo chciałaby nas przekupić i zatrudnić u siebie.

No i tak jak wspomnieliśmy, happiness menedżerka chodzi po biurze, drukuje nam memy, opowiada dowcipy, inscenizuje

polskie kabarety. I niestety tylko Nowy z Tarnowa się z tego śmieje, a my pozostajemy zażenowani.

Zasugerowaliśmy nawet Nowemu nieśmiało, iż większe happiness mielibyśmy z podwyżek niż z takiej menedżerki, bo przecież musiał jej pewnie sporo zapłacić, a mogłoby to trafić do nas. Nowy wtedy odrzekł, iż był ostatnio na szkoleniach, na których wiele mówiono na temat motywacji pozapłacowej, a on ma zamiar trochę pójść z duchem czasu, zwłaszcza że nie raz i nie dwa wypomnieliśmy mu, iż zachowuje się jak ciemniak, a więc nie będzie podwyżek, będzie motywacja pozapłacowa i happiness menedżerka powtarzająca żarty z opolskiego kabaretonu.

Nowy – Mwizwo 1:0 :(. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Młotkiem w czoło

O, i jeszcze tutaj się plamę zrobi z błota... Czekaj, Donald, nie kręć się teraz.

Dobra, Sławek, szybciej, bo kamery czekają.
No ale ma być dobrze czy szybko?
Jeszcze spodnie trzeba lekko przedrzeć, że niby jakaś blacha ci rozdarła czy coś...
Zwariowałeś? To jest Zegna, ponad cztery tysiące.
To tym bardziej. Nawet jeśli ktoś rozpozna markę, to będzie, że się

nie liczysz z kosztami, kiedy trzeba ludzi ratować.
No dobra, dawaj.
I jeszcze tu cię młotkiem w czoło walnę.
Chyba ja ciebie.
Że niby szedłeś i się na błocie potknąłeś.
Chcesz być mężem stanu czy nie?
© ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Tylko i wyłącznie robi swoje interesiki. Interes Polski mniej go obchodzi”.

LECH WAŁĘSA, były prezydent, o prezydencie Andrzeju Dudzie w wywiadzie dla „Faktu”



Łukasz Warzecha

Czerwone linie nie są wryte w kamieniu, a gra w ich „sondowanie bojem” jest skrajnie niebezpieczna. To trochę jak z chodzeniem po polu minowym i zgadywaniem, gdzie położono ładunki. Można się 10 razy nie pomylić, a za 11. – stracić życie. Zachód uznał, że może sobie pozwolić na takie sondowanie granic rosyjskiej reakcji

Wojna na Ukrainie trwa już – w obecnej fazie – 31 miesięcy. W tym czasie polska współpraca w sprawie Ukrainy, a także zagrażających nam skutków konfliktu przeszła różne fazy. Jedną tendencją nie ulega wątpliwości: nastąpiło znieczulenie na detale, a w dużej mierze – zniechęcenie do zajmowania się wojną. Jej obraz jest przez Polaków odbierany z coraz mniejszą liczbą szczegółów, a rosnące napięcie wokół obecności w Polsce ukraińskich uchodźców sprzyja skupianiu uwagi właśnie na tych kwestiach. Sama wojna schodzi na dalszy plan. Tymczasem aspekt strategicznych zagrożeń, które dla Polski wynikają ze zmagania Ukrainy z Rosją, bynajmniej nie zniknął. Jest wręcz przeciwnie: staje się niepokojąco istotny.

Tu musimy się cofnąć w czasie i sięgnąć do tego, na co część publicystów „Do Rzeczy”, w tym autor tego artykułu, wskazywała jeszcze w 2022 r. Jednym z istotnych wątków było stwierdzenie, że przedłużająca się wojna oznacza coraz większą liczbę możliwości niekontrolowanej – lub nawet kontrolowanej – eskalacji, która może mieć dla Polski dramatyczne skutki. To ostrzeżenie nie straciło na aktualności – nawet odwrotnie. Im dłużej bowiem trwa konflikt, tym większa jest możliwość, że coś pójdzie nie tak, choćby przez przypadek.

Druga, powiązana ściśle z pierwszą kwestia to czynnik atomowy. Wskazywaaliśmy, że wiele porównań z sytuacjami



Gąszcz czerwonych linii

z przeszłości – w tym szczególnie z okresem przed wybuchem drugiej wojny światowej – nie ma już racji bytu, ponieważ wówczas dostępna była jedynie broń konwencjonalna. Tymczasem to broń niekonwencjonalna w latach zimnej wojny, za sprawą koncepcji MAD (Mutually Assured Destruction – wzajemnie zapewnione zniszczenie), powstrzymywała obie strony rywalizacji od podjęcia zbyt daleko idących kroków. Problem w tym, że ten właśnie czynnik równowagi został właściwie od początku konfliktu na Ukrainie zakwestionowany przez wojowniczo nastawionych

polish polityków, a następnie przez znaczną część przywódców Zachodu. Zaczęło się systematyczne kwestionowanie istnienia tzw. czerwonych linii, aż do pojawiającego się coraz częściej stwierdzenia, że właściwie żadnych takich linii nie ma.

RYZIKOWNE SONDOWANIE BOJEM

Czym jest czerwona linia? To umowna granica działania drugiej strony, po przekroczeniu której przeciwnik zakłada podjęcie działań podnoszących konflikt na nowy poziom. To, gdzie należy

Broń dalekiego zasięgu wystrzeliwana z samolotów oznacza dla Rosjan przekroczenie „czerwonej linii” przez Zachód wspierający Ukrainę FOT. PREZIDENT.GOV.UA

– co nie powinno być zaskoczeniem – że postępowania Ukrainy i sprzymierzonego z nią Zachodu nie powinny ograniczać żadne czerwone linie. Powtórzył to ostatnio w sierpniu tego roku. „Gdyby nasi partnerzy znieśli wszelkie ograniczenia w uderzeniach na cele wewnątrz Rosji, nie musielibyśmy fizycznie wkraczać do regionu kurskiego” – stwierdził prezydent Ukrainy. I dodawał: „W tej chwili widzimy zasadnicze ideologiczne przesunięcie: naiwny, iluzoryczny koncept czerwonych linii w stosunku do Rosji, niegdyś wybijający się w niektórych ocenach sytuacji wojennej, właśnie się zawalił”.

Trudno powiedzieć, co konkretnie – poza atakiem na region Kurska – mogło dać prezydentowi Ukrainy podstawę do tak stanowczej diagnozy. Jednak takie oceny w ustach Wołodomyra Zełenskiego nie powinny zaskakiwać, skoro uświadomimy sobie, że przywódca Ukrainy od samego początku ma na uwadze jak najszybsze umiędzynarodowienie konfliktu, a najlepiej – sprowokowanie wciągnięcia do niego w „gorącej” formie sprzymierzonych krajów Zachodu. Polska jest tutaj wyjątkowo wdzięcznym celem ze względu na mesjanistyczne nastawienie dużej części rządzącej elity.

Problem w tym, że czerwone linie nie są wyryte w kamieniu, a gra w ich „sondowanie bojem” jest skrajnie niebezpieczna. To trochę jak z chodzeniem po polu minowym i zgadywaniem, gdzie położono ładunki. Można się 10 razy nie pomylić, a za 11. – stracić życie. Zachód uznał, że może sobie pozwolić na takie sondowanie granic rosyjskiej reakcji, ponieważ – zdaniem przeciwników trzymania się czerwonych linii – możliwe reakcje na ich złamanie ze strony Rosji byłyby dla niej zbyt kosztowne.

Na naprawdę nowy poziom – rozumując – wojnę mogłoby wprowadzić tylko albo użycie przez Rosję broni jądrowej, albo zaatakowanie kraju sojuszu północnoatlantyckiego. W wersji wzmocnionej zaś – zaatakowanie kraju NATO bronią jądrową (choć taka kombinacja wydaje się już skrajnie mało prawdopodobna).

Zaatakowanie terytorium państwa NATO przez Rosję uznano za niezwykle mało prawdopodobne, ponieważ oznaczałoby to konflikt z całym sojuszem – przynajmniej w teorii, warto bowiem pamiętać, że traktat waszyngtoński nie

przewiduje całkowicie automatycznego przyścia z pomocą zaatakowanemu krajowi sojuszniczemu.

Tkwi w tym jednak paradoks. Z jednej bowiem strony Zachód uznaje, że atak na NATO jest bardzo mało prawdopodobny; z drugiej natomiast cały czas taki właśnie potencjalny atak jest prezentowany jako główny powód, dla którego wojnę należy przeciągać, a gdy idzie o Polskę – zapewniać Ukrainie bezwarunkowe wsparcie.

ZMIANA DOKTRYNY

Aczkolwiek w tej ostatniej kwestii coś się jednak zmienia. Mogą na to wskazywać wypowiedzi wicepremiera i ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza, również premiera Tuska, a także zrelacjonowana przez Witolda Jurasza na portalu Onet rozmowa ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego z prezydentem Ukrainy, w której Sikorski miał sprzeciwić się m.in. naciskowi na bezwarunkowe i natychmiastowe przekazanie Ukrainie kolejnego sprzętu, w tym samolotów MiG-29.

Na Zachodzie uznano także, że użycie broni jądrowej raczej nie wchodzi w grę, ponieważ wywindowałoby to konflikt na nowy poziom, dla Rosji niekorzystny i niosący ze sobą zbyt duże ryzyko. Na dodatek dotychczasowa rosyjska doktryna użycia broni jądrowej – ostatnio zaostrożona dekretem prezydenta Władimira Putina w roku 2020 – stanowiła, że Rosja może użyć takiej broni jedynie w przypadku uderzenia bronią masowego rażenia (niekoniecznie jądrową) na Rosję lub państwo sojusznicze, a także w razie dokonania agresji na Rosję za pomocą broni konwencjonalnej, stanowiącej zagrożenie dla egzystencji państwa. Wśród szczegółowych warunków uzasadniających użycie arsenału jądrowego (punkt 19 doktryny) mamy również atak – jakkolwiek, a zatem także konwencjonalny – na instalacje wojskowe Federacji Rosyjskiej, od których zależy jej zdolność do odpowiedzi na atak jądrowy. Będą to zatem choćby instalacje radarowe.

Założono, że gdyby Rosja miała użyć broni jądrowej w odwecie za jakieś działania Ukrainy przeciwko niej, to użyłaby broni taktycznej, nie zaś strategicznej, właśnie na terytorium Ukrainy. Nikt zaś chyba nie ma wątpliwości, że w odpowiedzi Zachód bezpośrednio Rosji by nie zaatakował.

czerwone linie umiejscawiać, albo jest kwestią hipotezy drugiej strony, albo zostaje jasno zasygnalizowane przez przeciwnika czy wręcz określone w jego strategii wojennej. Na ogół wnioskuje się o tym na bazie obu tych aspektów.

Zachód jako jedną z czerwonych linii Rosji identyfikował kontrolę nad Krymem. Ta linia nie została wciąż przekroczona. Inna to zaatakowanie terytorium samej Rosji. Tę złamano częściowo. Ukraina zajęła niewielki teren przygraniczny oraz przeprowadza ograniczone ataki własnymi środkami bojowymi (głównie dronami) na punkty wewnątrz Rosji. Nie są to jednak – to następna czerwona linia, dotąd niezłamana – użycia do atakowania rosyjskiego terytorium broni dostarczanej przez Zachód. Kolejna czerwona linia to oczywiście bezpośredni udział w walce żołnierzy państw NATO, co zresztą dość oczywiste: byłoby to faktyczne włączenie się konkretnych krajów do wojny, choć niekoniecznie NATO jako takiego. Jak widać, spośród identyfikowanych czerwonych linii Rosji przekroczone dotychczas – wbrew twierdzeniom jastrzębi na Zachodzie – mniejszość.

Prezydent Ukrainy Wołodomyr Zełenski niemal od początku konfliktu twierdził

■ Tymczasem jednak powyższe oceny mogą stracić aktualność, Rosja postanowiła bowiem zmienić swoją doktrynę w tej kwestii, o czym zaczął wspominać prezydent Putin, a niedawno opowiadał agencji TASS wiceminister spraw zagranicznych FR, Siergiej Rybakow. Żaden z polityków nie przedstawił na razie detali nowych rozwiązań, ale jasne jest, że mają one pójść w kierunku ułatwienia użycia broni jądrowej. Może się zatem okazać, że w doktrynie w sposób formalny zostałaby ujęta koncepcja na razie obecna jedynie w wypowiedziach rosyjskich komentatorów czy analityków wojskowych: eskalacji dążącej do deeskalacji. Założenie jest takie, że użycie broni atomowej – najpewniej taktycznej i najprawdopodobniej, w warunkach obecnej wojny, na terytorium Ukrainy – spowodowałoby otrzeźwienie na Zachodzie i skłoniłoby przeciwników Rosji do zajęcia bardziej umiarkowanego i korzystniejszego dla niej stanowiska.

Wokół tego, na ile taki scenariusz jest możliwy, trwają spory. Kalkulując jego prawdopodobieństwo, trzeba pamiętać, że Rosja – jakkolwiek odizolowana od Zachodu – nie działa w próżni i bardzo ważnym czynnikiem mitygującym takie posunięcia będą Chiny. Ponadto – jak wskazuje od początku wojny wielu analityków – dla państwa posiadającego broń jądrową znacznie cenniejsza jest groźba jej użycia niż samo jej użycie. Paradoksalnie bowiem groźbą można grać na różne sposoby, podczas gdy jeśli broni jądrowej już się użyje – nic nie pozostaje w rezerwie. Oczywiście używszy broni jądrowej taktycznej, można jeszcze zawsze sięgnąć po strategiczną, ale to oznaczałoby w praktyce wybuch światowej wojny jądrowej.

Ponadto wciąż pozostaje w mocy pytanie, która w końcu czerwona linia Rosji okaże się realna. Twierdzenie, że takiej nie ma – jak to robi Zełenski – jest oczywiście nedorzeczne. Dla przykładu: czy nie okaże się nią zezwolenie przez Zachód na użycie dostarczanej przez niego broni, w tym zwłaszcza rakiet dalekiego zasięgu, na terytorium Rosji, o co od dawna zabiega Kijów? Niektórzy zachodni przywódcy wręcz forsują taką opcję. Niedawno poparł ją otwarcie Justin Trudeau, premier Kanady – względnie bezpiecznie ukrytej za Atlantykiem. Sugestie wysuwała także administracja Joe Bidena, jednak

Wciąż pozostaje w mocy pytanie, która w końcu czerwona linia Rosji okaże się realna. Twierdzenie, że takiej nie ma – jak to robi Zełenski – jest nedorzeczne

nie zmieniając dotąd swojego oficjalnego negatywnego stanowiska.

Możliwe, że w odpowiedzi na złamanie kolejnej granicy w konflikcie przez Ukrainę Rosja sięgnęłaby po półśrodek w postaci przeprowadzenia próby broni jądrowej, czego nie robiła od początku lat 90. Jakkolwiek nie byłoby to bezpośredni atak taką bronią, to byłoby to bardzo czytelny sygnał o odpowiedniej sile oddziaływania.

Na razie Zachód nie sygnalizował wyraźnie swoich czerwonych linii. Ba, w zachodnim obozie nie ma nawet wystarczającej spójności, aby stwierdzić, czy one istnieją. Niektórzy politycy je jednak postulują. Na jednego z jastrzębi wyrósł jeszcze w lutym prezydent Francji Emmanuel Macron, który zaczął wówczas mówić o wysłaniu zachodnich żołnierzy do walki na Ukrainie w ramach ustanowienia zachodnich czerwonych linii. Najbardziej czytelną spośród nich miałyby być odepchnięcie Ukrainy od Morza Czarnego poprzez zajęcie czarnomorskiego portu – Odessy. Stanowisko prezydenta Macrona poparł wówczas Radosław Sikorski. Zabierając głos w czasie swojej wizyty w Waszyngtonie, podczas panelu dyskusyjnego organizowanego przez dziennik „Financial Times”, Sikorski oznajmił: „Powinniśmy wywołać u nich [Rosjan] niepewność, co my zrobimy wszędzie, nie tylko w Ukrainie”.

Jeszcze bardziej stanowczo wypowiedział się minister w rozmowie z ukraińskim kanałem Europejska Prawda. Stwierdził: „Słyszę od zachodnich dziennikarzy o »czerwonych liniach« Putina i groźbach eskalacji z jego strony. Ale my też mamy swoje czerwone linie i z jakiegoś powodu ludzie nigdy o nie nie pytają. A po drugie, nie sądzę, żeby było coś, czego Putin jeszcze nie zrobił, ale zrobi w odpowiedzi na nasze działania”.

Radosław Sikorski uznał również, że „jego groźby dotyczące broni jądrowej pozostają puste”.

BRAK KALKULACJI

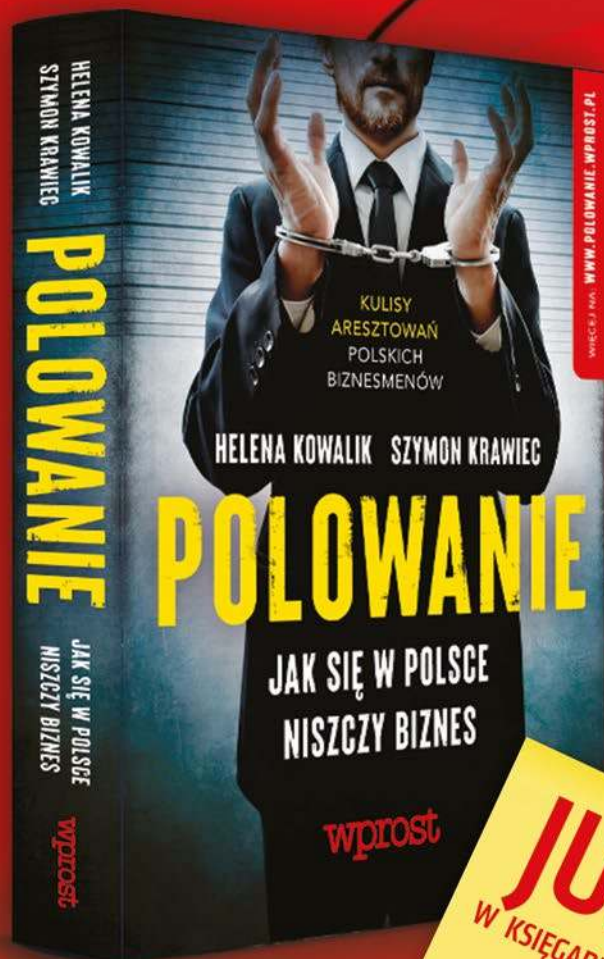
To koncepcja, aby grać z Rosją tak samo jak ona gra z Zachodem. Jest z nią jednak jeden problem: podwójna dawka niepewności oznacza podwójne niebezpieczeństwo eskalacji, wynikającej choćby z błędnego odczytania zamiarów przeciwnika. Z punktu widzenia interesu bezpieczeństwa Polski, położonej niemal przy teatrze działań wojennych, zwiększanie niepewności nie jest dobrym pomysłem, bo mamy szansę być jedną z pierwszych ofiar ewentualnego wymknięcia się konfliktu spod kontroli.

Trudno zrozumieć, na jakiej podstawie szef polskiego MSZ z tak niezachwianą pewnością orzeka, że Rosja nie zrealizuje w końcu żadnej ze swoich groźb. Stoi za tym dość dziecinne rozumowanie, zgodnie z którym, jeśli nic nie wydarzyło się tyle razy, to nie wydarzy się na pewno w przyszłości. Jest wręcz odwrotnie: w logice konfliktu, gdzie żadna ze stron nie jest radykalnie pozbawiona sił i możliwości reakcji – a Rosja z pewnością nie jest – przekraczanie kolejnych czerwonych linii raczej uprawdopodobnia to, że któraś w końcu okaże się realna i wywoła reakcję. Szczególnie że ten konflikt, będący niewątpliwie wojną zastępczą, jest dla Moskwy walką o terytorium, a także o własny status. Tego statusu nie wzmacnia przecież nieustanne ustępowanie. Do zrozumienia tego właśnie rosyjskiego sposobu widzenia wojny namawiał wiele razy Viktor Orbán, rozumiejący zagrożenia znacznie lepiej niż jakikolwiek polski polityk.

Opisane wyżej niebezpieczeństwa są właściwie całkowicie nieobecne w polskiej debacie. Sprawa kalkulacji realności groźby nuklearnej nie istnieje. Gdy Sikorski powiada, że dziennikarze mówią o czerwonych liniach, to nie ma na myśli zdecydowanej większości polskich dziennikarzy, ci bowiem w ogóle nie zajmują się mechaniką konfliktu. Zamiast tego wypełniaczem dyskusji o wojnie na Ukrainie są wciąż puste hasła o „zwycięstwie Ukrainy”. Zapomina się, że w tej wojnie interes Kijowa jedynie częściowo pokrywa się z interesem Warszawy. Obyśmy nie otrzeźwiali, gdy będzie za późno.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY
GŁOŚNYCH
SPRAW
I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE
RELACJE

ROZMOWY
Z EKSPERTAMI
I LUDŹMI
Z WYMIARU
SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD
500
NAZWISK
I FIRM

AUTORAMI SĄ
DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE
ŚLED CZY

JUŻ
W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664



PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Przemysłowców
i Pracywłóciarek



WEI
Wielki Enterprise
Institute



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



BRIEF



Wojciech Golonka

Rosjanie ostrzegali, że pomoc w atakach Ukrainy na jej terytorium potraktują jak udział w wojnie. USA zrozumiały. A Polska?

Nie ma jednomyślności ze strony państw zachodnich wspierających Ukrainę w kwestii zezwolenia na uderzanie dostarczaną przez nich bronią precyzyjnego rażenia w głąb terytorium Federacji Rosyjskiej. Wyraźnej rozbieżności stanowisk towarzyszy wyważanie, czy podobny krok może wywołać dramatyczne konsekwencje, przekraczając tzw. czerwone linie Kremla.

Tymczasem lekceważąc zagrożenia, wbrew nawet dotychczasowemu oficjalnemu stanowisku Stanów Zjednoczonych, polski minister spraw zagranicznych odgrywa pierwszorzędną rolę w nawoływaniu do śmiałych działań zbrojnych Ukrainy wewnątrz granic Rosji przy domyślnym wsparciu krajów NATO.

Dla postronnego obserwatora nie może być wątpliwości, że Radosław Sikorski, obecnie główny polski herold uderzeń na Rosję, wykracza poza przypadłą mu rolę reprezentowania interesów Rzeczypospolitej, narażając ją na tragiczne wplątanie w wojnę rosyjsko-ukraińską. Jego działania mają miejsce przy zaskakującym cichym przyzwoleniu premiera Donalda Tuska i wicepremiera oraz ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza, którzy nie ukracając tej niebezpiecznej retoryki, przynajmniej ją otwarcie tolerują, jeśli nie wręcz akceptują.

OBSESYJNY POWÓD

Sedno sprawy, choć wypowiedzi Radosława Sikorskiego mają znaczenie szerszy zakres, dotyczy obecnie możliwości użycia rakiet dalekiego zasięgu, dostarczanych tylko przez kilka krajów zachodnich (jest to wymagająca i kosztowna technologia, w zasięgu nielicznych), do precyzyjnych uderzeń w głąb Federacji Rosyjskiej, w takie cele jak wojskowe centra dowodzenia, lotniska i samoloty wojskowe, rafinerie, składy, fabryki itp. Ma się rozumieć, tego typu ataki na terytorium rosyjskie ze



Desperacja, czyli eskalacyjna gra Sikorskiego

Minister spraw zagranicznych Polski Radosław Sikorski i minister spraw zagranicznych Ukrainy Andriy Sybiha, Kijów, 13 września 2024 r. FOT. SERGEY DOLZHENKO/EPA/PAP

strony sił zbrojnych Ukrainy już mają miejsce, i to czasem dość głęboko, jednak przy wykorzystaniu dronów o relatywnie ograniczonych możliwościach niszczycielskich i znaczenie łatwiejszych do zestrzelenia w porównaniu z precyzyjną bronią rakietową dalekiego zasięgu.

Dla strony rosyjskiej dostarczanie podobnej broni Ukrainie jest, po pierwsze, jednym z obsesyjnych powodów obecnej wojny. Rosjanie od kilku dekad wielokrotnie wskazywali, że rozmieszczanie wyrzutni rakietowych o podobnych możliwościach w szeroko rozumianym pobliżu jej granic (w tym w Polsce) jest niedopuszczalne, w tym systemów defensywnych, które z łatwością, na wypadek wojny, mogłyby zostać przekształcone w systemy ofensywne.

W obecnym wypadku chodzi wprawdzie o broń wystrzeliwaną z poziomu samolotów wielozadaniowych, a nie z naziemnych wyrzutni – po to, najwyraźniej, m.in. zaczęto dostarczać Ukrainie myśliwce F-16, nie podkreślając przy tym medialnie tego aspektu ich możliwości

w chwili, gdy oznajmiano światu „przełomową” wówczas decyzję (kolejną z rzędu) w tym konflikcie – jednak chodzi o tę samą logikę i filozofię obronności kraju w postaci utrzymania asymetrycznej przewagi nad sąsiadami (co oczywiście jest dla tychże problematyczne).

Obok tego szerszego, obsesyjnego dla Rosjan kontekstu zachodzi w dodatku właściwa dla tej wojny charakterystyka. Ukraina nie posiada podobnej technologii, tylko nieliczne, bogatsze kraje zachodnie posiadają ją na swoim wyposażeniu, a jej stosowanie jest na tyle wymagające, że wymaga szeroko rozumianego wsparcia technicznego ze strony tychże krajów. To właśnie Władimir Putin explicite wyartykułował, uznając, że jest niemożliwe, aby od strony technicznej Ukraina dokonała precyzyjnych uderzeń w głąb Rosji bez odpowiedniej pomocy jej zachodnich partnerów (od techników naziemnych do satelitarnej geolokalizacji pocisków), co jednocześnie uczyni je bezpośrednimi uczestnikami konfliktu, uzasadniając względem nich możliwość

dokonania militarnych działań odwetowych (lub prewencyjnych) ze strony Federacji Rosyjskiej.

Nie rzecz w tym, aby polemizować z tym poglądem na gruncie wiedzy eksperckiej, która być może mogłaby znacznie zniuansować (i pomniejszyć) aspekty tego technicznego współudziału w podobnych uderzeniach, choć jest on oczywisty choćby z punktu doboru trajektorii lotu celem ominięcia obrony przeciwlotniczej przeciwnika, doboru niemożliwego bez pomocy „NATO-owskich” zasobów zwiadowczych (co już skądinąd ma regularnie miejsce).

ROSJA DAJE ZNAK

Rosjanie tym razem dali bardzo wyrażnie do zrozumienia, z Putinem na czele, że jest to ich twarda „czerwona linia” i zareagują na jej przekroczenie. Jak zareagują? Eksperci mówią o najróżniejszych opcjach, w tym nawet o blefie, ale w tej niepewności Stany Zjednoczone potraktowały ten sygnał na poważnie – mimo próśb Biały Dom nie zdecydował się dotychczas na udzielenie swej zgody na wykorzystanie swoich rakiet do tych celów, choć dał zielone światło do wykorzystania przez Ukrainę brytyjsko-francuskich pocisków manewrujących Storm Shadow, w myśl – zdaje się – starej dobrej zasady z czasów zimnej wojny: mocarstwa nuklearne haratają się na przedpolach (czyli z wykorzystaniem stron trzecich), natomiast nigdy bezpośrednio.

Przed przekroczeniem podobnej czerwonej linii, wobec możliwych konsekwencji, usilnie przestrzegają Zachód przywódcy, których nie sposób nazwać rzecznikami Kremla – kilka miesięcy temu uczynił to prezydent Serbii, Aleksandar Vučić, który mówił otwarcie o perspektywie trzeciej wojny światowej. Prezydent Kazachstanu, Kasym-Żomart Tokajew, z kolei przestrzegał przed „nieodwracalnymi konsekwencjami dla całej ludzkości”.

Sami zachodni decydenci mają zresztą świadomość, jak wielkie ryzyko wiąże się z podobnymi decyzjami. W lipcu minister obrony z nowego rządu laburzystów, Dan Jarvis, zapytany, na ile Wielka Brytania powinna obawiać się rosyjskiego odwetu, odpowiedział: „Oczywiście musimy się go wystrzegać. I oczywiście musimy być niezmiernie ostrożni”. Niezmiernie ostrożni... Mniejsza z tym, jak rząd w Londynie

rozumie niezmierną ostrożność, kiedy sam zauważa, że w pewnych wypadkach może nastąpić rosyjski odwet na Wielką Brytanię, a mimo wszystko w praktyce zachowuje się, jakby nie istniały nieprzekraczalne granice eskalacji.

Tymczasem nasz minister spraw zagranicznych przejawia jeszcze mniej roztropności, kiedy deklaruje, że po prostu nie rozumie owych obaw. „Byłbym bardzo zaskoczony, gdyby [Putin] okazał się na tyle szalony, by rozpocząć wojnę z NATO. Podobnie jego groźby dotyczące broni jądrowej pozostają puste” – mówił Radosław Sikorski. Abstrahując od kazuistyki, czy dane działanie odwetowe – np. uderzenie w hub przerzutowy w Polsce lub w Rumunii rakiet manewrujących dla Ukrainy, o którym na Zachodzie się spekuluje – byłoby rzeczywiste rozpoczęcie wojny z NATO czy „li tylko” mocarstwową wymianą uprzejmości w kraju trzecim (takie mają przecież od czasu do czasu miejsca między np. USA, Izraelem, a Iranem, bez, bynajmniej, bycia w stanie otwartej wojny), wypowiedź Sikorskiego wskazuje mimo wszystko na diametralną różnicę między brytyjskim rządem, który mówi, że nie może dać się zaskoczyć wobec czegoś, co jest jak najbardziej realne, a samym Sikorskim, który mówi, że byłby zaskoczony, gdyby to coś rzeczywiście było realne, gdyż w jego opinii najwyraźniej takowe nie jest.

DZIWNA GORLIWOŚĆ

Zachodzi tu pytanie, skąd ta gorliwość ze strony polskiego ministra spraw zagranicznych, podczas gdy Polska nie jest nawet decydem w tej sprawie, a bez wątpienia może ponieść jej negatywne konsekwencje. W jakim celu to właśnie Radosław Sikorski odgrywa w tym krytycznym momencie wojny w zasadzie główną w Europie, obok Londynu, rolę retoryki eskalacyjnej?

Jeśli minister Koalicji Obywatelskiej przynajmniej nie poniża Polski, utożsamiając publicznie interesu Warszawy i Kijowa (w przeciwieństwie do rządu Mateusza Morawieckiego), a nawet, jeśli wierzyć doniesieniom medialnym, być może stawia na ostrzu noża kwestie pryncypialne, w których rząd Zjednoczonej Prawicy po prostu abdykował, jak ekshumacje polskich ofiar ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu – czego akurat można mu win-

szować – to w swej neokońskiej gorliwości bez wątpienia przebił zapalczywość Prawa i Sprawiedliwości, co było jednak trudne do przewidzenia. Nie poniża Warszawy, co nie znaczy, że jej nie naraża!

Nawoływanie do rekrutacji Ukraińców w krajach zachodnich (poprzez pogorszenie ich sytuacji ekonomicznej odcięciem zapomóg) celem wysłania ich na front, zapowiadanie w Kijowie (wbrew wcześniejszym deklaracjom ministra obrony narodowej Kosiniaka-Kamysza), że Polska być może przekaze swe mi-29 Ukrainie, dwojenie się i trojenie, przede wszystkim w kwestii uderzeń natowsko-ukraińskich w głąb Rosji – Radosław Sikorski zachowuje się jak pierwszy lepszy rzecznik amerykańskich neokonserwatystów, akwizytor przemysłu zbrojeniowego tudzież dyżurny autorytet pokroju byłego dowódcy NATO, gen. Fredericka Hodgesa, dorabiającego propagandą do emerytury, nie zaś jak stróż polskiej racji stanu za granicą.

Ukraina ma, ze swej strony, jak najbardziej możliwość rozważać podobną opcję i lobbować, na rachunek własnego ryzyka, o tego typu broń u swych partnerów, choć osobiście uważam, że w ogólnym bilansie zysków i strat jest to dla niej rozwiązaniem wielce niekorzystne (i być może mało skuteczne: Rosjanie np. już przerzucili w głąb kraju swe samoloty bojowe celem ich odsunięcia od zasięgu rakiet typu Storm Shadow). Jednak jest to głównie wewnętrzna sprawa Ukrainy. Natomiast Radosław Sikorski działa obecnie już nawet nie jako rzecznik sprawy ukraińskiej, ale po prostu wielki herold eskalacji i usypiacz roztropności w kwestii jej możliwych konsekwencji, działając w tym wypadku nie tyle w interesie bezpieczeństwa Polski, ile w imię doktryny dość bezpiecznych za oceanem wyznawców boga Marsa, dla których każda wojna jest święta, jeśli służy podtrzymaniu amerykańskiej hegemonii (i bezpieczeństwa Izraela – to akurat rdzeń tego nurtu). Ponad wszystko nerwowe ruchy mające uratować pęknięcie frontu w Donbasie świadczą po prostu o desperacji partii wojny, która pierwotnie pchnęła Kijów do odrzucenia rozejmu, do którego był skłonny, zważywszy na swe położenie. Desperacja niekoniecznie jednak rymuje się z rozsądkiem czy z odpowiedzialną przyjaźnią względem Ukrainy.



WIELKA POWÓDŹ, OGROMNE STRATY

Co najmniej siedem osób zginęło, a tysiące straciło dach nad głową w wyniku powodzi, która przeszła w ubiegłym tygodniu przez południe kraju. Niszczycielska siła wody porywała samochody, niszczyła domy, drogi, mosty i tory kolejowe. W Łądku-Zdroju woda zerwała niemal wszystkie mosty, w tym XVI-wieczny most św. Jana, a mieszkańcy uzdrowskiej miejscowości opowiadali, że powódź była o wiele gorsza niż ta z roku 1997.

Wielu mieszkańców zalanych terenów straciło dorobek całego życia. Ci, których domy ocalały, po powrocie musieli zmierzyć się z wielkim błotem, a także połaciami szlamu zmieszanego z fragmentami drzew, płotów czy murów. Wstępne straty szacowane są na miliardy złotych.

(jap) © ©

FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER



FOT. FILIP NAJEMNO/REPORTER



Skalę desperacji Donalda Tuska pokazało m.in. to, że sięgnął po Owsiaka, by przy nim apelować o pomoc dla powodzian

FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

Czy powódź zmyje Tuska?

Okazało się, że z wielkiej powodzi roku 1997 Polska nie wyciągnęła żadnych wniosków. Kolejna klęska żywiołowa w Dolnośląskiem pokazała takie same – jeśli nie jeszcze większe – chaos, bezradność władz i służb, brak jasnego rozdzielania pomiędzy nie kompetencji i obowiązków, brak sprawnego mechanizmu reagowania na kryzysy, zarówno na szczeblu lokalnym, jak i centralnym, i wreszcie, mimo nieustannego perorowania o „zmianach klimatycznych” i płynących z nich zagrożeniach, zaniedbanie inwestycji w przeciwpowodziową infrastrukturę na terenach, o których od dawna wiadomo,



Rafał A. Ziemkiewicz

W trudnym czasie premier rządu całkowicie się pogubił. Czy wyborcy będą umieli zapamiętać, co zobaczyli?

że są szczególnie na gwałtowne wezbrania wód narażone.

To ostatecznie okazało się punktem najbardziej politycznie zapalnym. Zwolennicy obecnej władzy usiłują mitygować narastającą irytację argumentem, że ten gabinet rządził przecież dopiero od

dziewięciu miesięcy, nie można więc obwiniać go o zaniedbania 27 lat, które upłynęły od „wielkiej wody” – pechowo, nawiasem mówiąc, przypomnianej niedawno serialem o takim tytule. Przez te 27 lat rządziły lub współrządziły praktycznie wszystkie opcje – postkomu-

niści, postsolidarność, LPR, Samoobrona, a przez ostatnich osiem lat PiS. Dlaczego więc odpowiedzialność za brak zbiorników retencyjnych spaść ma tylko na rząd ukonstytuowany 13 grudnia 2023 r.?

MINISTER OD BZDUR

Dlatego – odpowiadają na to przeciwnicy rządu – że w skład tego rządu i jego zaplecza oraz jego medialnych wojsk wchodzi szaleńcy, którzy kilka lat temu poruszyli niebo i ziemię, by zablokować budowę dziewięciu zaplanowanych przez PiS zbiorników retencyjnych, i do ostatnich chwil przed powodzią robili wszystko, niestety skutecznie, by udaremnić wszelkie starania o uregulowanie Odry. To jest niestety niezaprzeczalny fakt.

Wiceministrem klimatu i środowiska jest z ramienia KO Urszula Zielińska, wsławiona licznymi wygłaszanymi publicznie bzdurami o tym, że budowa zbiorników retencyjnych to „nie inwestycja, ale dezinwestycja, która zubaża społeczeństwo” i że ich budowanie w obecnych czasach nie ma sensu, bo przecież problemem jest brak wody, a nie jej nadmiar. Wiceminister Zielińska – która twierdziła też swego czasu, że „transport śródlądowy jest nieopłacalny”, a przekopanie Mierzei Wiślanej grozi tym, że wody Wisły odpłyną do morza – jeszcze 10 września uczestniczyła w spotkaniu poświęconym „obronie” Odry przed próbami regulacji we wrocławskiej Fundacji EkoRozwoju. Kilka dni później ta sama fundacja, która chwaliła się jej wsparciem, ogłaszała, że kontakt z nią będzie utrudniony, bo wobec prawdopodobnego zalania miasta musi przenieść swe komputery na piętro i wyłączyć łączność stacjonarną.

Zielińska stała się w obecnej sytuacji osobą szczególnie kompromitującą rząd Tuska, ale nie jest przecież jedyna. Wice-marszałkiem Sejmu jest, także z ramienia PO, Monika Wielichowska – również gorliwa uczestniczka „obywatelskich” protestów przeciwko retencji w roku 2019. Protesty te były gorąco wspierane przez lewicowo-liberalne media, „Gazetę Wyborczą”, OKO.press i inne nieposiadające się z radości, że np. próbująca przekonać protestujących „PiS-owska” minister Anna Zalewska została przez nich „wybuczana”.

Czy te protesty – skuteczne, bo pod ich wpływem rząd PiS wycofał się wtedy z budowy zbiorników – bardziej płynęły z ideologicznego zaciętrzewienia ekoszołomów, z historycznej zasady, przyjętej wtedy przez lewicowo-liberalne elity, że wszystko, cokolwiek robi PiS, trzeba zwalczać i przedstawiać jako katastrofę, zagrożenie i faszyzm, czy z jeszcze innych względów?

Komentując akcję przeciwpowodziową w programie Grzegorza Jankowskiego w Polsat News, dr Grzegorz Chocian, hydrolog i ekolog (we właściwym sensie tego słowa – tzn. legitymujący się wykształceniem w tych dziedzinach, w przeciwieństwie do specjalistek od

wą, spuszczać wodę. Trudno o lepszy dowód chaosu komunikacyjnego.

Gdy się okazało, że powódź jednak przyszła, i to wielka, „odzyskany” wraz z TVP i PR przez zbirów ministra Sienkiewicza PAP usunął depeszę informującą o uspokajających słowach premiera – by parę godzin później, gdy ten akt cenzury został powszechnie napiętnowany w Internecie, znów ją przywrócić.

Przez pewien czas premier próbował przejść jakoś nad swą chybioną prognozą do porządku dziennego, potem postanowił jej bronić, twierdząc w swojej TVP, że prognozy naprawdę nie były alarmujące, i wtedy najzupełniej nieoczekiwanie nóż w plecy wbił mu unijny komisarz do spraw

Wiceminister klimatu Urszula Zielińska jeszcze 10 września uczestniczyła we wrocławskiej Fundacji EkoRozwoju w spotkaniu poświęconym „obronie” Odry przed próbami regulacji

marketingu Urszuli Zielińskiej i Moniki Wielichowskiej czy politolog minister klimatu Hennig-Kloski) oskarżył o finansowanie i organizację ówczesnych protestów obce wywiady. – Mnie też próbował zwerbować niemiecki wywiad, żebym protestował. Nie zgodziłem się, ale wiem, kto się zgodził – niech to wreszcie głośno wybrzmi – powiedział.

POGUBIONY PREMIER

Słowa Chociana to tylko jedno z wielu katastrofalnych dla PO i jej lidera zdażeń związanych z tą powodzią. Donald Tusk, zazwyczaj wykazujący się sprytem, tym razem w konfrontacji z kryzysem zupełnie się pogubił. Najwyraźniej dał się komuś przekonać, że sprawa nie wymaga jego uwagi, i 13 września ogłosił, że „raporty pokazują, że nie będzie tak źle” i „nie ma co panikować”. W ślad za tą wypowiedzią poszły uspokajające deklaracje niższych rangą urzędników Wód Polskich, zarządzających zbiornikami retencyjnymi, dla mediów lokalnych – „Nowin Nyskich”, Radia Opole i innych – że nie ma potrzeby opróżniania zbiorników, nie będą one potrzebne. Jak dziś się okazuje, w tym samym czasie mający na tym terenie swoje mniejsze zbiorniki Tauron już je szykował na falę powodziowo-

zarządzania kryzysowego, Janez Lenarčič. Podczas debaty w europarlamencie poświęconej klęsce żywiołowej oznajmił on, że KE ostrzeżenie o nadchodzącej wielkiej powodzi przekazała zagrożonym państwom już 10 września. Lenarčič pochwalił przy tym – za wzorowe, w jego przekonaniu, wykorzystanie tego ostrzeżenia – Czechy. Nie musiał chwalić Niemiec, gdzie modernizowane i rozbudowywane w ostatnich latach wały i zbiorniki wytrzymały. O Polsce nie wspomniał.

Czy ostrzeżenie KE, przesłane oficjalnymi kanałami, do premiera nie dotarło? Czy on sam je zlekceważył? Jeśli się zgubiło, to gdzie, i dlaczego „ucho” Tuska mieli w tym czasie heroldowie zmyślnych, uspokajających wieści? Można się domyślić, że już po zaledwie trzech kwartałach sprawowania władzy Tusk padł ofiarą własnego stylu zarządzania przez „wściekanie się” – nikt po prostu nie chce mu przedstawiać informacji, które mogłyby go zirytować.

W każdym razie fatalne zlekceważenie zagrożenia odbiło się na działaniach władzy w sposób dla wszystkich widoczny. Dopiero 14 września, gdy Kłodzko i okoliczne gminy były już pod wodą, zwrócono się oficjalnie o pomoc do Wojsk Obrony Terytorialnej i wtedy też

■ rozpoczął Tusk PR-owską ofensywę, mającą przekonać obywateli, że panuje nad sytuacją. Jego działania, delikatnie mówiąc, nie wypadły przekonująco. Przede wszystkim pokazały, że nie mamy nie tylko infrastruktury, lecz także żadnego planu działania w sytuacjach kryzysowych, które przecież wiadomo, że zawsze mogą się zdarzyć.

NIC SIĘ NIE ZMIENIŁO

Wielkie media, jak powszechnie wiadomo, mają przygotowane gotowe skrypty publikacji na różne kryzysy – np. nekrologi wszystkich znanych osób. Jeśli nagle zginie prezydent ważnego kraju, papież czy ajatollah, to wystarczy tylko dopisać kilka aktualizujących zdań i jednym kliknięciem puścić tekst w obieg. Szanując się kraje przygotowują listy ekspertów od różnych nagłych zdarzeń, nawet mało prawdopodobnych, których w razie czego, na dany znak, należy wyciągnąć z łóżek, ściągnąć z urlopów i natychmiast przysłać prezydentowi czy kanclerzowi w sukurs. W relacjach o tragedii smoleńskiej uderza powtarzająca się informacja, że już kilka godzin po niej Władimir Putin miał wokół siebie licznych specjalistów od Polski, doskonale wiedział, co się stało, jaki jest stan prawny, a zapewne miał już też przygotowane ramowe scenariusze obrócenia katastrofy na pożytek swego kraju i swój własny. Premier Tusk natomiast, stanąwszy przed nim, przypomniał dziecko we mgle i do tego stopnia nie został wcześniej „zbrifowany”, że dał sobie wcisnąć kłamstwo o załączniku do „konwencji chicagowskiej”.

Nic się od tamtych czasów nie zmieniło. Szukanie pomysłu, co by tu zrobić w czasie kataklizmu żywiołowego, zaczęło się po kataklizmie. I jak zwykle poszło w kierunku: „Co by tu zrobić, żeby było na PiS, nie na PO?”. Efektem były pajacowanie i miotanie się od ściany do ściany. Urządzane ewidentnie na pokaz, transmitowane na żywo w rządowych mediach (z demonstracyjnym zakazem wejścia na salę dla Republiki) „posiedzenia sztabu kryzysowego”, na których usiłowano widzów uspić, zarzucając ich wielogodzinny recytacjami nieważnych szczegółów, ile metrów sześciennych wpływa, a ile wypływa aktualnie ze zbiornika w Kaczycach Dołach Górnych;

buńczuczne pogroźki premiera, że surowo ukarze szabrowników (pomińmy już, że od zawsze formacja Tuska twierdziła, iż surowość kar to ziobryzm i pisizm i wcale nie odstrasza one przestępców – to czyż wyroków nie będą wydawać niezależne sądy, a nie premier?); czy znowu zapowiedzi, że wzorem Jaruzelskiego na zalanych terenach wprowadzi rząd ceny urzędowe, aby „spekulanci” nie zarabiali na ludzkim nieszczęściu (niby jak wprowadzi, a zwłaszcza – niby jak przestrzeganie tych urzędowych cen wyegzekwuje?).

Niektóre pomysły PR-owców Tuska popchnęły go ku groteskowemu pajacowaniu. Do takich należał zwłaszcza „ocieplający wizerunek” ilustrowany wpis w mediach społecznościowych o słoiku zupy szczawiowej, przysłany „własnoręcznie dopilnowującemu walki z powodzią” (frazą z Barei, ale przynajmniej państwo, że adekwatna) przez „kochającą Gosię”. Albo filmik, na którym Tusk

Szukanie pomysłu, co by tu zrobić w czasie kataklizmu żywiołowego, zaczęło się po kataklizmie

niczym Rambo osobiście wdzierając się do zalanego domu, siłą pokonując wypaczone od wilgoci drzwi. Skąd po drugiej stronie forsowanych drzwi, wewnątrz zalanego domu, znalazł się kamerzysta? Jak i po co Gosia przysłała z Sopotu młewowi słoik domowej zupki na Dolny Śląsk? Wiozła go przez całą Polskę rządowa limuzyna „na bombach” czy może doleciał wojskowym helikopterem?

O skali desperacji i zagubienia Tuska świadczy szybkie sięgnięcie po ultima ratio – ostatnie, najmocniejsze atuty propagandowe: Jerzego „Jurka” Owsiaka i Ursulę von der Leyen. Ten pierwszy pojawił się przy boku premiera jako „najlepszy specjalista od pomagania ludziom” po to, by szef rządu mógł zaapelować o wpłacanie na WOŚP, który „najlepiej się wszystkim zajmie”. Obecność u boku lidera PO „świeckiego świętego” miała zamknąć usta „PiS-owskiemu hienom” (który to tytuł nadała rządowa propaganda wszystkim krytykującym chaos i beżadł w działaniach

państwa), ale raczej zirytowała ludzi, którzy płacą podatki państwu i liczą, że będzie się ono wywiązywać ze swoich zadań, a nie zasłaniać się celebrytą. Z kolei szefowa Komisji Europejskiej pojawiła się we Wrocławiu, gdzie zapowiedziała, że wszystkie kraje dotknięte powodzią będą mogły przeznaczyć w sumie 10 mld euro z Funduszu Spójności na odbudowę zniszczeń. Szef KPRM Jan Grabiec napisał potem na X, że z tej kwoty 5 mld euro przeznaczone będzie dla Polski.

To, że nie tylko premier się pogubił – przypomnijmy jeszcze fatalny pomysł minister Hennig-Kloski z Polski 2050, która obiecała ofiarom powodzi, że ministerstwo udzieli im na odbudowę „niskooprocentowanych kredytów” (na jakiej podstawie prawnej ministerstwo miało by udzielać pożyczek?), czy historyczną i zwyczajnie głupią napasę Szymona Hołowni na dziennikarza TV Republika, że nie ma moralnego prawa pytać o storpedowanie w 2019 r. przez obecną władzę PiS-owskich planów budowy zbiorników retencyjnych, jeśli sam żadnego takiego zbiornika nie zbudował. Jednak to ma mniejsze znaczenie, bo ani Hołownia, ani Kosiniak-Kamysz (którego PSL odpowiada za fatalne decyzje urzędników Wód Polskich, nadzorujących zapełnianie i opróżnianie zbiorników) nie byli kreowani przez ostatnie miesiące w rządowej propagandzie na „sprawczego” wodza, który jednym zmarszczeniem brwi wsadza do aresztów śledczych, rozlicza i nawet ma odwagę podejmować, skoro trzeba wsadzać i rozliczać, takie działania, które „puryści” mogą uznać za niepraworządne.

Wezbrane wody niebawem opadną – pozostanie proces żmudnego likwidowania szkód. Czy Tuskowi uda się odbudować nadszarpniętą powodzią wizerunek? Czy w oczach swoich wyborców z października ubiegłego roku wciąż pozostaje teflonowy i kolejny sondaż pokaże, że zdaniem mniej więcej 40 proc. nadal wszystko, co robi, jest wspaniałe i że równie wspaniale poradził sobie z kłęską żywiołową? Na ten moment trudno o pewność, ale wydaje się, że efekt będzie odłożony w czasie, niemniej – nieuchronny. W chwili próby Tusk po raz kolejny pokazał się jako polityk bezradny i zwyczajnie niepoważny. I wyborcom trudno to będzie odzobaczyć. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Panuje przekonanie, że tegoroczna powódź była na ziemi kłodzkiej groźniejsza niż ta z roku 1997.

Z całą pewnością spowodowała więcej szkód. Poza Kłodzkiem tragiczne skutki przyniosła dla Łądko-Zdroju i dla Stronia Śląskiego, skąd napłynęły informacje o ofiarach śmiertelnych.

Na czym polega fenomen Kotliny Kłodzkiej, że jest tak „atrakcyjna” dla niżu genueńskiego? Dlaczego jego wizyty kończą się tu zwykle mniejszymi lub większymi katastrofami?

Odpowiedź nie jest jednoznaczna, chociaż scenariusz meteorologiczny został rozszyfrowany dość dawno. Gdzieś z dala od naszych granic, nad ciepłymi wodami Morza Liguryjskiego, w masie ciepłego powietrza w kontakcie z chłodniejszą masą zaczynają tworzyć się prądy wznoszące. Rodzi się ośrodek niżowy po południowej stronie Alp. Przyłgnęła do niego nazwa niżu genueńskiego. Wkrótce odwiecznym szlakiem rozpoczyna energiczną wędrówkę na wschód. Przemyka się u podnóża Alp, mijając, kropiąc deszczem, Austrię, rozpędza się nad Czechami, zachodnią Słowacją, Niziną Węgierską i pomknąłby dalej nad Ukrainę, dając obfite, choć niekoniecznie katastrofalne opady w Karpatach, ale nagle... stop. Wyhamowuje go ośrodek wysokiego ciśnienia nad wschodnią częścią kontynentu. Niż szturmuje bezowocnie Karpaty, próbuje się przedrzeć Bramą Morawską (czyli doliną górnej Odry) i ostatecznie w ciągu od trzech do siedmiu dni pozbywa się nad Sudetami całej wilgoci, którą nasiąkł w strefie śródziemnomorskiej. Doświadczeni meteorolodzy kiwają ze zrozumieniem głowami – oczywiście to typowa sytuacja synoptyczna: musi łać – i powódź murowana.

Nie jest jednak jasne, dlaczego niż genueński upodobał sobie Sudety Wschodnie jako miejsce, gdzie uwalnia maksimum swojej wilgoci. Zarówno w roku 1997, jak i teraz największe opady objęły najwyższe masywy górskie Sudetów Wschodnich – czeski Praděd (Pradziad 1491 m n.p.m., stąd spływają rzeki zasilające Odrę) i nasz Śnieżnik (1425 m n.p.m.). To z masywu Śnieżnika i sąsiednich Gór Bialskich wypływa Biała Łądecka (odpowiedzialna za zrujnowanie Łądko-Zdroju, a jej dopływ, Morawka, za przerwanie tamy w Stroniu Śląskim) i tu ma swoje źródła Nysa Kłodzka.

Przeklęta rzeka, przeklęta kotlina



Adam Zubek

Tak jak 27 lat temu w mediach wymieniane są Krosnowice, Ołdrzychowice, Żelazno, Międzygórze i oczywiście Kłodzko. W tym roku na czele listy znalazły się jeszcze Łądek-Zdrój i Stronie Śląskie. Wszystkie leżą w Kotlinie Kłodzkiej. Co je łączy? Nysa Kłodzka

Zadziwiające jest jednak to, że katastrofalne wrześniowe opady nie objęły zachodniej części ziemi kłodzkiej (Gór Stołowych i Bystrzyckich). Ocalały dzięki temu uzdrowiska – Kudowa, Duszniki i Polanica, a Kłodzko może mówić o szczęściu w nieszczęściu. Gdyby również z tej strony napłynęła Bystrzycą Dusznicką fala powodziowa, skutki dla miasta byłyby wprost niewyobrażalne.

Zadziwia jeszcze jedno: termin. Powódź we wrześniu? Jeśli przewertujemy kronikę wielkich powodzi w Polsce w ostatnich 100–200 latach, to zawsze (z rzadkimi wyjątkami) będzie to czerwiec lub lipiec, lub okres na przełomie tych miesięcy (tak było w 1997 r.). Bywają oczywiście powodzie wiosenne, w marcu lub kwietniu, ale są to zawsze powodzie roztopowo-rozlewne i raczej dotyczą Polski nizinnej. Powódź wrześniowa jest rzadkością. Także dla

Kłodzka, chociaż niecałe 100 lat temu, w roku 1938, wystąpiła na ziemi kłodzkiej katastrofalna, porównywalna z tą z 1997 r., powódź wrześniowa. A lista podobnych kataklizmów jest bardzo długa. Podobna katastrofa wystąpiła w roku 1903, a wcześniej w 1883, a jeszcze wcześniej w 1783 i jeszcze... i jeszcze – mniej więcej dwa razy na stulecie.

Nie bez powodu już w XIII w. zafundowało więc sobie Kłodzko potężny most (istniejący do dzisiaj i określany w przewodnikach jako miniatura mostu Karola w Pradze) – o wiele za potężny jak na wielkość grodu i wielkość rzeczki przepływającej leniwie między jego filarami. Nie bez powodu poczesne miejsce wśród słynnych kamiennych figur zdobiących ów most zajął św. Jan Nepomucen – obrońca przed wylewami rzek. Gdyby dobrze policzyć, to liczba kamiennych

■ figur świętego i innych jego wizerunków jest w Kłodzku rekordowa – ok. 40, a na całej ziemi kłodzkiej – blisko 300. Tym razem jego figura, zdobiąca stary gotycki most w Łądku-Zdroju, nie obroniła przeprawy – została zmieciona przez kolosalną falę powodziową po przerwaniu tamy w Stroniu Śląskim.

WĘZEŁ NIE DO ROZSUPŁANIA

Dzieje geologiczne tego regionu sprawiły, że w samym centrum kotliny, tuż powyżej i tuż poniżej Kłodzka, utworzyło się coś, co hydrologi nazywają węzłem hydrograficznym: na odcinku zaledwie kilku kilometrów zbiegają się doliny czterech rzek – Nysy Kłodzkiej, Białej Łądeckiej, Bystrzycy Dusznickiej i Ścinawki – oraz kilku górskich potoków. Na co dzień są to malownicze, niewinne rzeczulki. Biada jednak tym (po dwakroć biada – chciałoby się powiedzieć w kontekście tego, co wydarzyło się w lipcu 1997 r. i we wrześniu 2024 r.), którzy zapomną, że mają do czynienia z rzekami górskimi.

Dlaczego rzeki górskie są takie groźne? Któryś z francuskich hydrologów podzielił kiedyś powódzie na... pocztowe, telegraficzne i radiowe. Rzeczywiście, podczas obu powodzi ostrzeżenie dla Opola czy Wrocławia można było swobodnie wysłać pocztą. Dla takich miast jak Racibórz czy Nysa zapewne wystarczyłby telegraf, w Kotlinie Kłodzkiej zdałaby egzamin jedynie łączność radiowa (raczej nieinternetowa). W dolinach górskich rzek największe bowiem zagrożenie wynika z prędkości zachodzących zjawisk.

Doliny są skaliste (nie ma więc mowy o pochłanianiu wody przez nadrzeczne gleby). Stosunkowo niewielki opad potrafi błyskawicznie wypełnić dolinę wodą pędzącą z olbrzymią prędkością. Obliczono, że przepływ w rzece górskiej może się zwiększyć od 800 do 1000 razy (stosunek między największym wielkim przepływem a absolutnie najmniejszym). Przy takich masie i prędkości woda uruchamia tzw. rumowisko rzeczne, a więc porywa piasek, żwir, kamienie i głazy, i dopiero wtedy nabiera mocy porównywalnej z siłą czołgu. Tylko że żaden czołg nie porusza się z taką prędkością. Mimo takiej siły i takiej prędkości ta potrójnie wzmocniona Nysa nie jest w stanie gład-



ko przepchać swoich wód przez kłodzki węzeł. Tym bardziej że czekają tu na Nysę trzy blokady.

NA NYSE NIE MA MOCNYCH

Pierwszą jest przełom Nysy w samym Kłodzku – coś, czego nie są świadomi sami kłodzczanie, chociaż bardzo dobrze wiedzą, że chcąc się dostać z jednego dworca kolejowego (Kłodzko-Miasto) na drugi (Kłodzko Główne), muszą „przeciskać się” kilkukilometrową doliną, w której z trudem mieszczą się i rzeka, i tory kolejowe, a szosa wrocławska musi wykorzystywać już sztuczną półkę skalną. Nysa płynie tu między dwoma skalistymi wzgórzami – Górą Forteczną (ze znaną twierdzą) i Górą Owczą (również ufortyfikowaną). Takie zwężenie doliny rzeki, która jeszcze kilometr wcześniej płynie płaskim i bardzo

szerokim dnem kotliny, spełnia w momencie wezbrania funkcję zapory.

Drugą blokadą jest sama zabudowa miasta, która za bardzo zbliżyła się do rzeki. Brzegi zostały obmurowane i obudowane domami, zamieniając koryto rzeki oraz jej odgałęzienia (Młynówki) w wąski kanał. W rejonie mostu Żelaznego, który mimo swej urody sam jest swoistą przeszkodą, Nysa musi zmieścić się w 30-metrowym przekroju. Nie ułatwiają też przepływu pozostałe miejskie mosty. Najgorszym pomysłem była budowa w latach 60. osiedla (nomen omen) Nysa, dokładnie w korycie rzeki. Bo czymże innym jest piaszczysta łąka między dwoma ramionami rzeki – miejsce starannie omijane w niemieckich planach rozbudowy miasta? W lipcu 1997 r. i we wrześniu 2024 r. Nysa popłynęła sobie swobodnie poprzez mieszka-

Kłodzko po przejściu fali powodziowej
FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER



nia dwóch kondygnacji budynków tego osiedla. A zaledwie kilkaset metrów dalej, na murach kościoła Franciszkanów oraz ścianie dworcowego wiaduktu, zachowała się przestroga – poniemieckie tabliczki upamiętniające poziom wody z roku 1938 – tylko nieco poniżej naszej powodzi.

Kilka kilometrów dalej na tę poczwór-ną już Nysę (poniżej Kłodzka przyjmuje rzeka jeszcze wody Ścinawki) czeka bardzo wąskie gardło Przełomu Bardzkiego.

Wypiętrzenie Gór Bardzkich dokładnie w poprzek płynącej prosto na północ Nysy Kłodzkiej nie było najlepszym pomysłem natury. Spokojnie meandrująca, nizinna dotychczas rzeka poradziła sobie jednak z potężnymi procesami górotwórczymi, nie zmieniając nawet kształtu swej doliny. Nie-spożytej energii i uporowi Nysy zawdzię-czamy to, że kotlina nie stała się jeziorem.

Z kotliny, zaryglowanej od północy przez Góry Bardzkie, Nysa wyprowadza swoje wody przez pięć potężnych stromościen-nych zakoli. Ta dolina to dla Bolesława Chro-brego (i jego następców) brama do Czech, dla Brzetysława (i jego następców na Hrad-czanach) – brama do Polski. Za to położenie „w bramie” płaciły nieraz Kłodzko i cała kotlina wysoką cenę. Bramę szturmowali zarówno Czesi, jak i Polacy, husyci i lisow-czycy, Prusacy, Austriacy, a nawet Szwedzi i Francuzi. Owoce sporów o „bramę” można obejrzeć w znanej kaplicy Czaszek w Czer-mnej koło Kudowy, gdzie przed 200 laty miejscowy proboszcz, Wacław Tomaszek, zgromadził zbierane po okolicznych polach i lasach kości kilkudziesięciu tysięcy ofiar wojny trzydziestoletniej.

Rygiel Gór Bardzkich sprawia, że wzbierająca rzeka w takiej sytuacji

stara się jak najszybciej przepchać coraz większe masy wody przez wąską, przełomową dolinę. Skutki tego można zaobserwować w Bardzie. Ponad 400 lat temu (1598) wezbrane wody Nysy Kłodzkiej na swym ostatnim zakolu w obrębie gór podmyły zbocze skalistej Kalwarii (593 m n.p.m.), powodując katastrofę geologiczną. Ogromne masy skał zatarasowały wąską dolinę rzeki, a spiętrzone wody zaczęły zalewać Bardo Śląskie, stwarzając śmiertelne zagrożenie dla jego mieszkańców. Nysa poradziła sobie z przeszkodą, którą sama zbudowała; w krótkim czasie wyłobiła nowe koryto. Śladem katastrofy i przestrogą przed lekceważeniem potęgi górskiej rzeki jest 100-metrowe urwisko zwieńczone białym krzyżem, dobrze widoczne z szosy, a także z okien pociągu.

ODZYSKANA PAMIĘĆ

Perspektywy dla Kłodzka i jego miesz-kańców nie są optymistyczne. Bardziej zaawansowane próby zapanowania nad żywiołem liczą sobie ponad 100 lat. To wtedy podjęto decyzję o zbudowaniu 10 zapór na górskich dopływach Nysy. Według ówczesnych obliczeń byłyby one w stanie zatrzymać 67,9 mln m sześć. wody. Powstały jedynie dwa zbiorniki, w Międzygórzu i w Stroniu Śląskim, które są w stanie zmagazynować tylko nieco ponad 2 mln m sześć. Liczby mówią same za siebie.

Wymiana ludności po roku 1945 spowodowała zanik „pamięci hydrologicznej”. Przebudzenie nastąpiło pamiętnego roku 1997. Po powodzi opracowano koncepcję stworzenia na terenie ziemi kłodzkiej 11 tzw. suchych zbiorników re-tencyjnych. Choć na razie powstały tylko cztery, to w jakimś zakresie spełniły swo-ją funkcję, spłaszczając falę powodziową przed Kłodzkiem. Niezależnie od tego Wody Polskie prowadzą przebudowę i modernizację infrastruktury hydro-logicznej w samym mieście. Niestety, projekty wychodzące z założenia, że im więcej stali i betonu, tym lepiej, zostały boleśnie zweryfikowane we wrześniu. Podwyższone i umocnione mury nicze-mu nie zapobiegły.

Rzeka ma prawo do stworzonej przez siebie doliny i będzie zawsze upominać się o swoje prawa. Stuprocentowe zabezpie-czenia nie istnieją.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Polowanie na Roberta Kostkę



Piotr Semka

Jeżeli minister Hanna Wróblewska zakładała, że zwolnienie Roberta Kostki z funkcji dyrektora Muzeum Historii Polski odbędzie się szybko i bez większego hałasu, to już widać, że to się nie udało. Tylko czy ekipa Tuska będzie liczyła się z protestami nawet ze strony znanych nazwisk z obozu liberalnego?

Plotki o zamiarach koalicji centrolewicowej co do odwołania dyrektora Muzeum Historii Polski krążyły już od dłuższego czasu. Na przełomie lipca i sierpnia br. Robert Kostko został zaproszony do Ministerstwa Kultury, gdzie zaproponowano mu odejście z MHP w zamian za objęcie kierownictwa Instytutu Pileckiego. Kostko zdecydowanie odmówił, ale nie upublicznił tej informacji. Teraz resort minister Hanny Wróblewskiej uznał najwyraźniej, że skoro szef MHP nie chce odejść po dobrym, to czas zacząć formalną procedurę jego odwołania. I oto 12 września szefowa resortu rozesłała pismo z prośbą o opinię w sprawie zamiaru odwołania Roberta Kostki ze stanowiska dyrektora w środku kadencji, kierując je m.in. do Stowarzyszenia Muzealników Polskich, Polskiego Towarzystwa Historycznego i związków zawodowych działających w MHP. Wspomniane instytucje miały zająć stanowisko do 18 września. Tymczasem już 13 września tygodnik „Polityka” z wyraźną satysfakcją ogłosił na swojej stronie internetowej: „Rewolucja w kulturze. Dyrektor Muzeum Historii Polski następny w kolejce do odwołania”. Publicysta tygodnika pisał: „Na Roberta Kostkę w środowisku muzealników żartobliwie mówiono »Ostaniec«. Na stano-

wisku przetrwał 18 lat, co jest rekordem w polskich realiach. Powołany jeszcze w końcówce pierwszych rządów PiS przez ministra kultury Kazimierza M. Ujazdowskiego przetrwał nie tylko dwie kadencje PO, ale i dwie kolejne PiS”.

Ministerstwo – niepomnie, że wcześniej proponowało Kostkę objęcie Instytutu Pileckiego, uznając jego uczciwość i kompetencje – tym razem zarzuciło mu niewłaściwe dysponowanie funduszami. Paradoksalnie jednak nie zarzucano Kostce, że wydał za dużo, ale że nie wydał wszystkiego z przeznaczonych dla niego pieniędzy. W obronie szefa MHP energiczną akcję zbierania podpisów podjął zarząd Stowarzyszenia Przyjaciół Muzeum Historii Polski. Swoje zaniepokojenie pomysłami odwołania Kostki ogłosiło też wielu naukowców z kraju i zagranicy.

Przetrwanie 18 lat na jednym stanowisku w warunkach burzliwej wojny politycznej w Polsce XXI w. zakrawać może na cud. Jak to się udało młodemu historykowi z Warszawy?

DŁUGI ROMANS Z HISTORIĄ

Na okładce katalogu wystawy „Potęga opowieści. Od dawnej kroniki do nowoczesnego muzeum” – jednej z pierwszych ekspozycji otwartego we wrześniu zeszłego

roku MPH – widnieje ilustracja przeciętego pnia drzewa. Jest to wyrazista metafora. Kolejne wydarzenia w życiu narodu odkładają się w zbiorowej pamięci jak słoje rozrastającego się drzewa.

We wstępie do katalogu Robert Kostko pisze: „Oprócz ustalania dat i faktów historyk określa również znaczenie tego, co się wydarzyło. Tworzy opowieść wpisującą się w polityczne i psychologiczne potrzeby zbiorowości, którą reprezentuje, oraz w pewną kulturową tradycję [...]. Co więcej, historyk jest tylko jednym – i to nie najsilniejszym – z graczy odpowiedzialnych za kształt zbiorowych wyobrażeń o przeszłości. Ma potężnych rywali, których nie ogranicza znajomość źródeł ani reguły ich krytyki, ponieważ mają oni prawo modyfikować fakty albo uzupełniać ciąg wydarzeń z pomocą własnej wyobraźni. Malarz, powieściopisarz, reżyser filmowy, a dziś youtuber – to twórcy, którzy kształtują narracje historyczne [...]. Budowanie narracji służy bowiem zwykle nie tylko poznaniu przeszłości, ale również tworzeniu i umacnianiu tożsamości wspólnoty politycznej”.

Te słowa dobrze oddają wagę, jaką szef MHP przypisuje umiejętności budowania opowieści o wspólnych dziejach. Nie jest przypadkiem, że Robert Kostko

Przetrwanie przez Roberta Kostkę 18 lat na jednym stanowisku to fenomen w warunkach burzliwej wojny politycznej w Polsce XXI w. FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

rozpoczął swoją aktywność opozycyjną w czasach PRL w konserwatywnym Ruchu Młodej Polski. Młodopolacy dojrzewali do sprzeciwu wobec komunistycznego systemu, protestując przeciwko zakłamywaniu historii i samych chcąc ją poznawać. Nieprzypadkowo tacy liderzy RMP jak Aleksander Hall, Arkadiusz Rybicki czy Marek Jurek byli właśnie historykami. Publicysta Marek Budzisz, który w połowie lat 80. działał podobnie jak Kostro w warszawskim środowisku RMP, wspomina: „Wśród młodopolaków zawsze podkreślano wagę podtrzymywania narodowej pamięci jako elementu ciągłości kolejnych pokoleń. Czegoś, co konstituuje wspólnotę narodową”.

Młodopolskie korzenie zbliżyły do siebie Roberta Kostro i Kazimierza M. Ujazdowskiego, którzy w latach 90. działali w Koalicji Konserwatywnej i Grupie Windsor, mającej ambicje być intelektualnym zapleczem ówczesnej prawicy. W 1997 r. powstaje rząd Akcji Wyborczej Solidarność, pod przewodnictwem Jerzego Buzka; w 2000 r. Ujazdowski zostaje ministrem kultury, a Kostro – szefem jego gabinetu. Szybko do tandemu Ujazdowski-Kostro dochodzi „trzeci muszkieter” w osobie Tomasza Merty związanego z prawniczym środowiskiem warszawskiej Grupy Publicystów Politycznych, który zostaje szefem Instytutu Dziedzictwa Narodowego.

Koniec lat 90. to czas swoistej intelektualnej rewolty najmłodszego pokolenia zaangażowanego w walkę z komunizmem, które występuje przeciwko modnej wówczas w obozie liberalnym „pedagogice wstydu”, przenicowującej krytycznie przeszłość Polaków. Symbolem tej – niekiedy bardzo brutalnej – kampanii był słynny tekst w „Gazecie Wyborczej”, po którego lekturze można było odnieść wrażenie, że ważną częścią Powstania Warszawskiego były polowania na cudem ocalonych Żydów.

Nasuwa się myśl o potrzebie zareagowania na taki stan rzeczy. Kostro i Merta patronują takim akcjom, jak np. kampania wizualna „Bohaterowie naszej wolności”, w ramach której na billboardach prezentowani są najstarsi polscy kombatanci z lat ostatniej wojny. Te nieśmiałe próby unowocześnienia modelu polskiej pamięci ściągają na ich inicjatorów krytyki „Gazety Wyborczej”, a nawet „Tygodnika Powszechnego”.

Okres lat 90. i początku nowego wieku to także czas, gdy wielu polskich konserwatystów ze zdumieniem obserwuje sprawność niemieckiej narracji historycznej, która nie tylko sprawnie lansuje, za pomocą np. filmów, przykłady oporu przeciwko Hitlerowi, tworząc wrażenie, że były to zjawiska masowe, lecz także coraz wyraźniej przedstawia Niemców jako ofiary ostatniej wojny, choćby w filmach o zimowej ucieczce mieszkańców Prus Wschodnich w 1945 r., o ofiarach stordowanego statku „Gustloff” czy o zagładzie Drezna pod bombami aliantów w lutym 1945 r.

Pokolenie Ujazdowskiego, Kostro i Merty odkrywa, że Europa coraz częściej widzi Polaków w roli wojennych pomocników Niemców w Holokauście, przy zaniku wiedzy o skali cierpienia ofiar niemieckiej okupacji w Polsce i skali bohaterstwa Polaków walczących na wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Pojawia się też idea opowiedzenia w nowoczesnym stylu o chwalebnych kartach naszej historii – z wolnością I Rzeczypospolitej, odbudową niepodległej II RP czy sukcesem Solidarno-

kultury w pierwszym rządzie Donalda Tuska, Bogdan Zdrojewski, nie zlikwidował zespołu przygotowującego nową placówkę muzealną i pozostawił Kostro na swoim stanowisku. Być może chciał pokazać swoją tolerancję, a być może był to efekt istnienia w ówczesnej Platformie silnego skrzydła konserwatywnego, z takimi politykami jak Jarosław Gowin czy Marek Biernacki. Faktem jest, że to właśnie za rządów Zdrojewskiego ogłoszony został konkurs na scenariusz ekspozycji głównej muzeum. Także potem, gdy Zdrojewskiego zastąpiła nowa minister kultury, Małgorzata Omilanowska, pomogła ona instytucji Kostro wybrnąć ze sporu o wybudowanie muzeum nad Trasą Łazienkowską i po konsultacjach z ówczesnym szefem resortu obrony Tomaszem Siemoniakiem pomogła przyjąć koncepcję umiejscowienia Muzeum Historii Polski na terenach XIX-wiecznej Cytadeli Warszawskiej.

Aby dostosować się do sytuacji współpracy z rządami Platformy, Kostro musiał bardzo wyraźnie odejść od jakiegokolwiek afiliacji politycznej na rzecz szukania sojuszników po różnych stronach spektrum politycznego i zdobywania szacunku środowiska naukowego.

Jest osobą o poglądach konserwatywnych, ale przede wszystkim realistą i państwowcem.

Jak sam wspomina po latach: „Musiałem się nauczyć wyzbycia się pokusy polityczności na rzecz łączenia ponad podziałami. Wycofałem się z roli polityka. Wybrałem misję człowieka publicznego. Zrozumiałem, że już nigdy nie mogę być politycznym fighterem, tylko muszę promować consensus w kwestii zbiorowej pamięci między podziałami”. Ale lata 2007–2015, kiedy rządzi PO, to wciąż dopiero faza wstępna budowy nowej placówki.

Jeden z byłych współpracowników Kostro z tamtego czasu podsumowuje tamten okres w dość kwaśny sposób: „Największym naszym osiągnięciem było to, że Platforma nas nie rozgoniła na cztery wiatry. Ale nie oznaczało to, żebyśmy szybko zbudowali to muzeum. Dostawaliśmy dokładnie tyle pieniędzy, aby nie zdechnąć, ale stanowczo za mało, żeby rozkwitać. Kostro nie zmarnował tego okresu. Zanurzony po uszy w proces wyboru kształtu architektonicznego muzeum i nadzorowania konkursu na kształt wystawy stałej przyszłej placówki znajdował czas na

Na przełomie lipca i sierpnia minister Wróblewska

próbowała wypchnąć szefa MHP do Instytutu Pileckiego

ści. Z tej refleksji wynikała idea powołania Muzeum Historii Polski. W 2006 r. Kostro zostaje mianowany dyrektorem tej dopiero powstającej instytucji.

Pytany dziś o tradycję, do których wtedy i dziś chce się odwoływać, mówi: „Najstarszym punktem odniesienia jest w naszych dziejach powstała na początku XIX w. w prywatnym majątku księżnej Izabeli Czartoryskiej Świątynia Sybilli, która miała gromadzić narodowe pamiątki. Innym wzorem była przedwojenna filozofia, która wyłoniła się wokół tworzenia muzeum narodowego, które w zamyśle jej przedwojennych twórców miało zajmować się nie tylko sztuką, ale i narodową historią”.

Pechowo dla Kostro rząd PiS nie rządził nawet rok po jego powołaniu na stanowisko szefa MHP. Ale Kostro nie stracił swego stanowiska. Nowy szef resortu

■ przygotowywanie na bieżąco ekspozycji, które tułały się po różnych miejscach”. Jedną z nich była ekspozycja „Londyn – stolica Polski”, która wspaniale odtworzyła powojenne życie „polskiego Londynu”. Niemające wciąż stałej siedziby muzeum wydawało też liczne publikacje naukowe.

Na silny impuls w kierunku zbudowania muzeum przyszedł czas dopiero za rządów PiS. Kostro nie uległ wtedy żadnemu zawrotowi głowy pod wpływem bardzo korzystnej dla niego koniunktury i dbał, aby w swoich kolejnych radach naukowych istniał konsensus między badaczami kojarzonymi z obozem liberalnym i obozem pravicowym.

Osiem lat rządów PiS to był czas, w którym Kostro musiał być bardziej budowniczym niż twórcą ekspozycji stałej – choć ta cały czas powstawała pod kierownictwem młodych, ale już doświadczonych historyków. Wreszcie 28 września 2023 r. doszło do oficjalnego otwarcia gotowego gmachu i otwarcia ekspozycji inauguracyjnej „Wielkie i małe historie”, przedstawiającej kolekcję MHP.

Minister kultury Piotr Gliński, otwierając nową placówkę, mówił: „(Muzeum) składa się na symboliczną opowieść o dokonaniach Polaków. Opowieść, na którą niepodległa Polska czekała zbyt długo. Mimo przełomu roku 1989 najważniejsze nasze muzeum zostało powołane do życia dopiero w 2006 r. i przez kolejne dziewięć lat budowa jego siedziby pozostawała co najwyżej w sferze niejasnych projektów i planów”. Gliński zaznaczył, że dopiero dojście do władzy PiS było impulsem pozwalającym zbudować muzeum. Trzy tygodnie po otwarciu placówki partia Jarosława Kaczyńskiego wygrywa wybory, ale staje się jasne, że nie stworzy rządu. Zaczynają się rządy Donalda Tuska.

CISZA PRZED BURZĄ

Nowy minister kultury w trzecim rządzie Donalda Tuska, Bartłomiej Sienkiewicz, po stworzeniu Koalicji 13 grudnia odwiedził muzeum i można było odnieść wrażenie, że wzorem poprzednich ministrów, Zdrojewskiego i Omilanowskiej, gotowy jest zaakceptować rządy Roberta Kostry nad muzeum aż do końca nowej kadencji w 2026 r. Jednak z obozu historyków marzących o rewanżu po okresie władzy PiS zaczęły szybko dochodzić nieprzyjemne pomruki.

„Nie wiadomo, jaką opowieść zaprezentuje Muzeum Historii Polski, jak już będzie gotowe” – pisał podejrzliwie Paweł Machcewicz, uznawany za nieformalnego doradcę Donalda Tuska w kwestii polityki historycznej. Machcewicz zasugerował, jakie powinno być przesłanie nowego muzeum w opisywaniu rzeczywistości po upadku komunizmu. „Kryzys demokracji odzyskanej w 1989 r. i dryft w stronę autorytaryzmu będą główną częścią podręczników opisujących naszą współczesność. Ta część polskiej historii nie mogła być rzecz jasna pokazana na wystawie [MHP – przyp. PS.] otwieranej przez polityków PiS, co jest tylko ilustracją oczywistych skądinąd ograniczeń politycznych, jakim podlegają dzisiaj instytucje kultury. Można mieć jedynie nadzieję, że pracownicy MHP zbierają mimo wszystko także takie »nieprawomysłne« dziś artefakty, które prędzej czy później znajdą się na wystawie”.

Cisza wokół Kostry trwała do września. Jak już pisałem – na przełomie lipca i sierpnia minister Wróblewska próbowała wypchnąć szefa MHP do Instytutu Pileckiego. Gdy to się nie udało, podjęto decyzję o wysunięciu przeciwko Kostrze zarzutów o niegospodarność w dysponowaniu przyznanych mu pieniędzy.

Kostro pytany o zarzuty odpowiedział: „Každy szef instytucji, który prowadzi wielką inwestycję, co rusz staje wobec niełatwych dylematów. Zawsze to są ryzykowne decyzje i bardzo łatwo jest formułować ex post zarzuty, że budowa się przeciąga, a budżet jest niewykorzystany. Z jednej strony trzeba tak używać przyznanych środków, aby osiągnąć swój cel stworzenia instytucji, z drugiej strony trzeba pilnować, aby generalny wykonawca wykonywał swoje zobowiązania dobrze. Płacenie za prace niewykonane lub źle wykonane to byłby poważniejszy zarzut, bo godziłby w zasady celowości i oszczędności”.

Dlaczego ekipa Tuska postanowiła wydać wyrok na Roberta Kostrę? Jeden z polityków PSL wyjaśnia: „Trudno nie odnieść wrażenia, że Platforma, chcąc przechwycić elektorat lewicowy, postanowiła oddać postępcom kwestie kultury i edukacji. Tak było, gdy dawny Instytut Myśli Narodowej został oddany na tacy progresiście Adamowi Leszczyńskiemu, i tak jest teraz w wypadku Muzeum Historii Polski”.

W kuluarach koalicji krążą plotki, że na stanowisko nowego szefa MHP ma ochotę

związany ze środowiskiem Krytyki Politycznej historyk Marcin Napiórkowski. To on jest jednym z autorów scenariusza filmu „1989”, który niby ma opowiadać bezstronnie o wygranej Solidarności i ówczesnych dylematach Polaków, ale jednostronnie skupia się na gloryfikacji Wałęsy, Kuronia i Mazowieckiego przy przemilczaniu tak niewygodnych postaci jak Anna Walentynowicz czy Andrzej Gwiazda.

SZEROKIE POPARCIE

Jeżeli minister Wróblewska zakładała, że egzekucja na Robercie Kostrze odbędzie się szybko i bez większego hałasu, to już widać, że to się nie udało. Wspomniane już Stowarzyszenie Przyjaciół MHP zebrało liczne podpisy od obu stron politycznego spektrum.

Wśród osób, które poparły apel o pozostawienie Kostry w spokoju, są – obok ludzi prawicy, takich jak Andrzej Nowak czy Wojciech Roszkowski – czołowe nazwiska z obozu liberalnego, jak np. prof. Andrzej Friszke, prof. Andrzej Romanowski czy prof. Tomasz Nałęcz.

Do Ministerstwa Kultury nadchodzą też listy z poparciem dla Kostry ze strony wielu zagranicznych naukowców, którzy przyjęli zaproszenie do współpracy z MHP. Pytanie tylko, czy ekipa Tuska będzie liczyła się z protestami nawet ze strony znanych nazwisk z obozu liberalnego. Donald Tusk cofa się jedynie w sytuacji, gdy oburzenie przekroczy pewien poziom głośności, jak było np. wtedy, kiedy z Muzeum II Wojny Światowej usunięto sylwetki o. Kolbego, rtm. Pileckiego i rodziny Ulmów. Ludzie dobrej woli popierający Roberta Kostrę skupiają się na akcji w obronie szefa nowej placówki. Adam Pawłowicz, menedżer biznesowy, który społecznie działa w zarządzie Stowarzyszenia Przyjaciół MHP, mówi: „Nawet jeżeli szanse na zachowanie Roberta Kostry na stanowisku dyrektora są niewielkie, uważam, że trzeba się w tę sprawę zaangażować, aby po herbertowsku dać świadectwo. Robert zbudował od zera fantastyczną instytucję, w której każdy, komu bliska jest Polska i jej historia, będzie potrafił się odnaleźć. Zasłużył sobie na szacunek i wsparcie ludzi, którym leży na sercu dobro polskiej kultury, czego dowodem jest szerokie poparcie dla jego osoby wybitnych ludzi nauki, ale także profesorów uczelni zagranicznych”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Do restauracji wchodzi premier z koalicjantami. Szef rządu zamałwia schabowego z ziemniakami. – A przystawki? – dopytuje kelnerka. – Przystawki też zjedzą schabowego z ziemniakami – odpowiada premier. Ten żart pochodzi z czasów koalicji PiS-LPR-Samoobrona i w oryginale występował w nim Jarosław Kaczyński, Roman Giertych i Andrzej Lepper, jednak mechanizm konsumpcji (nomen omen) mniejszych partnerów przez dominującego gracza jest niezmienny i doskonale oddaje obecną sytuację w koalicji. W ciągu kilku miesięcy Donald Tusk podporządkował sobie Lewicę i w znacznym stopniu spacyfikował Szymona Hołownię, którego pięć minut najwyraźniej już minęło. Politycy PSL zdają się orientować, że jeżeli chcą zachować podmiotowość, to muszą zacząć akcentować swoją odrębność od reszty koalicji. Najwyraźniej jedyna droga do autonomii wiedzie na prawo od Donalda Tuska.

NIE TYLKO ABORCJA

Jeszcze przed uformowaniem się rządu centrolewu pisałem w „Do Rzeczy” (nr 48/2023), że Trzecia Droga ma szansę odegrać w koalicji rolę „konserwatywnej kotwicy”, gdyż o ile Szymon Hołownia ma ewidentne proliberalne inklinacje, o tyle już ludowcy w naturalny sposób będą ciążyć na prawo, a podstawowe pytanie brzmi, na ile starczy im determinacji, aby odgrywać podmiotową rolę w rządzie Donalda Tuska. To, że PSL może robić za taką „kotwicę”, dostrzegł najwyraźniej również prezydent Andrzej Duda, wskazując Marka Sawickiego na marszałka senatu.

Oczywiste było, że w centrolewicowej koalicji największe emocje wywoła spór o tzw. kwestie obyczajowe. W sprawie aborcji ludowcy opowiadają się za powrotem do kompromisu aborcyjnego oraz rozpisaniem referendum w tej sprawie, zapewniając jednocześnie, że w obecnym Sejmie nie ma szans na liberalizację przepisów w duchu Marty Lempart. Podobną taktykę PSL przyjął w kwestii związków partnerskich – partia sprzeciwia się rozwiązaniom Lewicy i KO, opowiadając się za wprowadzeniem „statusu osoby najbliższej”, co miałoby ułatwić sprawy dotyczące dziedziczenia i uzyskiwania informacji medycznych,

ale jednocześnie nie torowałoby drogi dla środowisk LGBT. – Zgłaszanie dzisiaj projektu w tym obszarze, bardzo daleko idącego, i liczenie, że prezydent Andrzej Duda to zaakceptuje, jest po prostu oszukiwaniem tych, wobec których składa się te propozycje – stwierdził Władysław Kosiniak-Kamysz, co było jawnym uderzeniem w partnerów z PO i Lewicy. PSL w jakiś sposób zatem przyjął wyciągniętą rękę prezydenta i razem z głową państwa blokuje co bardziej progresywne projekty rządu.

Warto jednak zwrócić uwagę również na inne kwestie, w których ludowcy idą w poprzek oczekiwaniom Donalda Tuska. Wszak to właśnie Kosiniak-Kamysz stanął na czele międzyresort-

Kolejnym spornym tematem okazał się program „wychowania patriotycznego” dla szkół. Wicepremier stwierdził, że „PSL ma prawo zaakcentowania tego, co mu w duszy gra”, jednak jego inicjatywa została potraktowana jako atak na kierownictwo Ministerstwa Edukacji Narodowej na czele z Barbarą Nowacką. Ludowcy domagają się m.in. wpisania do ustawy „lektur patriotycznych”, co wydaje się już wprost wycelowane w antyedukacyjną rewolucję Nowackiej w polskich szkołach. – Absolutnie nie zgodzę się na upartyjnienie szkoły. Nie po to wymieniałam kuratorów, nie po to daję autonomię nauczycielom, żeby teraz ustawą, projektem poselskim, wkładać im politykę – zapowiedziała w odpowiedzi Nowacka.

PSL skreśla na prawo



Jan Fiedorczuk

Prawicowy zwrot PSL nie jest przypadkowy. Ludowcy wiedzą, że jeżeli nie chcą pogodzić się z rolą przystawki Donalda Tuska, to muszą zacząć akcentować swoją odrębność względem centrolewicowej koalicji. To jednak oznacza, że napięcia na linii PSL – KO będą jedynie narastać

wego zespołu zajmującego się kwestią Funduszu Kościelnego, którego likwidacja była jedną z głośniejszych obietnic antyklerykalnej części rządzącego obozu. Jednak – jak donoszą media – lider PSL ponoć „zaciągnął hamulec” w tej sprawie, a finalnie z wielkich planów może nic nie wyjść. Na razie temat ugrzązł i trudno dostrzec, jaki interes miałoby PSL w przyłączeniu się do „opiłowywania katolików” przez centrolew.

Kolejnym wydarzeniem, na które warto zwrócić uwagę, gdyż układa się w logiczny ciąg, jest zdecydowana reakcja PSL na skandaliczne słowa szefa ukraińskiego MSZ Dmytra Kułebę, który zrównał ludobójstwo na Wołyniu z przesiedleńczą akcją „Wisła”. Kosiniak-Kamysz nie tylko skrytykował ukraińskiego ministra, lecz także podkreślił, że bez upamiętnienia polskich ofiar na Wołyniu nie ma mowy o wstąpieniu

■ Kijowa do Unii Europejskiej. Słowa te tym mocniej wybrzmiały, że kontrapunktem dla nich była postawa Radosława Sikorskiego, który będąc świadkiem wystąpienia Kułeby, w żaden sposób nie zaprotestował.

Gdy PO coraz wyraźniej skręca na lewo, PSL najwyraźniej postanowił pozycjonować się po prawej stronie centrum, grając rolę „rozsądnych konserwatystów”, którzy nie zgadzają się na skrajności obu wielkich partii i bronią zdrowego rozsądku. Podsumowaniem tego stanowiska są słowa samego Kosiniaka-Kamysza, który prezentując pomysł „wychowania patriotycznego”, zapowiedział, że chodzi o zbiór rozwiązań mających na celu „zatrzymanie jakiegokolwiek rewolucji: lewackiej czy prawackiej”.

SAWICKI NA FRONCIE

PSL nie tylko programowo odróżnia się od reszty koalicji, lecz także czysto personalnie to właśnie ludowcy wchodzi najczęściej w spory z pozostałymi partiami. Wybija się tutaj zwłaszcza postać Marka Sawickiego, który w ostatnich miesiącach wielokrotnie krytykował koalicjantów z KO i Lewicy. Dla przykładu: polityk nie szczędził cierpkich słów pod adresem polityków, którzy nie poparli ustawy zwiększającej uprawnienia żołnierzy na granicy, jasno opowiadał się przeciwko liberalizacji przepisów aborcyjnych oraz otwarcie krytykował prokuraturę Adama Bodnara. Sawicki drwił m.in. z międzyresortowego porozumienia w sprawie odzyskiwania „nieprawidłowo wydanego” mienia Skarbu Państwa podpisanego przez ministrów Bodnara, Siemieniaka i Domańskiego, a także przyznawał po wspomnianej kompromitacji z Kułebą, że „martwi go kondycja ministra Sikorskiego”.

Polityk bez skrupułów uderzał nawet w samego premiera. Gdy Donald Tusk ogłosił kilka tygodni temu „powszechną spowiedź” ministrów swojego rządu, w ramach której mają oni tłumaczyć się z dotychczasowych błędów i niedociągnięć, Sawicki nie szczędził premierowi złośliwości. W rozmowie z „Faktem” poseł PSL stwierdził wręcz, że Tusk „zaorał swój rząd”. – Tusk strzelił sobie w stopę tą formą komunikacji. Zrobił czarny PR – stwierdził. Zresztą z propozycji premiera szydził również minister rolnictwa z PSL

Czesław Siekierski, którego zdaniem szef rządu sam powinien zrobić rachunek sumienia. – Jak wszyscy, to wszyscy – podkreślił.

Spróbujmy sobie wyobrazić analogiczną sytuację za czasów Zjednoczonej Prawicy. Do podobnych napięć w obozie Kaczyńskiego dochodziło nie rok po przejęciu władzy, ale w połowie drugiej kadencji, a i wówczas nikt nie krytykował bezpośrednio prezesa PiS, tylko co najwyżej premiera Morawieckiego.

KONSERWATYWNA KOTWICA

Koniec końców PSL jednak pozostaje członkiem rządzącej koalicji i jest niezwykle mało prawdopodobne, aby w najbliższej przyszłości miało się to zmienić. Co więcej, z punktu widzenia konserwatysty scenariusz, w którym ludowcy zrywają koalicję, mógłby mieć wręcz negatywne skutki – gdyby po przyspieszonych wyborach Tusk sformował większość bez ludowców, to tym samym miałby otwartą drogę dla całej progresywnej agendy. PSL nie jest konserwatywną partią marzeń, ale pozostaje jedyną namiastką prawicy, na którą w obecnych warunkach może liczyć wyborca nieakceptujący progresywnego walca centrolewu. Konserwatyści powinni docenić choćby to, że ludowcy niemal w całości sprzeciwili się pomysłom liberalizacji prawa aborcyjnego. Ta sprawa jest o wiele trudniejsza dla PSL niż Konfederacji czy PiS, gdyż mówimy o partii współtworzącej jednak centrolewicową koalicję. Do sprzeciwienia się w tych warunkach prawu aborcyjnemu konieczna była pewna odwaga, której zabrakło zarówno rzekomo chadeckiej Polsce 2050, jak i mitycznemu konserwatywnemu skrzydłu Platformy Obywatelskiej.

W efekcie tej konfrontacyjnej strategii politycy PSL muszą mierzyć się z coraz silniejszą presją środowisk lewicowo-liberalnych, naciskami proplatformerskich mediów, hejtem, a nawet atakami (w Poznaniu niedawno oblano biuro partii czerwoną farbą). Robert Biedroń już przed wyborami samorządowymi nawoływał, aby nie głosować na ludowców, co było i tak dość delikatną złośliwością na tle choćby głośnego wystąpienia Marty Lempart, która podczas jednego z wieców zaczęła się drzeć na mężczyznę, którego wzięła za Władysława Kosiniaka-Kamysza. Jak się później okazało, Lempart



O ile Hołownia i Czarasty najwyraźniej już pogodzili się z rolą junior partnerów, o tyle PSL cały czas stara się walczyć o swoją podmiotowość

pomyliła lidera PSL z dziennikarzem „Newsweeka” Jackiem Gądkiem. Sam Kosiniak-Kamysz przekonał się, że walka o interesy ludowców nie będzie usłana różami, gdy na niedawnym Campusie Polska został wygwizdany przez zebraną młodzież. Alternatywą jest jednak los partnera PSL – Szymona Hołowni, który nie potrafił postawić się premierowi i został zmuszony do akceptacji wszelkich bezprawnych działań rządu, stając się de



W ostatnich miesiącach Marek Sawicki wielokrotnie krytykował koalicjantów z KO i Lewicy FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

facto pomagierem Tuska, a tym samym trwoniąc swój polityczny kapitał i rezygnując z roli realnej „trzeciej drogi”.

WIDMO LUBNAUERYZACJI

Po przejęciu władzy Donald Tusk postawił sobie de facto dwa zadania – depisyzację państwa oraz zdominowanie mniejszych partnerów. Lider KO doszedł do władzy tylko dzięki taktycznej zagrywce w końcówce kampanii, gdy przestał zwalczać Trzecią Drogę i uznał, że jeżeli chce pokonać Kaczyńskiego, to musi ograniczyć apetyt i podzielić się władzą z drugoligowymi graczami. Po uformowaniu rządu Tusk szybko jednak przeszedł do odzyskiwania wpływów. Za pomocą odgrzania tematu aborcji zabrał tlen Lewicy oraz podburzył liberalny elektorat Polski 2050. Z kolei dzięki aferze na granicy z żołnierzami,

która to wybuchła tuż przed wyborami samorządowymi dzięki publikacji Onetu, premier sprowadził na ziemię szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza.

O ile jednak Hołownia i Czarzasty najwyraźniej już pogodzili się z rolą junior partnerów, o tyle PSL cały czas stara się walczyć o swoją podmiotowość. Politycy PSL najwyraźniej zdają sobie sprawę, że Tusk nie chce jedynie pozbawić ich decyzyjności, ale planuje wchłonąć wszelkie pomniejsze podmioty do swego partyjnego imperium. Mówiąc obrazowo, Tusk chce zlubnaueryzować swoich partnerów, czyli zrobić z nimi to samo, co swego czasu Grzegorz Schetyna zrobił z Nowoczesną. Tym razem jednak Kosiniak-Kamysz jest bogatszy o doświadczenie z poprzedniej koalicji z PO, gdy to Tusk wmanewrował go w podwyższenie wieku emerytalnego.

Wówczas ludowcom przewodził Janusz Piechociński, a sam Kosiniak-Kamysz był wciąż młodym (34 lata) i jednak niedoświadczonym graczem. Dzisiaj politycy PSL wydają się być świadomi, że jeżeli pójdą wbrew własnemu elektoratowi, to mogą zostać surowo ukarani przy najbliższych wyborach. Dlatego też lider ludowców przyznał, że „rozpad koalicji jest mniej kosztowny niż utrata wyborców przez partię, które tworzą koalicję”. Innymi słowy – koalicja koalicją, depisyzacja depisyzacją, ale najważniejszy jest interes PSL.

Na sam koniec zwróćmy uwagę na niedawne wystąpienie Tuska, gdy ten wprost obwinił ludowców o zastopowanie zmian w prawie aborcyjnym. – Do następnych wyborów większości w tym parlamencie dla legalnej aborcji, w pełnym tego słowa znaczeniu, nie będzie. Nie ma się co oszukiwać – stwierdził szef rządu na Campusie Polska. Te słowa były nie tylko umyciem rąk i zrzucając odpowiedzialności na PSL, lecz także wystawieniem Kosiniaka-Kamysza na pożarcie zgromadzonej młodzieży. Sam wicepremier jednak wytrzymał presję i trzeba przyznać, że całkiem zgrabnie poradził sobie w tych niesprzyjających warunkach. Po aferze na granicy był to jednak kolejny przykład tego, że Donald Tusk traktuje ludowców jako zagrożenie dla swojej pozycji w koalicji.

To właśnie między tymi dwoma politykami – Kosiniakiem-Kamyszem i Tuskiem – w najbliższych miesiącach będzie dochodzić do najciekawszych spięć, które mogą przełożyć się na przyszły układ sił w rządzie, a być może nawet na nowe rozdanie polityczne. Lider PSL zdaje się świadom stawki, o którą toczy się gra. Fundamentalne pytanie brzmi: Czy będzie na tyle zdeterminowany, by przez najbliższe lata wytrzymać ciśnienie lewicowo-liberalnego komentariatu oraz gniew premiera? Jeżeli się ugnie, to działacze PSL zapewne dostaną dostęp do fruktów, może nawet premier weźmie ich na wspólną listę wyborczą w 2027 r., jednak już na stałe zostaną sprowadzeni do poziomu Nowoczesnej, a sam Kosiniak-Kamysz stanie się nową Katarzyną Lubnauer. Wracając do naszego żartu z początku – jeżeli ludowcy nie pójdą odrębną drogą, to będą do końca zmuszeni jeść to, co odgórnie zamówi im Donald Tusk.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Zakończyliśmy demontaż starej biurowej infrastruktury i elementów wyposażenia. Teraz na nowo dzielimy przestrzeń. Trwają prace nad nowoczesnym systemem klimatyzacji. Za chwilę zaczniemy instalowanie okablowania niezbędnego do produkcji programów telewizyjnych. Budowa nowego Domu Wolnego Słowa to największa, najkosztowniejsza i najbardziej skomplikowana inwestycja w historii Republiki. Ale musimy ją zrealizować. Dzięki nowoczesnej infrastrukturze produkcyjnej nasza stacja będzie należała do ścisłej rynkowej elity. Jakość techniczna produkowanych przez nas programów znacząco wzrośnie. Dziennikarze Republiki będą mieli narzędzia do pracy nie gorsze niż te dostępne w TVN24 czy Polsat News, a nawet lepsze – ogłosił na początku września Jarosław Olechowski, szef wydawców Telewizji Republika.

Stacja, której redaktorem naczelnym jest Tomasz Sakiewicz, przenosi swoją warszawską siedzibę z ul. Dzielnej na pl. Bankowy. To kolejny element dowodzący prężnego rozwoju TVR w ostatnich miesiącach. Program śniadaniowy „Wstajemy!”, który ruszył w kwietniu, szybko zaczął się liczyć na rynku medialnym. Po trzech miesiącach emisji śniadaniówka gromadziła przed

Prawica na multipleksie



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

W niesprzyjającym otoczeniu polityczno-finansowym prawa strona sceny medialnej radzi sobie (być może dla niektórych niespodziewanie) dobrze. Rośnie oglądalność funkcjonującej na rynku od lat Telewizji Republika, a wPolsce24 rozkręca się coraz bardziej

telewizorami średnio niemal 100 tys. widzów. Wraz z nowym pasmem porannym – „Przyjaciele Republiki”, które nadawane jest od godz. 5.30 – poranki w stacji Tomasza Sakiewicza gromadzą przed telewizorami tłumy. 13 września

Olechowski poinformował, że w pikie było to 350 tys. widzów.

Niedawno do TVR dołączyło duże grono dziennikarzy związanych wcześniej z Telewizją Polską. Redakcję zasilili Ewa Bugała, Edyta Lewandowska, Karol

Gnat oraz Rafał Stańczyk. Już wcześniej do Republiki przeszła Danuta Holecka, jedna z głównych twarzy „Wiadomości” TVP – teraz prowadzi główny wieczorny serwis informacyjny, czyli „Dzisiaj”.

W stacji rozmowy z politykami i ekspertami przeprowadza gwiazdor publicystyki w „starej” TVP Adrian Klarenbach, a gospodarzem programu „#Jedziemy” jest Michał Rachoń (analogiczny format tworzył przed zmianą władzy w TVP Info). TVR ma też własną wersję „Teleexpressu”, czyli „Express Republiki”. Serwis, który w zamyśle ma być nieco lżejszy niż standardowe wiadomości, prowadzi m.in. Rafał Patyra, czyli były prezenter „Teleexpressu” właśnie. Z kolei do roli gospodyni porannego „Wstajemy!” zaangażowana została Anna Popek, która wcześniej była współprowadzącą „Pytania na śniadanie” w TVP2.

PRZEPIS NA SUKCES

W sytuacji, gdy TV Republika dostępna jest w „zwykłym” telewizorze, czyli bez potrzeby wykupywania specjalnych pakietów abonamentowych (emisja na naziemnym MUX 8), to przepis na sukces. A ten widać w liczbach – w dniach 15–21 lipca stacja odnotowała najwyższy tygodniowy udział wśród wszystkich widzów w historii nadawania. Co prawda, w rankingu stacji zajęła szóste miejsce (z udziałem 5,33 proc.; pierwsze było TVP1 – 7,8 proc.), ale poprawiła wcześniejszy wynik. Z kolei w całym lipcu TV Republika odnotowała największy wzrost i z odległego miejsca awansowała na szóstą pozycję, tuż za TVN. Uplasowała się tam z wynikiem 3,92 proc. Jej udział poszedł w górę o 4800 proc. względem lipca ub.r. „Wzrost widowni był większy niż w poprzednich miesiącach, bo kanał w lipcu trafił na ósmy multipleks telewizji naziemnej” – wskazał portal Wirtualne Media. Co istotne, TVR wyprzedziła duże stacje informacyjne – Polsat News zajął dopiero 15., a TVP Info 16. lokatę. Z kolei w sierpniu wszystkie programy informacyjne poza serwisem „Dzisiaj” TV Republiki zanotowały spadki widowni. W porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego widownia serwisu wzrosła o 3598 proc. do 480 tys. widzów. „W poniedziałek 16 września Republika zanotowała

rekordowy udział w rynku telewizyjnym – 5,68 proc. (drugi najwyższy w historii nadawania stacji). Nasze relacje dotyczące dramatycznej sytuacji powodziowej śledziło więcej osób niż w Polsat News i TVP Info” – przekazał w ubiegłym tygodniu Olechowski.

Mimo rosnącej oglądalności i ewidentnego rozwoju w czerwcu w stacji reklamowało się 71 firm, podczas gdy rok wcześniej było ich 204. Mniej było też samych reklam – pojawiło się ich 3672, a w czerwcu 2023 r. 13 367. Odpływ reklam to pokłosie kontrowersyjnych wypowiedzi na antenie Jana Pietrzaka, Marka Króla i Marka Jakubiaka. Na początku roku bojkot stacji ogłosiły m.in. IKEA, mBank, Carrefour Polska, Adamed Pharma, Pyszne.pl oraz Skoda. Z kolei E.Wedel zamiast reklam prezentował planszę o „mowie nienawisści”. Jednak i tutaj kierownictwo znalazło sposób – zwiększono ceny. W czerwcu br. wpływy z reklam wyniosły 30,29 mln zł, podczas gdy rok temu – 6,25 mln zł. „Przed rokiem za 30-sekundowy spot reklamodawcy płacili zaledwie 550 zł, w czerwcu tego roku zaś – 13,8 tys. zł (cena netto, bez rabatów)” – opisał portal Wirtualne Media.

Jak ocenia w wywiadzie udzielonym Karolowi Gacowi w tym numerze „Do Rzeczy” Tomasz Sakiewicz, rolę nie do przecenienia w budowaniu pozycji TVR odegrały Kluby „Gazety Polskiej” (pierwszy powstał w 2005 r.). Naczelny zwraca uwagę na związek emocjonalny z tysiącami osób, który udało się wypracować przez te lata. Widać wyraźnie modus operandi kierownictwa stacji – zatrudnianie znanych z mediów publicznych twarzy i obsadzanie ich w roli prowadzących programów analogicznych do tych, które sprawdziły się w TVP lub TVP Info. Rzecz jasna, TVR zyskała na grudniowym przejęciu mediów publicznych. Od początku jej kierownictwo i dziennikarze przyjęli narrację o tym, że są jednym z ostatnich bastionów wolności w kraju Donalda Tuska, gdzie do siłowego przejmowania mediów publicznych używa się „bodnarowców”.

Wydaje się, że ludzie związani od lat ze stacją lubią być na barykadzie. W 2014 r., kiedy w trakcie „afery taśmowej” ABW wkroczyła do redakcji „Wprost”, ówczesnemu naczelnemu

tygodnika Sylwestrowi Latkowskiemu z pomocą przyszli dziennikarze właśnie Republiki. Na miejscu pojawili się Michał Rachoń oraz Antoni Trzmiel. Z tamtą sprawą wiąże się ciekawa historia – funkcjonariusze ABW pozostawili w gabinecie naczelnego „Wprost” walizkę, którą zabrał ze sobą Rachoń. Później zwrócił ją premierowi Donaldowi Tuskowi w trakcie konferencji prasowej.

Tak jak w 2014 r., tak i dziś stacja Tomasza Sakiewicza pozostaje w opozycji do rządu. Oprócz licznych dziennikarzy TVP Republika przejęła styl słynnych „pasków grozy”. W trakcie powodzi na południowym zachodzie Polski na ekranie można zobaczyć paski głoszące np.: „Tusk zlekceważył zagrożenie, są ofiary i zalane miasta”, „Premier Czech przestrzegł Tuska przed powodzią. Tusk zbagałizował ostrzeżenie Czechów” czy „WOT na pierwszej linii frontu. Partia Tuska od początku krytykowała tę formację”.

Linia jest skrajnie antytuskowa. Premier i jego otoczenie to dostrzegają i – łamiąc zasady – blokują przedstawicielom stacji dostęp do konferencji prasowych m.in. w KPRM. „Premier Donald Tusk odmawia bezpieczeństwa widzom Telewizji Republika. Dziś nie zostałem wpuszczony na posiedzenie zespołu zarządzania kryzysowego z udziałem szefa rządu we Wrocławiu. Siłą uniemożliwiono mi wejście do sali i transmisję z zebrania służb. To niebywały skandal!” – poinformował w poniedziałek w serwisie X dziennikarz Janusz Życzkowski.

Na początku września na sejmowym korytarzu reporter stacji zapytał szefa rządu, „dlaczego media nie są wpuszczane na konferencje prezesa Rady Ministrów”. Donald Tusk odpowiedział, że „wszystkie media są wpuszczane”, co jest nieprawdą – Telewizja Republika nie. Sęk w tym, że premier nie uznaje tej stacji za medium z prawdziwego zdarzenia, a jej przedstawicieli za dziennikarzy. Pogląd ten wyraził szef gabinetu politycznego Tuska, Paweł Graś, w jednej z internetowych dyskusji. „Wchodzą dziennikarze. Polityczni hejterzy i siepacze zostają na zewnątrz” – napisał.

„TV Republika złożyła do KRRiT skargę na działania KPRM, które uniemożliwia naszym dziennikarzom pracę. Urzędnicy Donalda Tuska,

■ nie wpuszczając dziennikarzy Republiki na konferencje prasowe szefa rządu, łamią prawo prasowe oraz niszczą wolność słowa gwarantowaną przez polską konstytucję. Nie ma na to zgody! Będziemy konsekwentnie walczyć w obronie podstawowych praw i wolności obywatelskich” – przekazał w sierpniu Jarosław Olechowski. KPRM twierdzi, że dziennikarze TVR „przestali przestrzegać zasad obowiązujących wszystkie media uczestniczące w takich wydarzeniach” i „mimo wielokrotnych prób o zachowanie standardów TV Republika zaczęła zakłócać przebieg spotkań organizowanych przez Centrum Informacyjne Rządu w KPRM”.

Z jednej strony takie podejście rządu utrudnia stacji pracę i narusza zasady współpracy z mediami, ale z drugiej umacnia wizerunek TVR jako stacji antysystemowej (żeby nie powiedzieć antyrządowej). W oczach jej widzów to tylko dodatkowy znak jakości.

SUBTELNIJSZY PRZEKAZ

Delikatniejszą narrację oferuje widzom druga, także nadająca ogólnokrajową telewizję dla prawicy i konserwatystów – wPolsce24. Jest postrzegana jak młodszy i słabszy brat TVR. Po przejęciu TVP przez ludzi Bartłomieja Sienkiewicza poprzedniczka wPolsce24 – wPolsce.pl – zanotowała kilkukrotny wzrost oglądalności. Stacja braci Michała i Jacka Karnowskich, której przyświeca hasło „Pilnujemy Polski”, działa od 2 września. W czerwcu KRRiT przyznała jej miejsce na multipleksie. Kanał pojawił się też u operatorów płatnej telewizji, gdzie zastąpił satelitarną stację wPolsce.pl.

Podobnie jak Telewizja Republika, wPolsce24 postawiła na znane twarze – Magdalenę Ogórek, Michała Adamczyka, Samuela Pereirę, Żaklinę Skowrońską czy Martę Kielczyk.

Premierę głównego serwisu informacyjnego – „Wiadomości” – obejrzało 142,4 tys. widzów. Stacja przygotowała dla widzów niespodziankę, ponieważ w emitowanym po serwisie „Gościu Wiadomości” pojawił się sam prezes PiS Jarosław Kaczyński. Wielu odebrało to jako sygnał, że Nowogrodzka patrzy przychylnie na projekt braci Karnowskich. Rozmowę obejrzało 124 tys. osób,

Podobnie jak Telewizja Republika wPolsce24 postawiła na znane twarze – Magdalenę Ogórek, Michała Adamczyka, Samuela Pereirę

co dało stacji 1,09 proc. udziału w grupie wszystkich widzów.

„Byłbym ostrożny, jeśli chodzi o ocenę oglądalności już w tym momencie. Zawsze byłem zdania, że na weryfikację rynku trzeba poczekać kilka miesięcy albo nawet rok. Dopiero po takim czasie da się ocenić, czy jest to przedsięwzięcie, które z jakichś powodów zaczyna się walić czy też idzie w ślady TV Republiki, której po zmianach w TVP gwałtownie wzrosła oglądalność” – ocenił w rozmowie z Wirtualną Polską dr Krzysztof Grzegorzewski, wykładowca dziennikarstwa na Uniwersytecie Łódzkim.

We wniosku o koncesję można przeczytać, że „brakuje świadomego nadawcy, który bez politycznego zaciętrzewienia oprowadzałby widzów po otaczającym świecie, nie ukrywając swojej konserwatywnej tożsamości”. – Będziemy sobą, będziemy tacy sami jak portal wPolityce.pl, tygodnik „Sieci”. Będziemy tacy sami, jak ludzie, którzy tworzą to środowisko medialne. Myślę, że taki głos jest Polsce potrzebny. To głos, który będzie bronił polskiej niepodległości, spraw, wartości, ale będzie też słuchał, przedstawiał argumenty, będzie rozmawiał z widzami. Widzimy już po pierwszych reakcjach, że są bardzo pozytywne – powiedział naczelny stacji Jacek Karnowski, deklarując chęć „bycia między skrajnościami, ale blisko polskiej racji stanu”. – Nie zabraknie atrakcyjnych materiałów, dobrego tempa. Osobnego głosu, wyraźnego głosu – wskazał. Zapewnił, że początkowe mankamenty i wpadki będą naprawiane.

Z kolei Michał Adamczyk w wywiadzie promującym nową stację zaznaczył, że „to telewizja dojrzała, mądra, profesjonalna, a także lekka i pogodna, którą będzie się bardzo chętnie włączało”. „A »Wiadomości wPolsce24« pokażą rzeczywistość bez zamykania niczego pod dywan” – zadeklarował na łamach tygodnika „Sieci”.

Tygodnik „Polityka” przekonuje, że wPolsce24 ma być bardziej propisowska, a jednocześnie bardziej umiarkowana. Umiarkowana nie w sensie apolityczności czy sprzyjania rządowi, ale niedopuszczania na antenę głosów prawicowych, ale krytykujących największą partię opozycyjną. „Słuchać w kulisach, że bracia kalkulują ostrożnie. Chcą na początek wykroić kawałek tortu w prawicowym segmencie, ale bez wchodzenia w otwarte zważenie z Republiką, czego prawicowy widz mógłby nie wybaczyć. To przecież czas konsolidacji prawicy po klęsce, utwardzona jedność jest dzisiaj szczególnie ceniona. Niemniej Karnowscy starają się myśleć perspektywnie i przynajmniej deklarują względne umiarkowanie” – pisał Rafał Kalukin.

Owo umiarkowanie jest widoczne także poprzez czysto informacyjne paski. W trakcie powodzi wPolsce24 nie atakuje za ich pośrednictwem rządu, co robi Telewizja Republika. „Konferencja prasowa Donalda Tuska” czy „D. Tusk: Będę mobilizował służby” – oto niektóre z pasków.

KONKURENCJA SPRZYJA JAKOŚCI

Jak wygląda cennik w nowej stacji? We wrześniu najdroższa reklama kosztuje maksymalnie 1 tys. zł (cena netto, bez rabatów dla spotu 30-sekundowego). Wirtualne Media podają, że jest to stawka dla spotów emitowanych przy serwisach informacyjnych w dni powszednie ok. godz. 10. Na 900 zł wyceniono reklamę przy „Salonie dziennikarskim” w soboty o godz. 10 oraz w paśmie „Poranek wPolsce24”. 700 zł kosztują spoty przy programie „Polityka na deser”. Z kolei za spot przy serwisie „Wiadomości”, nadawanym o godz. 19.30, trzeba zapłacić do 600 zł.

Choć telewizje Tomasza Sakiewicza i braci Karnowskich walczą o podobnego widza, to trzeba pamiętać, że na PiS głosowało w wyborach parlamentarnych ponad 7,5 mln osób. Osób o różnych wrażliwościach w ramach konserwatywnego światopoglądu, stąd zróżnicowana oferta w tym nurcie jest potrzebna. Dodatkowo konkurencja wymusza poprawę jakości. A to stacjom prawicowym, pozostającym wciąż mocno w tyle za komercyjną konkurencją ze strony lewicowo-liberalnej, może tylko pomóc.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KAROL GAC: Panie redaktorze, ostatnio rozmawialiśmy w styczniu, gdy z jednej strony TV Republika znajdowała się pod dużym ostrzałem, a z drugiej zaczęły się w niej dynamiczne zmiany spowodowane przejściem mediów publicznych przez władzę. W jakim miejscu jesteście dzisiaj?

TOMASZ SAKIEWICZ: Z punktu widzenia rynkowego, nie patrząc na wydarzenia polityczne, bez wątpienia ustabilizowała się nasza oglądalność. Mamy stabilny wzrost, przy ogromnej oglądalności. Mieliśmy 3–4 proc. rynku, a teraz walczymy o 5–6 proc., co klasyfikuje nas jako jedną z pięciu największych stacji, a jednocześnie jako drugą, lecz bardzo blisko pierwszej, stację informacyjną. TV Republika jest więc wśród największych, a warto dodać, że przecież dominujemy na YouTube. To oznacza, że jesteśmy najwięksi, choć zawsze pozostaje pytanie, jak porównać miernik serwisu YouTube i Nielsena. Nasz średni zasięg to 8–10 mln ludzi miesięcznie. Bez wątpienia zdominowaliśmy konserwatywną część społeczeństwa. Nie chodzi tylko o elektorat PiS, bo ten mieliśmy od samego początku, lecz także o wyborców Konfederacji i PSL. Po drugie, mamy wykazany najdłuższy czas oglądania stacji informacyjnej. Po trzecie, nasz widz jest niezwykle lojalny, co objawia się w różnych okolicznościach.

Możemy chyba mówić o pewnym fenomenie? Nie mamy bowiem do czynienia z tradycyjnymi relacjami stacja telewizyjna – widz, ale z czymś więcej.

Muszę przyznać, że ten rodzaj emocji, który był wokół Klubów „Gazety Polskiej”, zrzeszających kilkadziesiąt tysięcy osób, udało się przenieść na widzów TV Republika. Mam na myśli pewien związek emocjonalny, misję i potrzebę bycia tutaj. Jesteśmy dla naszych widzów wiarygodni, bo staramy się mówić prawdę, nawet jeśli jest trudna dla prawicy. Z tego względu czasami obserwujemy nerwowość ludzi nie tylko nam odległych, lecz także bliskich, dlatego że robimy to, co chcemy. Tyle tylko, że to jedyna gwarancja sukcesu. Nasza siła wynika z tego, że szanujemy naszych odbiorców.

Słychać jednak było o napięciach na linii PiS – TV Republika. Szorstka przyjaźń?

Jeśli spojrzymy na liczbę gości w programach, to na pewno najwięcej jest ich z PiS, i to z pierwszej półki. Jeśli chodzi o finanse,



**Z Tomaszem Sakiewiczem,
redaktorem naczelnym Telewizji Republika
rozmawia Karol Gac**



Donald Tusk nas wzmocnił

to nie mamy żadnych relacji i wbrew temu, co twierdzą media liberalno-lewicowe, nigdy ich nie było. PiS np. nie wydawał u nas na spoty podczas kampanii samorządowej i do PE. Widocznie nie czuł potrzeby wzmacniania swojego potencjału poprzez wykupywanie reklam w największym medium, które dociera do ich elektoratu. To zagadkowa i ryzykowna decyzja, ale każdy ma prawo wydawać pieniądze tam, gdzie chce. Oczywiście naszą stację tworzą ludzie o prawicowych poglądach, choć czasami dochodzi do ostrych dyskusji. Trzymamy się jednak z dala od walk frakcyjnych i bezpośredniego wpływu partii. Nikt do nas z Nowogrodzkiej nie dzwoni, co ma być na antenie. Zresztą takie telefony skończyłyby się źle. Nie zmienia to tego, że zapraszamy polityków PiS, podobnie jak innych partii. Jednak dzisiaj najbardziej oporny na debatę jest kordon wokół Donalda Tuska.

To widać choćby po blokadzie TV Republiki przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów i niektóre ministerstwa, gdy odmawia się dziennikarzom akredytacji prasowych.

Donald Tusk wytoczył mi i moim mediom trzy procesy. Zresztą dokładnie to samo zrobił TVN, choć w tym przypadku widzę raczej walkę z konkurencją. Nie wiem tylko, dlaczego chce ją załatwić w sądach. Zresztą niedawno byłem na rozprawie, gdzie TVN de facto sam się przyznał, że nie był pewny dokumentów, które cytował, ale mają pełnomocnika do spraw wysokich standardów, więc ich zdaniem to wystarczy, by informacja była wiarygodna. Całkowity absurd. Rzeczywiście jest tak, że im bliżej centrum decyzyjnego Tuska,

tym większy hejt i bojkot, a nawet zwykła nienawiść. Widać po nich, że nas jednocześnie nienawidzą i się nas boją.

Nie obawia się pan, że nastąpi atak na TV Republikę pod takim czy innym pretekstem?

Demokracja walcząca w wydaniu Donalda Tuska bardzo przypomina demokrację socjalistyczną. Ten dodatek jest całkowitym zaprzeczeniem tego pierwszego słowa. Donald Tusk realnie likwiduje demokrację w Polsce, choć zobaczymy, jak daleko się posunie. To jest złudzenie, że skoro na Białorusi się udało, to wystarczy to ładnie opakować i w Polsce też się uda. Nie, instytucje demokratyczne i demokracja zaczęły w Polsce działać. Będzie coraz większy opór, gdy Tusk będzie chciał ją zniszczyć i ostatecznie się na tym potknąć. Zawsze pierwsze, co przestaje działać, to gospodarka, a jak siada gospodarka, to rośnie niezadowolone, także najbliższego otoczenia premiera.

TV Republika wygrała w konkursie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji na emisję na naziemnym MUX 8. Pamiętam akcję wywierania presji na KRRiT. Odetchnął pan z ulgą, że wszystko się udało?

Według oświadczenia KRRiT ta wielka akcja widzów miała wpływ na ostateczną decyzję. Pytanie: Czy gdyby nie ta akcja, to czy byśmy dostali koncesję? Nie znam na to odpowiedzi. Multipleks dopełnił nasz zasięg techniczny, ale był to też symbol, że wokół naszej stacji jest mobilizacja społeczna i możemy osiągać różne cele. Ludzie prosili, by był do nas łatwiejszy dostęp.

■ **Przenosiny do nowej siedziby będą kamieniem milowym w rozwoju stacji?**

W obecnej siedzibie kompletnie się już nie mieścimy, w związku z czym musieliśmy znaleźć nową. Ta stacja była przewidziana na dużo mniejszy projekt. Oczywiście zakładaliśmy, że on urośnie, i byliśmy na to przygotowani, dlatego w grudniu ludzie mogli przyjść do nas. Sama infrastruktura techniczna, sprzęt, obsługa i lokal nie były na to jednak przygotowane. Przez ostatnie cztery lata TV Republika zaczęła przynosić zyski, ale nie na tyle duże, by kupić sobie drogą siedzibę. Przygotowaliśmy jednak podłóżę, które daje możliwość rozwoju. Niewątpliwie w momencie przeprowadzki nasz rozwój będzie dużo bardziej przyjazny. Obecnie ludzie pracują w trudnych warunkach, bo jest dużo ludzi, a mało miejsca. To wszystko jest problemem. Do nowej siedziby kupimy też lepszy sprzęt, by widzowie mieli jeszcze lepszą jakość.

Wiadomo, że Warszawa nie jest miejscem przyjaznym prawicy. Nie było prób sabotowania zawarcia umowy? Nikt nie próbował wpływać na to, by nie podpisywano jej z panem?

Być może były, ale nie mam o nich wiedzy. Na pewno nie wszyscy chcieli nam użyczyć nowej siedziby, ale biznes bardzo źle odbiera również to, gdy mu się wtrąca. Jeżeli mamy firmę z dużym kapitałem, to np. urzędnik niższej rangi musiałby się liczyć z reakcją. Dzisiaj rządzą jedni, jutro drudzy, a odpowiedzialność by została. W związku z tym staraliśmy się rozmawiać z firmami, za którymi stoją poważne, międzynarodowe pieniądze.

Nie ma co ukrywać, że nowa siedziba, nowe formaty i nowi dziennikarze kosztują. Budżet się zepnie?

Próbowano organizować bojkot reklam, ale najlepszą odpowiedzią, na ile to było skuteczne, był los IKE-i, która zwalnia teraz ludzi. Mamy dostęp do 10 mln ludzi i dobre dotarcie do określonego segmentu odbiorców. To prawda, wzrosły wydatki, ale mamy też wsparcie ludzi. Eldorado nie ma, ale dajemy radę.

Bardzo dużo transferów i zmian programowych w TV Republice, a ja się zastanawiam, czy są jeszcze jakieś rezerwy. W końcu antena nie jest z gumy.



Wystartowaliśmy z nowym programem „Przyjaciele Republiki” nieco wcześniej, bo o godz. 5.30, więc ta guma, o której pan mówi, nieco się rozciągnęła. Poza tym mamy też drugi kanał ogólny. Nie chcemy zmarnować koncesji, ale i bezpiecznie jest nadawać na kilku koncesjach. Jest tam więcej lifestyle’u, Mszy Świętych czy lżejszych formatów dotyczących zdrowia, urody czy kuchni. Chcemy też wprowadzić filmy i seriale. W efekcie widz otrzymuje wybór. Jednak wszystko zależy od wsparcia ludzi. Budujemy telewizję razem i nie jest to slogan. Jak nam pomagają, to idzie szybciej, a jak nie, to wolniej. Do tej pory idziemy jak burza. Władza się na to bardzo denerwuje, ale z drugiej strony nie rozumiem Donalda Tuska. Istnienie dużej, konserwatywnej stacji byłoby dowodem na to, że Donald Tusk nie jest satrapą. To, w jaki sposób traktuje media, jest najlepszym dowodem, że niszczy demokrację i wolność słowa. Tego się nie da przecież ukryć. Mam wrażenie, że to nie działa.

„Naszym celem jest bycie numerem jeden” – mówił pan w styczniu w „Do Rzeczy” i wielokrotnie później. Dużo brakuję?

W Nielsenie mamy regularnie 80 proc. oglądalności TVN i zdecydowanie wygrywamy w przestrzeni internetowej. Myślę, że mamy więc równowagę, jeśli chodzi o liczbę widzów. Jest też pytanie, na ile panele badawcze są miarodajne i odzwierciedlają rozkład widzów. Na ogół, podobnie jak badania społeczne, faworyzują jednak duże miasta, gdzie mamy wielu widzów, ale nie da się ukryć, że najwięcej jest tam, gdzie są konserwatywni wyborcy.

Podgląda pan w ogóle konkurencję?

Jeśli mam czas, to czasem patrzę, co robią inni. Próbowaliśmy np. oglądać te nielegalne „Wiadomości”, czyli „19.30”, ale tego się nie da oglądać. Nie chodzi nawet o stopień zacietrzewienia i ideologizacji, ale to jest nudne. Słabi warsztato-wo pracownicy mediów, do tego okropnie przemądrzali z przekonaniem, że są lepsi. Nic dziwnego, że nikt ich nie chce oglądać, a widzowie uciekają.

Niedawno wystartowała też wpolsce24.pl, czyli konkurencyjna stacja na prawicy, która również

zaangażowała wiele osób z TVP. Jak pan patrzy na ten projekt?

Nie martwię się za bardzo, że mamy konkurencję. Wjechaliśmy na pewnej emocji i byliśmy do tego przygotowani. Konkurencja zmarnowała chyba ten czas, kiedy można było zbudować zasięgi techniczne i wypromować brand. Odpaliliśmy po kilkunastu dniach multipleks, a oni po dwóch miesiącach. Im się nie spieszy i widzom też się nie spieszy. My mówimy widzom, że „dzisiaj jesteśmy dla was”, a oni: „Coś tam zrobimy”. Natomiast dobrze, że istnieją także inne kanały, choćby dlatego, że ten ogień, którym razi nas koalicja rządząca, będzie się rozpraszal. Nie da się zatkać rynku telewizyjnego. To przejaw normalności, a taka rywalizacja nas tylko mobilizuje. Zresztą nastąpiło ciekawe zjawisko, że od kiedy mamy konkurencję, to wzrosła nam oglądalność.

Donald Tusk uzyskał efekt odwrotny do zamierzonego i nas wzmocnił. Skoro mieliśmy różne warianty i byliśmy na to przygotowani, to znaczy, że jego działania również są przewidywalne. Niewiele osób wierzyło, że może się tak zachować wobec mediów publicznych, a u nas to był jeden z wariantów. Owszem, wydawało nam się, że może on być zrealizowany przez ludzi mało rozumnych. To nie jest tak, że jeśli wejdzie się siłą, przetnie się kable, to nagle nikt nie będzie krytykował władzy. Po drugiej stronie mamy kogoś, kto jest wściekły i robi pokazówkę.

Rozmawiamy w drugiej połowie września. Za nami prezentacja jesiennej ramówki, a przed nami przenosiny TV Republiki do nowej redakcji. Jakie ma pan plany? Co by pan chciał wdrożyć?

Media muszą istnieć w grupie, więc będziemy chcieli rozwijać inne kanały. Będziemy chcieli szlifować to, co robimy. Poprawiamy się też technicznie. Telewizja to wyjątkowo drogie narzędzie, ale musimy kupić jeszcze więcej sprzętu. Ponadto chcemy rozwijać kanały, które dają możliwość zaspokojenia widzów, którzy niekoniecznie chcą informacji i publicystyki, ale chcą np. obejrzeć film, dowiedzieć się czegoś nowego, i to bez zagrożenia reedukacją lewicową ideologią.



**Ze Zbigniewem Boguckim,
posłem Prawa i Sprawiedliwości**
rozmawia Ryszard Gromadzki

Kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami

RYSZARD GROMADZKI: Po zbliżającym się kongresie Prawa i Sprawiedliwości można oczekiwać głębokiego resetu w partii, odmłodzenia przywództwa? Czy skończy się tylko na liftingu i tłumaczeniach, że w czasach „walczącej demokracji” nie ma miejsca na rozliczenia?

ZBIGNIEW BOGUCKI: Jestem przekonany, że kongres będzie nie tyle „nowym otwarciem” w PiS, ile silnym impulsem, który pozwoli połączyć dwa żywioły. Z jednej strony – mądrość płynącą z doświadczenia wszystkich liderów i naszych działaczy, którzy zdobyli ją poprzez lata aktywności w administracji rządowej czy samorządowej, pracę w Sejmie i Senacie, a także w strukturach Prawa i Sprawiedliwości. Z drugiej strony – inne spojrzenie na rzeczywistość, będące udziałem generacji 30- i 40-latków oraz związane z nim nowe formy przekazu.

Myślę, że to będzie jedno z głównych zadań kongresu. Kolejną strategiczną kwestią jest sprawa reorganizacji zarządzania partią, którą zapowiadali prezes Kaczyński i kierownictwo PiS. Chodzi o to, żeby nasza formacja stała się bardziej dynamiczna, ale jednocześnie pozostała przy swoich korzeniach i wartościach, które są konserwatywne. Rzecz w tym, żeby ten konserwyzm miał nowoczesny charakter, był otwarty. To pozwoliłoby nam wyjść naprzeciw

ludziom, którzy do tej pory nie głosowali na Prawo i Sprawiedliwość.

Przekonać do PiS tych, którzy oddali głos na ugrupowania tworzące Trzecią Droga, a dziś są zawiedzeni Hołownią czy Kosiniakiem-Kamyszem, ponieważ o wszystkim decyduje Tusk. Nadto oczywiście również nawiązać otwarty dialog z wyborcami popierającymi Konfederację, gdyż łączy nas z nią bardzo wiele. Polskie społeczeństwo – jestem co do tego absolutnie przekonany – jest społeczeństwem konserwatywnym. My, jako PiS, musimy pokazać ludziom bardziej przyjazną twarz Prawa i Sprawiedliwości i zrzucić niechęć maski, które w ostatnich latach kłamliwie nakładali nam nasi oponenti z wielką pomocą sprzyjających im mediów liberalno-lewicowych. Przez osiem lat rządów zrobiliśmy bardzo wiele dla Polaków, dla gospodarki, wielu grup społecznych, a niekoniecznie zostało to dostrzeżone.

To znaczy, że rozliczeń podczas kongresu w Przysusze nie będzie?

Zamiast określenia „rozliczenia” użyłbym słów „analizy, podsumowania i konstruktywne wnioski”. Jestem ostatnią osobą, która chciałaby i miałaby prawo kogoś rozliczać za ubiegłoroczne wybory.



FOT. JACEK KODIMSKI/REPORTER

Przecież osiągnęliśmy bardzo dobry wynik. W ujęciu procentowym oraz liczby uzyskanych głosów wygraliśmy te wybory. Tyle że nie jesteśmy w stanie rządzić.

Pamiętajmy, że wcześniej dwukrotnie wygraliśmy wybory z bezwzględną większością. Ci wszyscy, którzy się do tego przyczynili, do zrealizowania tych wszystkich programów, które złożyły się na prawdziwą dobrą zmianę w Polsce w latach 2015–2023, którzy budowali ambitną Polskę, po prostu nie zasługują na rozliczenia, ale na podziękowania.

Zupełnie inną sprawą są analizy, które zresztą mają miejsce po wyborach parlamentarnych, samorządowych i europejskich. Trzeba z nich wyciągnąć mądre wnioski, a następnie bardzo konsekwentnie realizować to, co z tych wniosków wynika.

Czy podstawowym wnioskiem, który wypływa z tych analiz, jest diagnoza, że absolutnym priorytetem dla PiS powinno być budowanie zdolności koalicyjnych z Konfederacją i PSL, bo w dającej się przewidzieć perspektywie pana formacja nie ma szans na samodzielne rządy?

Zgadzam się, że to jedna z głównych kwestii, które powinniśmy podjąć, i należy dostosować nasze działania do

tego wniosku. Nie znaczy to oczywiście, że rezygnujemy z walki o samodzielną władzę. Pokazaliśmy, że to możliwe, że środowisko mądrze konserwatywne może samodzielnie rządzić w Polsce, i to przez osiem lat. Nie jestem aż tak sceptyczny jak pan, że tego sukcesu nie będzie można w przyszłości powtórzyć. Nigdy nie mów „nigdy”. To powinien być nasz cel. Natomiast trzeba być realistą i spojrzeć na otoczenie polityczne, społeczne, geopolityczne, które mamy dzisiaj, i w konsekwencji budować – poprzez nasze działania w wymiarze politycznym, społecznym, poprzez ofertę dla środowisk, które nie są z nami, ale nie są też przeciw nam – szeroką prawicę otwartych konserwatystów.

Czy w tej formule mieści się współpraca z Konfederacją i PSL?

Myślę, że zamiast spoglądać przez pryzmat poszczególnych formacji politycznych – Konfederacji, PSL czy też mniejszych środowisk pozaparlamentarnych, z którymi także trzeba i warto rozmawiać – powinniśmy spojrzeć na ich wyborców. Mamy obowiązek uważnie patrzeć na to, jak Polacy głosują i czego oczekują. Nasz przekaz powinien trafiać także do wyborców, którzy oddali głosy na PSL czy Konfederację oraz mniejsze ugrupowania prawicowe, a nie zagłosowali na Prawo i Sprawiedliwość. To jest klucz do sukcesu. Na poziomie twardej polityki nie oznacza to oczywiście rezygnacji z inicjatyw, które będą do zaakceptowania przynajmniej dla części Konfederacji lub części PSL. W przypadku wyborców jednej i drugiej formacji opowiadałbym się za stosowaniem ewangelicznej formuły: „Kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami”.

Jest pan wymieniany w wąskim gronie polityków, którzy mogą być kandydatami Prawa i Sprawiedliwości w wyborach prezydenckich. W naszej rozmowie określił się pan jako nowoczesny konserwatysta. Co to oznacza?

Odwolałem się raz jeszcze do maksymy, której użyłem przed chwilą w naszej rozmowie: „Kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami”. To znaczy, że opowiadam się za otwartą dyskusją, niezamykaniem się we własnym środowisku, wyjściem do różnych grup społecznych. Jestem gotowy do rozmowy także z tymi,

którzy są wobec nas krytyczni. Jeśli tylko ta niechęć nie wynika z nienawiści, jak w przypadku Silnych Razem czy „ośmiogwiazdkowców” – tam nie ma czego szukać. Nowoczesny konserwizm to otwartość na dialog, ale jednocześnie odważne, jasne głoszenie swoich poglądów. To ma być mądry konserwizm, który nie może wstydzić się swoich idei, nie dezertuje, nie ukrywa się, ale w dialogu walczy o przekonanie innych do tych idei i wartości, które są fundamentem życia narodu i funkcjonowania państwa jako wspólnoty.

Uściślijmy. Na chrześcijańskich fundamentach? Czyli np. na uznaniu, że aborcja jest złem?

Oczywiście, że tak. Aborcja jest złem. Natomiast samo powiedzenie, że aborcja jest złem, bez kontynuacji dialogu w tej sprawie, powoduje, że część ludzi, którzy nie przyjmują tej prawdy, automatycznie zwraca się w kierunku innych środowisk politycznych. Powinniśmy tłumaczyć ludziom, dlaczego aborcja jest złem. Powinniśmy również powiedzieć, jak będziemy pomagać kobietom, młodym matkom, tym z nich, które nie mają wsparcia w rodzinie. To jest niezwykle istotne. Nie możemy być miałkami – tzn. nie możemy zmieniać zdania pod wpływem chwili czy jakiegoś sondażu, z którego wynika, że Polacy są za czymś albo przeciw czemuś. W ten sposób nie można prowadzić odpowiedzialnej, wiarygodnej i długofalowej polityki. Nie wyobrażam sobie, żebym z uwagi na prosty zysk polityczny, który wynika z sondaży, porzucił swoje fundamentalne poglądy. Myślę, że to jest przesłanie nie tylko dla ludzi wierzących, lecz także niepodzielających wiary w Boga. Tak jak określa to preambuła do polskiej konstytucji „[...] zarówno wierzący w Boga, będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i niepodzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł [...]”. Jeśli spojrzymy w Dekalog, to musimy dostrzec w nim bardzo uniwersalne reguły postępowania, które wiele osób niewierzących przyjmuje jako dobre wskazówki, na bazie których powinni wychowywać swoje dzieci czy postępować w życiu codziennym. Polityk nie powinien ukrywać swoich poglądów, a takżenie powinien prowadzić świętych wojen. Polityk powinien starać się przekładać

system wartości, który wyznaje, na język ustaw i działań struktur państwa, ale nie może narzucać swojej religii. Wracając do kwestii aborcji, nie jest to sprawa tej czy innej religii, to sprawa prawa podstawowego, którym jest prawo do życia. Szacunek do życia ludzkiego to fundament cywilizacji europejskiej, która jest źródłem cywilizacji wolnego świata.

Chyba obaj zgodzimy się, że ten fundament jest dziś w bardzo ostry sposób kwestionowany. Lewicowe ideologie, które opanowały zachodni świat, odrzucają porządek oparty na chrześcijaństwie. Jak się im skutecznie przeciwstawić?

Nie można być miałkami tam, gdzie mówimy o wartościach podstawowych.

Niech „tak” znaczy „tak”, a „nie” znaczy „nie”...

Właśnie tak. Myślę, że bardzo ważna jest jednoznaczna, czytelna postawa poparta przykładem własnego życia, codziennego postępowania, również programu politycznego w kwestiach społecznych, ochrony zdrowia czy bezpieczeństwa. Jeżeli ta postawa będzie spójna, to jestem przekonany, że ten ideologiczny walec, który dziś próbuje przetoczyć się przez Polskę, który jest agendą rządu Tuska, zostanie zatrzyman, bo ludzie z natury odrzucają fałsz, wyczuwają go. Jeżeli mają przykłady, że można postępować inaczej, że prowadzi to w stronę dobra, przynosi dobre rozwiązania, to pójdą w tę stronę. Dlatego nie można być miałkami. Należy stać twardo na fundamentach, ale nie tworzyć zamkniętej twierdzy. Neomarksisti wypowiadają nam dziś kolejne ideologiczne wojny. To, co próbowali narzucić nam wcześniej w Polsce i w całym bloku sowieckim, skończyło się bankructwem. Nie możemy pozwolić na to, żeby po raz kolejny ta sama ideologia, tylko w innym przebraniu, rozbroiła nasze społeczeństwo, nasz naród, nasz kraj. Dialog i otwarcie na innych nie oznaczają dezercji z własnych wartości.

Czy prezes Kaczyński rozmawiał już z panem na temat wyborów prezydenckich? Usłyszał pan ofertę kandydowania w nich?

Może kiedyś przyjdzie czas, kiedy będziemy mogli spokojnie na ten temat porozmawiać, ale na pewno nie teraz. Tego rodzaju sprawy lubią ciszę – i niech tak pozostanie.

Ronnie zwycięzca



Mówi się, że Dennis Quaid do roli Ronalda Reagana przygotowywał się dwa lata FOT. NOAH HAMILTON



Piotr Gociek

Nakręcony w Ameryce i o amerykańskim bohaterze film „Reagan” jest w istocie filmem polskim, bo jego twórcy też nie wiedzą, jak mówić o wielkich czynach, by była to opowieść dobra, a nie tylko słuszna

Do starego sowieckiego szpiega przybywa na lekcję wschodząca gwiazda rosyjskiej polityki. „Jak to się stało – pyta – że przegraliśmy zimną wojnę?”. Dostajemy więc coś na kształt „Listów starego diabła do młodego” C.S. Lewisa, tyle że w formie wykładu. Starym diabłem jest Wiktor Pietrowicz, grany przez Jona Voighta – analityk KGB, odpowiedzialny za tworzenie psychologicznych portretów potencjalnych

wrogów Związku Sowieckiego. Przez wiele lat przestrzegał przed Ronaldem Reaganem, ale nikt nie chciał go słuchać.

Biograficzny film Seana McNamary radzi sobie w amerykańskich kinach lepiej niż się spodziewano (do polskich wchodzi w tym tygodniu), lewicowi krytycy nie zostawiają na nim suchej nitki, a prawicowi liderzy opinii publicznej są podzieleni. Na łamach „The National Review” jedni rekomendują „Reagana” jako film wspaniały i bardzo potrzebny, inni tłumaczą, że nie wystarczy kręcić dzieł słusznych – muszą jeszcze być dobre. Bez wątpienia film McNamary był bardzo potrzebny i bez wątpienia jest to dzieło słuszne, tzn. zgodne z oczekiwaniami konserwatywnej widowni. Czy jest to film dobry? Tu zaczynają się schody.

DWIE GODZINY RETROSPEKCIJ

W modzie jest ostatnio poświęcać przynajmniej jeden odcinek popularnych seriali na retrospekcję, by przypomnieć, skąd wzięli się bohaterowie, co ich ukształtowało, jakie odnosili zwycięstwa

i jakie ponosili porażki. „Reagan” jest właśnie taką ponaddwugodzinną retrospekcją, czymś w rodzaju „The best of Ronald Reagan”. Ktoś inny powie: obrazkowym streszczeniem hasła z encyklopedii. Słyszymy więc z ekranu ważne słowa: o tym, że Związek Sowiecki to imperium zła, o tym, że można być komunistą, bo każdy ma prawo do własnej opinii – ale nie można być komunistą na zółdzie Sowietów – i wezwanie do tego, by Michaił Gorbaczow zburzył mur berliński.

Dla amerykańskiego widza będzie to odtrutka na antyreaganowską histerię ostatnich dekad, bo lewicowe salony, media i popkultura próbują przerobić go na demona zła, tak jak wcześniej udało się im to zrobić z Nixonem. Polski odbiorca zwróci zapewne uwagę na sprawy, na których temat mógł mieć wiedzę dość skąpą. Rola Reagana w ocaleniu niezależności związku zawodowego aktorów w Hollywood znana jest głównie tym, którzy uważnie czytali jego biografie. Podobnie jest z początkiem kariery politycznej. A gdy w 1983 r. Sowietci

zestrzelili pasażerski samolot z Korei Południowej, narrację w bloku sowieckim kształtowały reżimowe media. Cóż więc mogliśmy wiedzieć?

A propos biografii – podstawą scenariusza napisanego przez Howarda Klausnera jest znana i w Polsce książka Paula Kengora „Ronald Reagan i obalenie komunizmu”. W oryginale nosiła tytuł: „The Crusader: Ronald Reagan and the Fall of Communism”. Krzyżowiec – tak właśnie mówi o Reaganie analityk Pietrowicz, podkreślający w swoich wspominkach rolę wiary. Od czasów młodości miał być Ronald przekonany o tym, że ma do spełnienia jakieś przeznaczenie. Misję wypełnił, wiary dochował – koniec. Misją było obalenie komunizmu.

Jest więc film „Reagan” hagiografią. Bywają w niej momenty bardzo dobre i bardzo niedobre. Kłopot jest z konstrukcją opowieści – i nie chodzi mi wcale o rosyjską ramę narracji. Sednem każdej historii są podróż i przemiana bohatera, jego zmagania z przeciwnościami. W wersji McNamary dostajemy ukształtowanego w pełni młodego człowieka, postać niemal bez skazy, która pozostaje taka już do końca. Jak sprawić, by taka historia nie była niezniosnie słodka lub nadmiernie jednowymiarowa? Dobrą bronią jest humor. I jest w „Reaganiu” scena przezabawna: montaż następujących po sobie jeden po drugim konduktów żałobnych sowieckich genseków: Breżniewa, Andropowa i Czernienki (wszyscy troje zmarli w ciągu trzech lat). „Jak mam z nimi negocjować, skoro ciągle umierają?!” – wybucha Reagan, patrząc w telewizyjną transmisję.

Jednak najbardziej szkodzą sceny nieintencjonalnie śmieszne. Kilka takich, niestety, dostajemy. Oto konwersacja po zamachu na Jana Pawła II. Poruszony Reagan pyta: „Co wiemy?”, a szef CIA odpowiada: „Papież jest Polakiem, jego rodacy pragną wyzwolenia spod sowieckiego jarzma”. W takich właśnie chwilach odkrywamy, że większość bohaterów filmu to tylko kukiełki, które w odpowiednim momencie mają wypowiedzieć przypis do historii. Taką kukiełką jest np. premier Japonii Yasuhiro Nakasone, który przed negocjacjami Reagana z Gorbaczowem mówi z przejęciem: „Proszę pamiętać, że komuniści kłamią, by osiągnąć swoje cele!”. Można kręcić

poważne kino, a można i lekcję historii dla klas trzecich. Nie mam pretensji o to, co o świecie i Reaganiu mówią nam twórcy filmu, ale o to, w jaki sposób to robią. Na kilka chwil pojawia się w filmie premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher (Lesley-Anne Down) i niestety nie jest to rola – to parodia.

Na szczęście w obsadzie króluje Dennis Quaid jako Ronald Reagan. I tu parodii nie ma. Jak wieść niesie, szykował się do roli przez dwa lata, z czego przez rok doprowadzał do szału rodzinę, ćwicząc na niej akcent byłego prezydenta. Quaid doskonale podrabia charakterystyczny styl mówienia Reagana i jego mimikę, ale przede wszystkim jest bardzo dobrym aktorem, który z umiarkowanie ciekawego materiału jest w stanie wycisnąć więcej niż można było się spodziewać. Niemal równie dobry jest Jon Voight jako weteran z KGB – ale przecież jego klasę także od dawna znamy.

WOJNA IDEI

Choć nakręcony w Ameryce, za amerykańskie pieniądze i o amerykańskim bohaterze, to jest w istocie „Reagan” filmem polskim, bo jego twórcy stanęli przed takim samym dylematem jak nasi nieliczni reżyserzy kina historyczno-patriotycznego. Jak wbrew machinie miejscowego przemysłu filmowego, z ograniczonym budżetem („Reagan” kosztował zaledwie 25 mln dol. – tyle się dziś wydaje na jeden odcinek serialu), opowiedzieć o ważnej postaci, oddając jej sprawiedliwość? I Sean McNamara ponosi porażkę w polskim stylu – tzn. przedstawia film, który zachwyci przekonanych, ale niespecjalnie zaciekawi resztę.

A jednak jest to film istotny. Jakże rzadko padają w Hollywood z ekranu słowa o tym, że reżimy komunistyczne z natury są zbrodnicze i bezlitosne, że władzę w Polsce czy Czechosłowacji komuniści przejęli siłą, że Kuba miała być sowieckim narzędziem nuklearnej agresji na USA. Najważniejszy moment filmu to chyba ten, kiedy Reagan, przemawiając w Orlando, cytuje C.S. Lewisa (prawdziwe „Listy starego diabła do młodego”, a nie wersję Wiktora Pietrowicza): „Największe zło nie dzieje się



REŻ. SEAN MCNAMARA
„REAGAN”
W KINACH

obecnie w owych nędznych spelunkach przestępstwa, które lubił opisywać Dickens. Nawet nie w obozach koncentracyjnych i obozach pracy. Tam spotykamy się z jego końcowym rezultatem. Rodzi się ono i jest wprowadzane w życie w schludnych, wyłożonych dywanami, ogrzanych i dobrze oświetlonych biurach, przez spokojnych ludzi w białych kołnierzykach”. To przesłanie nie przestało być aktualne. Dołożmy dokończenie cytatu, bo nie wszystko się w filmie McNamary zmieściło: „Stąd, rzecz dość naturalna, moim symbolem Piekła jest coś w rodzaju biurokracji państwa policyjnego lub biura do cna znikczemniałego koncernu przemysłowego”.

To przesłanie sprawia, że warto zapytać, na ile ta opowieść o kluczowej figurze historii Ameryki XX w. jest opowieścią zastępczą o obecnej wojnie idei w USA. A moim zdaniem – w dużym stopniu jest. Dostaje się w filmie zaczadzonemu lewicową ideologią Hollywood, bezymyślnie powtarzającym sowiecką propagandę studentom, stroniczonym mediom, które zwalczały Reagana – równie ostro jak dziś Trumpa. Otchłań szaleństwa, w której pograża się dziś Ameryka, jest jednak większa. Padają w filmie „Reagan” słynne słowa, które prezydent po zamachu na swoje życie wypowiedział do chirurga: „Mam nadzieję, że jest pan republikaninem”. „Dziś wszyscy jesteśmy republikanami” – odparł chirurg. Czy jesteśmy w stanie wyobrazić sobie sytuację, w której podobne słowa padłyby w chwili, gdy na operację czeka Trump?

Oczywiście Trump to nie Reagan i nigdy nim nie będzie, chodzi jednak o zasadę, o obronę podstaw wspólnoty, o chwilę, w których partyjne interesy muszą ustąpić trosce o wspólne dobro. Co do samego Donalda Trumpa zaś – dla niego porównanie z Reaganiem wypada miażdżące i jeśli ktoś oczekuje po nim podobnego pionu moralnego, mądrości i hartu ducha, to srogo się zawiedzie. I to powinno amerykańskich widzów „Reagana” (cieszących się, że na ekranie lewacy dostają za swoje) martwić dużo bardziej niż to, że o Ronaldzie Reaganiu powstał nie najlepszy film.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jakub Żulczyk, autor książki „Dawno temu w Warszawie” FOT. WOJCIECH KOZIOL/FORUM



Marek Jurek

Porządek można wywrócić, ale nie można od niego uciec

Dawno temu w Warszawie” to miejska legenda o duchach przemykających między budynkami, o walczących plemionach, z których niektóre wyginęły, o dobrych wróżkach i o złych mocach, których charakteru (ludzkie czy nieludzkie?) nawet legenda nie potrafi do końca określić. Oniryczna (czy po prostu narkotyczna) atmosfera, gdzie rzeczywistość miesza się z urojeniem, łączy „Dawno temu w Warszawie” z filmem Sergia Leone, którego tytuł Jakub Żulczyk sparafrazował. Tytuł ten można też czytać inaczej, jako odesłanie do innej epoki, starych czasów. Dlaczego, skoro akcja powieści rozgrywa się ledwie cztery lata temu? Bo w tle historii bohaterów jest realna

historia, aborcyjna rewolucja październikowa z 2020 r. W tle dalekim, ale wyraźnym, wpływającym na konkretne życie na tyle, by przynieść coś w rodzaju wybawienia pozytywnym bohaterom opowieści. Jest też trzecia interpretacja tytułu: gdy świat się rozpada – wszystko zaczyna być dawno.

DZIECI NIETZSCHEGO

O tym, co zdarzyło się „Dawno temu w Warszawie”, opowiada nam równoległe kilkoro postaci. Śledzimy ich krzyżujące się relacje. Streszczanie ich byłoby nielojalne wobec zainteresowanych czytelników, ale równie ciekawe jak wydarzenia są zawarte w tych narracjach perspektywy.

W punkcie wyjścia jest Jacek – Duch, bohater wcześniejszej powieści „Ślepnąc od świateł”, niespełniony artysta i diler narkotyków. Mroczna, rimbaudowska postać rodem z późnego romantyzmu. Chce malować, ale uświadamia sobie, że tylko ułamek promila artystów „osiąga sławę i bogactwo”. Więc po co? Dokonuje

odkrycia (w istocie chrześcijańskiego, choć zapewne bardzo by nie chciał do tej poznawczej wspólnoty się przyznać), że olimpijscy bogowie, zamieszkujący szczyty tego świata, to demony. Bo artysta, „który wygrywa los na loterii, staje się bogatym niewolnikiem historycznych degeneratów. Reszta topi się w jeziorze rozpacz, korporacjach, domach mediowych. Zarzyna swój talent jak ofiarne zwierzę na starożytnym ołtarzu. Za spływającą krew bierze kredyty, kupuje ładne przedmioty, cyklinuje podłogi, daje do renowacji przedwojenne drzwi, lata w grudniu do Tajlandii”.

Jacek jednak, mimo całej tłumionej złości, nie odrzuca tego świata. Przeciwnie – chce wywalczyć sobie w nim miejsce, przynajmniej na zboczach góry zamieszkałej przez zdegenerowane bóstwa. „Bandyci na tym tle wydawali się ostatnimi sprawiedliwymi. Pieniądz z handlu dragami – najuczciwszy. Ktoś chciał twojej kasy, ktoś chciał twojego czasu, ktoś chciał cię zamknąć w pierdłu – ale nikt nie chciał twojej duszy. A ci

ludzie dookoła, ludzie z miasta, jednak z jakiegoś powodu wszyscy ćpali. Aby nie utopić się w jeziorze rozpaczy”. I w ten sposób wchodzi na drogę, która prowadzi coraz głębiej w otchłań.

POGARDA PRZECIW WOLNOŚCI

Nie musiałby w tę otchłań brnąć. W poprzedniej powieści jeszcze się modlił („choć nigdy nie pomyślał o Bogu dłużej niż minutę”). Modlił się o potop, w którym zatonię Warszawa. Na Warmii ma siostrę, będącą ucieleśnieniem duchowej równowagi, „gotową na życie i całe jego cierpienie”, bo miała „w sobie tę gotowość, bo miała miłość”. Miłość owocną – dodajmy – choć z mężem decydują się wziąć ślub dopiero po narodzinach trzeciego dziecka, a więc – po solidnym namyśle.

Dlaczego więc w ogóle nie rozważa tej drogi? Co odbiera mu wolność? Co go popycha? Wśród przeszkód, które musi usunąć, napotka antagonistę, który – w odróżnieniu od innych postaci – nie otrzymuje od autora powieści przywileju głosu. To katolicki minister, wcześniej dobry chirurg, godny pogardy w swych najlepszych intencjach, w całej swej cierpliwości, popularnie nazywanej tolerancją, bo przecież musi „tłumaczyć się przed całym krajem z katastrof, na które nie ma się wpływu, robić za kukłę do plucia”. A nawet „nie umie dobrze wymawiać przekleństw. Nie mieszczą mu się w ustach”. Należy do tych, którzy żyją „w trwałym cierpieniu, w którym nie ma nic szlachetnego”, bo „biedaka wytresowali jeszcze w dzieciństwie. Najważniejsze w życiu to klękać i płakać”.

Tej żałosnej kondycji Jacek przeciwstawia swe pompacyjne nietzscheańskie monologi: „Jedynie, czego można w życiu tak naprawdę chcieć, to zabić człowieka. Przemoc jest uczciwa”. Także nienawiść „jest czysta i piękna. Nienawiść do postawa. Prawdziwa nienawiść jest jak oświecenie, kasuje przeszłość i przyszłość”, i tak coraz dalej.

ZBUNTOWANE PLEMIONA WARSZAWY

Jest też Pazina, Matka Teresa od LGBTQI+. Nie żartuję, to nie złośliwość. Jak u świętej – jej życie ma charakter całkowicie relacyjny. Poświęca się dla tych, z którymi współczuje najgłębiej. Dla tych,

którzy nie potrafią się odnaleźć nie tylko w społeczeństwie czy we własnej rodzinie, lecz także we własnym ciele. I aby mieli dom, gdy z domu uciekną – zakłada dla nich przytułek, „hostel interwencyjny”. Nie tylko im pomaga. Matronuje ich inicjatom aktywistycznym. Zachęca do demolowania furgonetek obrońców życia (mała laurka dla „Margot”), zachwyca się ich udziałem w aborcyjnej rebelii.

Ona od autora dostaje głos. Wierzy, że w „mieście obcym nawet dla tych, którzy się w nim urodzili”, aby pozostać człowiekiem, „musisz znaleźć innych ludzi i stworzyć z nimi plemię. Zawierzyć im swoje życie. Rozpalić ogień, skupić się z nimi dookoła płomieni”. Plemię Paziny ma nawet własny (choć oczywiście dzielony z pokrewnymi szczepami) język: sexworking, escorting, consent (to ostatnie w kontekście przemocy seksualnej). W sumie zrozumiały, ale pozbawiający sensów i asocjacji określenia realnie funkcjonujące w polszczyźnie.

Nadzieję ta książka nie karmi, ale przecież nadziei nie można karmić złudzeniami

W tym wyobcowanym świecie zaskakuje jednak namiętna tęsknota za przywiązaniem i przynależnością, a także za walką i heroizmem. Tak właśnie, z niemal pacyfistycznej utopii, żywiącej nienawiścią do państwa i wstręt do munduru, rodziła się kiedyś Armia Czerwona. A potem Frakcja Armii Czerwonej. Porządek można wyrzucić, ale nie można od niego uciec. Uciec oczywiście nie może społeczeństwo, w pojedynkę, owszem, można próbować.

OSTATNI AZYL

„Dawno temu w Warszawie” kończy się... w Berlinie, w tej mekce wykorzystanej Europy. Jeden z bohaterów jedzie na tę przeklętą ziemię, gdzie ludzie być może nigdy już nie zbudują prawdziwej wspólnoty, nigdy nie pogodzą się sami ze sobą, gdzie będą tylko żyli i zarabiali obok siebie. Jedzie tam, bo właśnie tam będzie mu dobrze. Tym bardziej że sam uznał,

iż jest „z przeklętej ziemi”. Tak wygląda świat, gdy się nań patrzy, stojąc na głowie.

Książka Jakuba Żulczyka jest nadzwyczaj ciekawym dokumentem naszych czasów. Stanisław Mackiewicz pisał, że wszystkie powieści są historyczne, z wyjątkiem jedynie powieści historycznych. Zresztą sam autor „Dawno temu w Warszawie” chciałby jej taki charakter nadać. W końcu sugeruje, że to zapis momentu przełomu, kiedy rodzi się „tutaj” coś innego. Choć berliński exodus sugeruje, że nie jest to takie pewne. Miejmy nadzieję!

Nadzieję ta książka nie karmi, ale przecież nadziei nie można karmić złudzeniami. „Dawno temu w Warszawie” to naprawdę świetnie namalowana panorama, panorama naszego świata, świata doświadczającego schyłku, dotkniętego nienawiścią, rozpadającego się na plemiona, które tylko nienawiść może na chwilę jednoczyć.

To w tym świecie (i z tym światem) musimy cały czas zmagać się o suwerenność, o suwerenną kontrolę nad wspólnym losem, o utrzymanie elementarnego porządku w bezkształcie. Niczym nasi pierwsi książęta, którzy ustanowili swą suwerenną władzę pośród nieprzychylnych plemion. Są ci, którzy wierzą, że trybalizm chroni człowieczeństwo. My wierzymy, że może ocalić je naród, wspólnota losu kierująca się tym, co wspólnotę chroni i zapewnia jej trwałość. Wspólnota, która przede wszystkim wierzy, że warto żyć, że życie ma trwać, że ma trwać w kolejnych pokoleniach, bo ma sens.

Uchylając się od tej koniecznej walki, być może unikniemy nienawiści, ale nie pogardy. Ta zaś niesie większe zgrzeszenie. I pamiętajmy: suwerenność musi przeciwstawić się plemiennej anarchii nie tylko fizycznie, lecz także moralnie: sama nie może być trybalizmem i do trybalizmu powracać (w wersji np. „teraz, k..wa, my”). Dzieciom chaosu nie wytłumaczymy pewnie naszych intencji, realności dobra wspólnego, wartości społecznej, a nie plemiennej, wspólnoty. Ale warto zdawać sobie sprawę z tego, jak myśłą, co czują, by naszym postępowaniem, naszymi słowami nie dokarmiać ich nienawiści. Przynajmniej tyle. Jednak w ostatecznym rachunku nie potrzebujemy ani ich, ani niczyjej zgody, by ratować swoją ziemię.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Przeżyć



★★★★★
REŻ. JEREMY SAULNIER
„REBEL RIDGE”
USA 2024

wyst. Aaron Pierre,
 Don Johnson,
 AnnaSophia Robb

Wśród natłoku nijakich premier Netflixa „Rebel Ridge” wyróżnia się wyraźnie. To więcej niż solidna opowieść kryminalna. Gdyby wymyślił ją Lee Child, mogłaby bez trudu stać się kolejnym tomem cyklu o Jacku Reacherze. Terry Richmond (którego gra Aaron Pierre) ma zresztą z Reacherem coś wspólnego: wojskową przeszłość i moralny pion. Terry przybywa do małego miasteczka w Arkansas, by zapłacić kaucję, dzięki której jego kuzyn uniknie odsiadki. Miejscowi gliniarze – skorumpowana szajka pod dowództwem Sandy’ego Burnne’a (świetny Don Johnson) – zabierają mu pieniądze bez powodu, choć wykorzystują sztukę prawną, dzięki której rzecz ma

pozory legalności. Dwie mocne osobowości znajdują się więc na kursie kolizyjnym, zwłaszcza kiedy okaże się, że cwany gliniarz nie lubi dotrzymywać słowa, a milkliwy przybysz ujawni, że jest instruktorem sztuk walki w korpusie marines i nie zawaha się użyć swych umiejętności.

Mogłaby to być rutynowa ekranowa bijatyka, ale reżyser Jeremy Saulnier (który także napisał scenariusz) zaskakuje. Przekręt, który zapewnia święty spokój gliniarzom z miasteczka Shelby Springs, jest nieoczywisty, bardzo sprytny i właściwie... niemal w granicach prawa. Można oglądać „Rebel Ridge” jako kolejną opowieść o złej policji i rasizmie, ale można i jako ciekawą analizę lokalnych układów zamkniętych.

N Brudna wspólnota okazuje się większa, niż można było przypuszczać, bo diabeł najwięcej zdziałać może, podając się za anioła, a z przekrętów lokalnego szefa policji korzysta bardzo wielu mieszkańców, często nawet o tym nie wiedząc. No i bardzo ważna rzecz – skąd my to znamy – jak to często bywa w przypadku sitwy działającej z dala od wścibskich oczu, kluczowy element układanki to miejscowy sędzia, który pilnuje, żeby wszystko biegło odpowiednim torem.

Pierwsza połowa filmu Saulnier jest bardzo dobra, potem fabuła trochę traci tempo, ale i tak trzyma w napięciu do końca. Aaron Pierre jako Terry Richmond jest przekonujący i charyzmatyczny. Jack Reacher albo Franz Maurer zatłukliby w finale wszystkich łotrów. U Saulnier rozgrywka to nie pojedynek na to, kto przeleje więcej krwi, lecz kto przechytrzy przeciwnika, bo ważniejsze od odbierania życia jest jego ratowanie. ©



NOWE SERIALE: „DAVID CHASE I »RODZINA SOPRANO«”

Dwuczęściowy dokument Alexa Gibneya to właściwie trzy filmy sklejone w jeden. Po pierwsze, opowieść o dzieciństwie i traumach kreatora serialu „Rodzina Soprano”, po drugie, o kulisach powstawania głośnej produkcji i po trzecie – o relacjach między aktorami a twórcą, które zmienia-

ły się w miarę, jak praca nad serią zamieniała się w egzorcyzmowanie demonów z przeszłości samego Davida Chase’a. ©

Piotr Gociek

• reż. Alex Gibney „David Chase i »Rodzina Soprano«” („Wise Guy: David Chase and the Sopranos”), USA 2024

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Jon Watts „Samotne wilki” („Wolfs”), USA 2024
- sezon 2 „Stary człowiek” („The Old Man”), USA 2024
- miniseria „A Very Royal Scandal”, Wielka Brytania 2024



W wannie Hitlera

KINO

Zapotrzebowanie na superbahatki stale rośnie. Magik wyciągnął więc z kapelusza Lee Miller, modelkę i muzę kosmopolitycznej bohemy, która po wybuchu drugiej wojny światowej przeistoczyła się w bezkompromisową fotoreporterkę. Jak to często w kinie bywa, zamiast biografii dostajemy garść epizodów, arbitralnie uznanych za kluczowe. Lee w bombardowanym Londynie, Lee na froncie w Normandii, Lee w wyzwolonym Paryżu, Lee odkrywająca piekielną naturę III Rzeszy. Scharakteryzowana zrazu jako kobieta wyemancypowana i zaprawiona w bojach z męskimi szowinistami, w trudnych sytuacjach się rozkleja. Reporter wojenny z gołębim sercem?

Takie stworzenie raczej nie istnieje. Wiarygodność fabuły cierpi jeszcze bardziej, gdy realia minionej epoki filtruje się przez sito ideologicznych obsesji. Można być świetnym operatorem i marnym reżyserem (Kuras). Można zdobyć aktorski Olimp i źle wybierać role (Winslet). Wpadki zdarzają się nawet najlepszym. Gorzej, że film, pretendujący do miana odkrywczego, mąci ludziom w głowach. Objaśnia, że naziści byli źli, gdyż prześladowali „Żydów, komunistów, artystów i czarnych”. Cierpienia ludności cywilnej, gwałty, samosądy i samobójstwa Niemców, dla których śmierć Führera oznaczała koniec świata – wszystko to prawda. Ale z pewnością nie cała. ©©

Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. ELLEN KURAS
„LEE. NA WŁASNE OCZY” („LEE”) USA 2023

wyst. Kate Winslet, Alexander Skarsgård, Andy Samberg



GRA TYGODNIA: „BLACK MYTH WUKONG”

Chińczycy od dawna skutecznie rozpychają się łóckami na bardzo dochodowym rynku gier mobilnych. „Black Myth Wukong” jest prawdziwym – nomen omen – wejściem smoka w segment AAA. Choć debiutanci nie ustrzegli się

irytujących błędów technicznych (które najpewniej będą naprawiane), to zainteresowanie tym soulslike’owym erpegim akcji jest bardzo duże. I nic dziwnego, bo to solidna pozycja w świetnej oprawie. Możemy być pewni, że to nie jest

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAK ZOSTAĆ LALKĄ

KINO



★★★★★
REŻ. BERTRAND BONELLO
„BESTIA” („LA BÊTE”) FRANCJA/KANADA 2023

wyst. Léa Seydoux, George MacKay, Elina Löwensohn

Jeszcze tylko 20 lat i ustana wojny tudzież klimatyczne katastrofy. Stery przejmie sztuczna inteligencja, ludzie zaś staną się bezużyteczni. Chętni do pracy będą musieli przejść kurację polegającą na pozbawieniu emocji, które przyniosły światu i cywilizacji same przykrości. Bohaterka, nie bez wahań, zgadza się „zanurzyć się w poprzednich życiach dla oczyszczenia DNA”, po czym przenosi się (w myślach) do epoki wczesnego i schyłkowego modernizmu. W każdym wcieleniu na jej drodze staje ten sam mężczyzna. „Bestia” nie jest strasznym filmem. W lepszych momentach przypomina „Zakochanych bez pamięci” i fabuły Lynch’a, w gorszych – klaustrofobiczne produkcje, w których przyszość przypomina sterylizowany zakład dla obłąkanych, z którego uciekli lekarze i prawie wszyscy pacjenci. Konkluzja optymizmem nie napawa: homo sapiens to recydywista, wiecznie popełniający te same błędy. Quel dommage! ©©

ZŁOTY STRZAŁ

prime video



★★★★★
REŻ. GUY HAMILTON
„GOLDFINGER” WIELKA Brytania 1964

wyst. Sean Connery, Gert Fröbe, Honor Blackman

James Bond już 60 lat temu odkrył, że Chińczycy są (po zbzikowanych multimilionerach) największymi wrogami wolnego świata. Pekin się na niego obraził. Producenci zniesli bojkot azjatyckiego mocarstwa męźnie, gdyż i tak zarabiali krocie. „Goldfinger” miał budżet, który pozwolił awansować cyklowi z ligi akcyjniaków do ekstraklas widowisk, większych niż życie. Trybi tu wszystko: wyluzowany Connery, duet czarnych charakterów, naszpikowany gadżetami Aston Martin, głos Shirley Bassey w tytułowej piosence, debiutancki drink (wódka z martini wstrząśnięta, niezmieszana) i złota dziewczyna. Reżyser znalazł złoty środek między powagą i kpina, jeszcze lepszym poczuciem humoru popisali się Amerykanie, nagradzając „Goldfingera” jednym Oscarem – za efekty dźwiękowe. Miesiąc przed premierą śmierć dopadła ojca agenta 007, Iana Fleminga. Cześć Jego pamięci! ©©

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
ostatnie słowo dewów z Państwa Środka. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** RPG akcji, TPP
• **Platforma:** PS5, XSX, PC
• **Producent;** wydawca: Game Science

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Liberum veto!

OJarosławie Marku Rymkiewiczu wolałbym pisać przy innej okazji niż usunięcie jego utworów z listy szkolnych lektur, ale po pierwsze, w gruncie rzeczy nieistotny jest powód, dla którego wspominamy postać tego zmarłego dwa lata temu wielkiego poety i pisarza, gdyż dług, który u niego zaciągnęliśmy, jest nie do spłacenia, a po drugie, odpowiednim do tego pretekstem wydaje się wydana przez Instytut Literatury, u kresu jego działalności, książka Anny Rzymskiej poświęcona twórczości autora „Mogły Ordona”.

Obok części krytycznoliterackiej, na którą składają się analizy i interpretacje tak poetyckich, jak prozatorskich utworów Rymkiewicza, na edycję składa się również antologia tekstów od tomu „Konwencje” (1957) do pracy „Adam Mickiewicz odjeżdża na złotym rowerze” (2018). Znajdziemy w nich zadziwiająco aktualne słowa.

I tak np. w „Samuelu Zborowskim” (2010) czytamy: „Rymkiewicz burzy dotyczący przeszłości szlacheckiej stereotyp, mówiący o tym, że złota wolność była czymś zgubnym; stwierdza coś wręcz przeciwnego. Esej przedstawia przeciwieństwo szlachecką i złotą wolność jako wartość na wskroś pozytywną; autor jawi się jako szlachcic, który wyraża współczesne liberum veto: »Jeśli ludzie, którzy rządzą Polską, nie wypełniają swoich obowiązków – jestem wolny od posłuszeństwa [...]. To niech panowie sobie zapamiętają – panie prezydencie, panie premierze, panowie, którzy teraz tutaj rządzącie«. W konsekwencji zwrotu do »braci szlacheckiej« zwraca się też do odbiorców, komentując problem przymusowych imigrantów:

»Ale zastanówcie się [...] czy będziecie tolerancyjni, będziecie

wyrozumieli i będziecie się łagodnie uśmiechali, kiedy w waszym najbliższym sąsiedztwie, w waszych blokowiskach, między waszymi blokami, obok waszych kościołów albo raczej na miejscu waszych kościołów ktoś inny, wierzący inaczej niż wy (jacyś innowiercy) zacznie stawiać swoje meczety?»”.

Dotyczy to także naszej historii najnowszej, tej całkiem niedawnej. Esej Rymkiewicza „Kinderszenen” (2008) wciąż stanowi „inspirację do dyskusji dotyczącej dążeń Niemców do przewodnictwa w Europie i Unii Europejskiej. Rymkiewicz przypomina zdecydowany opór powstańców wobec tej samej germańskiej chęci do dominacji w czasie drugiej wojny światowej, która skończyła się rozlewem polskiej krwi”. A w wierszu „Kiedy się obudziłem” (wrzesień 1982 r.) poeta ostrzegł:

*I jak przed wielu laty, Lwowską,
Nowowiejską
Wychodziliśmy z miasta długimi
kolumnami
Pchając dziecinne wózki, dźwigając
walizki,
Jak na zdjęciach z Powstania, ci którzy
przeżyli,
I wzdłuż Politechniki, gdzie przy
barykadzie
Czekali na nas uśmiechnięci Niemcy
Dzieląc nas na tych, którzy pójdą do
obozy,
I na tych, którzy będą rozstrzelani.
Zgrzytając obracała się wieżyczka
z działem,
I pomyślałem, że nie warto dłużej żyć,
Bo Polski już nie było, więc niech mnie
zabiją.
A kiedy znów się obudziłem, mój syn
szedł do szkoły.
Huczało poranne miasto, więc jeszcze
nie czas.*

W książce „Juliusz Słowacki pyta o godzinę” (1982) znajduje się najważniejsze przesłanie całej bogatej twórczości tego wyjątkowego arty-

sty słowa: „Choć stawiamy pomniki naszym Wielkim Duchom, te Duchy nie żyją, bo żyć nie mogą w kamieniu, w brązie, w metalu pomników. Żyją wśród nas, obcując z nami. Śmiejąc się z siebie i z nas, płacząc nad sobą i nad nami. Życie ich, nieśmiertelność ich na tym i tylko na tym się zasadza, że żyją wśród nas, że rozmawiają z nami. Ta rozmowa między żywymi a zmarłymi jest warunkiem istnienia, warunkiem życia naszych Wielkich Duchów. I jest warunkiem naszego istnienia. Żyjemy o tyle, o ile zdołamy się skomunikować z naszymi zmarłymi: bo żyjemy tak, jak oni tego pragną, jak oni sobie życzą, jak oni nam każą. I oni, nasi zmarli, żyją o tyle, o ile zdołają skomunikować się z nami, bo żyją tak, jak my sobie życzymy, jak my pragniemy, jak my im każemy. Mówiąc inaczej: rozmowa między nami a naszymi Wielkimi Duchami jest niezbędnym i wystarczającym warunkiem istnienia naszej kultury”.

Nasz dialog z Wielkim Duchem Jarosława Marka Rymkiewicza, najwybitniejszego polskiego poety i eseisty przełomu wieków XX i XXI, jedynego w tym czasie naszego twórcy, który stworzył spójny system zarazem filozoficzny, historyozoficzny i metafizyczny, został zakłócony przez niedouka nazwanego „ministrą”. Zdaniem Barbary Nowackiej, bo tak się ów niedouk wabi, dla „niejakiego Rymkiewicza” nie ma miejsca w polskiej szkole.

Polską szkołę należy że wszystkim siłą chronić przed takim jak Nowacka administratorami oświaty. Pamiętając, że – jak pisał Rymkiewicz – kiedy ta nasza rozmowa z Wielkimi Duchami zostaje przerwana i zapada milczenie, „nasza kultura, czyli nasze życie traci sens, ponieważ nie wiemy, jak mamy żyć, i nie wiemy, po co żyjemy...” © ©



★★★★★
ANNA RZYMSKA
„TUTEJ/ZE
I NIETUTEJ/ZE.
O TWÓRCZOŚCI
JAROSŁAWA
MARKA
RYMKIEWICZA”
INSTYTUT
LITERATURY,
KRAKÓW 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Śmierć w Providence

Poczytanki i oglądarki, ale przede wszystkim potężny ładunek do przemyślenia: powieść graficzna „Ostatni dzień Howarda Phillipsa Lovecrafta” to moim zdaniem najlepszy polski album komiksowy ostatnich lat. Polski, a zarazem z importu, bo autorem strony graficznej jest Jakub Rebelka, jeden z najbardziej utalentowanych polskich artystów, ale scenariusz napisany został przez francuskiego powieściopisarza Romualda Giulivo, sam album pierwotnie ukazał się w Paryżu.

15 marca 1937 r. – Lovecraft umiera. Nafaszerowany morfiną spoczywa w szpitalnym łóżku nawiedzany przez istoty prawdziwe i nieprawdziwe. Wśród tych pierwszych znajdziemy żonę Sonię, przyjaciół i naśladowców (Derleth, Bloch i inni), poprzedników (Poe), następców (King, Gaiman, Moore), a nawet współnika w naciąganiu magazyńów groszowych na publikację – mało kto wie, że Lovecraft napisał opowiadanie, które ukazało się pod nazwiskiem słynnego iluzjonisty Harry’ego Houdiniego. Mieli współpracować na stałe, ale Houdini zginął przedwcześnie.

Wśród postaci fikcyjnych prym wiodą literackie alter ego pisarza,

czyli Randolph Carter, bohater opowiadań Lovecrafta, a także kosmiczne monstra, którymi wypełniał wszechświat, bo wedle Lovecrafta ludzkość była jedynie pyłkiem na nieistotnej planecie, igraszką w rękach sił tyle potężnych, ile amoralnych. Dostajemy w tej serii majaków (zadziwiająco spójnych) zarówno skrót biografii autora „Zewu Cthulhu”, jak i lekcję jego poglądów na wszystko. Najważniejsza jednak jest warstwa trzecia – rozważania o relacji pisarz – dzieło, o tym, jak życie zamienia się w literaturę i odwrotnie – o sensie tworzenia sztuki w ogóle i o tym, co dzieje się z dziedzictwem, gdy autora nie ma już wśród łapczywych fanów. I rozważania te okazują się dużo bardziej uniwersalne, choć tu akurat zaaplikowano je nam na kanwie opowieści o twórcy



★★★★★

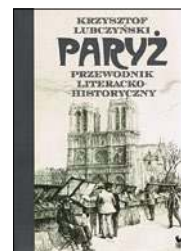
**JAKUB REBELKA,
ROMUALD
GIULIVO
„OSTATNI DZIEŃ
HOWARDA
PHILLIPSA
LOVECRAFTA”
KULTURA GNIEWU
2024**

wyjątkowo osobnym i osamotnionym w swych wizjach kosmicznego horroru eschatologicznego.

Scenariusz jest więc niegłupi. A co do strony graficznej, zawsze ceniłem oryginalną kreskę Rebelki, ale to, co zobaczyłem w nowym albumie, wbiło mnie w głęboki podziw. „Wybitny warsztat malarski” – tymi słowami w postłowie docenia polskiego rysownika francuski pisarz François Bon. I ma rację. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Skarbnica faktów i anegdot nie tylko dla miłośników stolicy Francji, lecz także historii, literatury i sztuki w ogóle. Nie trzeba znać czy odwiedzać Paryża, by rozkoszować się erudycją autora.



**KRZYSZTOF
LUBCZYŃSKI
„PARYŻ.
PRZEWODNIK
LITERACKO-
HISTORYCZNY”
ISKRY**

„Od wojny zimowej do zimnej wojny – 1939–1950” – głosi podtytuł. Mało znane fakty, pasjonująca opowieść. Jak to się stało, że Finowie tak długo stawiali opór Sowieciom? Co sprawiło, że nie zostali podbici?



**KIMMO RENTOLA
„FINLANDIA
KONTRA STALIN”
REBIS**

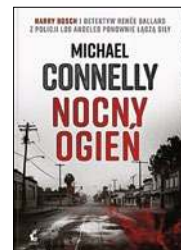
Wznowienie jednej z najlepszych (oprócz „Dnia tryfidów”) powieści brytyjskiego klasyka SF. Oto ludzkość po wielkiej katastrofie. Ale czy to możliwe, że ta zmiana jest początkiem nowego rozdziału ewolucji naszego gatunku?



**JOHN WYNDHAM
„POCZWARKI”
REBIS**

Opowieści o detektywie Harrym Bosch to 22. – jednocześnie trzecia powieść, w której pojawia się detektyw Renée Ballard, znana m.in. z książki „Ciemną nocą”. Razem próbują rozwikłać zagadkę sprzed lat.

recenzuje Piotr Gociek



**MICHAEL
CONNELLY
„NOCNY OGIEŃ”
SONIA DRAGA**

KOMIKS TYGODNIA:

„A WIĘC, FRU-BĘCI”

Zbiornicze wydanie (w twardej oprawie) trzech nieco mniej znanych dzieł klasyka polskiego komiksu: „Jak ciotka Fru-Bęc uratowała świat od zagłady”, „To doprawdy kiepska sprawa, kiedy Bestia się pojawia” oraz „Naukowa to jest kwestia, znowu się zjawiła Bestia”. Baranowski to mistrz absurdu i poczucia



**ANNA
BARANOWSKA,
TADEUSZ
BARANOWSKI
„A WIĘC,
FRU-BĘCI”
ONGRYS 2024**

humoru, a zarazem chyba najoryginalniejszy autor polskiego komiksu. ©©

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Od zaplecza

Ekspersi z Muzeum Narodowego w Szczecinie konserwują rocznie od 350 do 550 obiektów. Wliczają się w to proste, kosmetyczne prace, jak choćby usuwanie zanieczyszczeń z obiektów muzealnych, ale są i poważne, trwające po kilka lat projekty, np. konserwacje gotyckich ołtarzy czy archeologicznych łodzi.



FOT. MUZEUM NARODOWE W SZCZECINIE

Nowa wystawa czasowa w szczecińskim muzeum odsłania tajniki konserwacji zabytków. Ukazuje warsztat pracy w pięciu pracowniach. Każda z nich zajmuje się inną materią: ceramiką, papierem, meblami i bronią, malarstwem i rzeźbą polichromowaną oraz drewnem i metalem. Konserwacje ukazane są na konkretnych przykładach. Są wśród nich wspomniana już drewniana łódź, toporek i kusza ze średnio-wiecza, obrazy, ramy obrazów, but znaleziony na szczecińskim Podzamczu czy metalowa figurka Buddy, w której wnętrzu w trakcie konserwacji odnaleziono zwoje modlitewne. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Szczecinie
KIEDY? do 30 marca 2025 r.



FOT. M. KRZYZANOWSKI

MATEJKO I KRASIŃSCY

Wystawa zorganizowana „w 165. rocznicę śmierci Zygmunta Krasińskiego, skoncentrowana jest na zagadnieniach poruszanych w późnej twórczości wieszczki narodowej oraz ich recepcji w sztuce polskiej”. Jednym z kluczowych elementów ekspozycji jest obraz „Polonia. Z Psalmów przyszłości Krasińskiego”, który jest efektem refleksji Jana Matejki nad twórczością Zygmunta Krasińskiego i dziedzictwem polskich romantyków.

GDZIE? Muzeum Romantyzmu w Opinogórze
KIEDY? do 30 listopada



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Elektroniczne ukojenie

Floating Points, czyli Sam Shepherd, to jeden z najbardziej wszechstronnych producentów muzyki elektronicznej. Jego najnowszy album jest minimalistycznym projektem, który pokazuje artystę w wyjątkowo refleksyjnym nastroju.

Wspólna płyta Brytyjczyka i jazzmana Pharoah Sandersa, „Promises”, została uznana przez wielu krytyków na świecie za album 2021 r. Na czwartym krążku Shepherd zaprasza na kontemplacyjną podróż. Utwory powoli się rozwijają, a Sam z niezwykłą precyzją manipuluje rytmem i teksturą, tworząc krajobraz dźwiękowy, który płynie i zmienia się niczym tytułowa „kaskada”. Muzyka przechodzi przez różne nastroje, od spokoj-

nych, hipnotyzujących fragmentów do bardziej intensywnych, ale wciąż stonowanych momentów.

Płyta jest dowodem na to, że mniej znaczy więcej – Shepherd tworzy piękno z prostych elementów, bez nadmiernych aranżacji czy złożonych struktur. Każdy dźwięk wydaje się mieć swoje miejsce, tworząc harmonijną całość, która jest medytacyjna, ale nie nudna.

Na tle wcześniejszych albumów Floating Points „Cascade” może wydawać się mniej wybuchowy, ale to właśnie spokój i subtelność sprawiają, że album zyskuje na wyjątkowości. To idealna ścieżka dźwiękowa do wieczornych refleksji, momentów wyciszenia czy relaksu. ©©



★★★★★
FLOATING POINTS
„CASCADE”
NINJA TUNE



★★★★★
THE THE
„ENSOULEMENT”
EAR MUSIC

Matt Johnson po 24 latach wskrzesił The The. W tekstach przeplata osobiste refleksje ze społeczno-politycznymi komentarzami. Muzyka łączy klasyczne brzmienie zespołu z współczesnymi aranżacjami. Zaskakująco dobry powrót nieco zapomnianego zespołu.



★★★★★
TINDERSTICKS
„SOFT TISSUE”
CITY SLANG

Na 14. albumie grupa wraca do surowych brzmień, zachowując mroczny, filmowy styl muzyki. Głos Stuarta Staplesa w połączeniu z soulowymi aranżacjami brzmi fenomenalnie, a smyczki, instrumenty dęte i chórki tworzą piękny nastrój. Godne polecenia.

Rób, co trzeba, nic nie przegap



Krzysztof Masłowski

Czterdzieści lat temu na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu zaprezentowany został zrealizowany przez Krzysztofa Jaślara program „Ostry dyżur”. Ostry był naprawdę, a do historii przeszedł głównie za sprawą sławnego monologu Bohdana Smolenia. „A tam, cicho być...”. W tym samym Kabaretonie zaprezentował się też nieznaną szerszej publiczności Bogusław Nowicki, przy gorącym aplauzie widowni wykonując własną piosenkę o niełatwym do zapamiętania tytule „Teoretyrada”. Było to pierwsze publiczne wykonanie tego utworu i zarazem, za PRL, ostatnie. Do następnych nie dopuściła cenzura, która zresztą i to opolskie prawykonanie skróciła o jedną strofkę. Bard stanął przed dylematem: czy zgodzić się na tę ingerencję w tekst czy spakować się i wrócić do domu. Przyjaciele odradzili mu gest Rejtanowski i artysta otrzymał nawet za „Teoretyradę” wyróżnienie. W niczym nie pomogło to nieprawomyślnemu dziełu, które w niebity zakamuflowanej formie traktowało, cóż, o komunizm.

Mniej więcej chodziło w nim o to, że „pewien facet w filozofii bardzo śmiały” doszedł do wniosku, że bogaci wyżywiają biednych, przez co stają się jeszcze bardziej zamożni,

a biedni choć pracują ponad siły, to ubożeją, że aż strach. Ponieważ uznał, że jest to niesprawiedliwe „i społecznie się wcale nie opłaca”, wskazał, by bogaci oddali majątki biednym, a sami zabrali się do roboty, zresztą „dosyć kiepskiej”. W praktyce okazało się jednak, że teraz to już wszyscy chcieli być bogaci. Dwie ostatnie zwrotki piosenki były takie:

*Jaka szkoda, że już nie ma tego pana,
Co teorię piękną stworzył w takim trudzie.
Bo ja myślę, że nie ujął w swoich planach,
Jak to zrobić, kiedy tacy głupi ludzie.*

*Teraz każdy tylko gada, dyskutuje,
A tu trzeba się za sprawę wziąć od nowa.
Po co ludzie, znowu któryś coś zepsuje,
Czy nie lepiej z ludzi zrezygnować?*

Zakończenie „Teoretyrady” nasuwało skojarzenie ze znaną opowieścią o tym, jak w NRD (młodym wyjaśniam, że były to Niemcy jak najbardziej komunistyczne) po wybuchu powstania 17 czerwca 1953 r. Związek Pisarzy kazał rozdawać w alei Stalina w Berlinie ulotki, w których można było przeczytać, że naród stracił zaufanie rządu i mógłby je odzyskać jedynie przez zdwojoną pracę. Czy nie byłoby znacznie prościej, gdyby rząd rozwiązał naród i wybrał inny? – pytałac miał wtedy wzięty dramaturg Bertolt Brecht.

Jako że koncepcja Bogusława Nowickiego szła w podob-

nym kierunku, Główny Urząd Kontroli Pracy, Publikacji i Widowisk uznał końcowe wersy za absolutnie niedopuszczalne, a po wykonaniu utworu niedopuszczalność tę rozciągnął na całą „Teoretyradę”. Wiele lat później, w 2014 r., po tym i wielu innych doświadczeniach, napisze bard piosenkę „To, co pierwsze – najważniejsze”:

*Czasem popełnisz błąd
Czasem tyle błędów, że chcesz uciec stąd
Wszystko po nic, gdzie zadzwonić
Życie ma sens, gdy ma
Odpowiadasz że to swoje ty, nie ja
Rób co trzeba, nic nie przegap.*

Tak też starał się robić, pisząc kolejne utwory, nie tylko dla siebie, bo jego piosenki wykonywali m.in. Grażyna Świata, Dorota Stalińska i Bogusław Mec. W radiowej Trójce prowadził cykl programów „Piosenki z tekstem”, tworzył dla kabaretów, ale nie zapomniał, od czego zaczynał. A pierwsze kroki stawiał na Bazunie i Yapie czy na Giełdzie Piosenki w Szklarskiej Porębie. Ten prawnik z wykształcenia jeszcze w latach 70. śpiewał „Poszukiwania”:

*Z plecakiem spakowanych myśli
wyruszą znowu w świat.
Ktoś dlaczego mi to wysnił, z kim
będę dzielił czas.
Spakuję jeszcze raz to wszystko
i znowu wyruszę w świat.*

Z tego samego okresu byli „Gawędziarze”, których też można było usłyszeć na szlakach turystycznych w różnych stronach kraju. Charaktery-

styczne, że mało kto wiedział, czyja to była piosenka, kto ją napisał:

*Takie zwykłe, takie małe
Tutaj mają wielką wagę
Wykrzykniki kolorowe
Wygładają wciąż jak nowe
Gawędziarze, gawędziarze
Odrzucają stare sprawy
Przy ognisku i przy kawie
O tym jak kiedyś w górach
Na pomoc ktoś krzyczał głośno
O tym jak na Mazurach
Ktoś złamał wiosło
O tym jak patyk trzasnął
Gdy wiatr za mocno dmuchał
I chyba każdy już zasnął
Tylko autor słuchał.*

Nagrał kilka płyt, m.in. „Ballady” (1995), „Oceany” (1999) czy „To, co pierwsze – najważniejsze” (2020). Wyżywał się nie tylko artystycznie, działając w ZAiKS. A na kameralnych koncertach, dla publiczności równie jak on ceniącej w piosence liryzm i nastrój, dowodził, że bard niekoniecznie musi być smutnym facetem z gitarą.

Zgodnie z tytułem swej płyty („Optymizmu gram”) nadchodzące stulecie witał z nadziejami. Miał to być przecież „Nowy piękny wiek” (1996):

*To jedno wiem na pewno, że
Przyjdzie dzień na sto lat ten
najważniejszy
Dobry lek, dobry lek na wszystko
Nowy piękny wiek
Szczęśliwy, dwudziesty pierwszy.*

No tak, miało być wspaniale. Tyle że „Teoretyrada” nie chce się jakoś zestarzeć. © ©





FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

Progresywna demokracja walcząca



Lech Mażewski

Sensem działań Donalda Tuska jest obrona ideologicznego i społeczno-gospodarczego panowania liberalizmu, a nie cokolwiek innego

Na spotkaniu w Senacie „Drogi wyjścia z kryzysu konstytucyjnego” 10 września premier Donald Tusk oznajmił marszałkom obu izb parlamentu, ekspertom i konstytucjonalistom, że w celu restytucji praworządności władza publiczna musi funkcjonować w ramach „demokracji walczącej”, aby „przywrócić ład konstytucyjny i fundamenty liberalnej demokracji”. – Oznacza to, że prawdopodobnie nieraz popełnimy błędy lub podejmiemy działania, które według niektórych autorytetów prawnych mogą być nie do końca zgodne z literą prawa, ale nic nie zwalnia nas z obowiązku działania – wyjaśnił szef rządu.

Skąd ten rodzaj prawnego stanu nadzwyczajnego? „Ostatnie osiem lat [2015–2023 – przyp. L.Ż.] zdewastowało system prawny; toniemy w »luzach interpretacyjnych«”.

W tym kontekście od pewnego czasu mowa jest o ekstraordynaryjnych rozwiązaniach, które rządzący mieliby podjąć wobec Krajowej Rady Sądownictwa, Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego czy sędziów mianowanych

po 2017 r. Przeciwnicy mówią o powrocie do demokracji socjalistycznej albo wręcz o stalinizmie prawnym, ale nie ma to nic wspólnego z tym, co głosi i praktycznie wykonuje Tusk.

Zwycięstwo bolszewików w Rosji czy faszystów we Włoszech nie wywołało jakiejś zasadniczej refleksji ustrojowo-politycznej w środowisku liberalnych demokratów. Inaczej stało się w momencie przejścia władzy w 1933 r. w Niemczech przez NSDAP. Doszło do tego w sposób legalny, zgodny z zasadami systemu parlamentarnego, jednak w szybkim czasie nazisci doprowadzili do powstania zamiast demokracji liberalnej nowego ustroju, który ich przeciwnicy nazwą totalitaryzmem, aczkolwiek wcześniej używano już tego określenia wobec faszystowskich Włoch.

Już w 1932 r. Carl Schmitt w dyskusji z normatywistą Hansem Kelsenem twierdził, że państwo liberalne winno mieć uprawnienia do delegalizacji partii antysystemowych i rewolucyjnych. Do konkurencji wyborczej miałyby być dopuszczone tylko te stronnictwa, które

akceptują zasady gry politycznej opisane w konstytucji. Inaczej sił państwa i jego aparatu – wojska, policji, służb specjalnych – partia sprawująca władzę użyje do likwidacji demokracji liberalnej, delegalizacji opozycyjnych partii politycznych i zniszczenia ich elit. Schmitt w przededniu zdobycia władzy przez Adolfa Hitlera określał to mianem „wielkiej premii” (Grosse Prämie). Tą premią jest dysponowanie aparatem państwa przez zwycięską partię, aby mogła ona wzmocnić swoje uliczne bojkówki wojskiem i policją w rozprawie z opozycją oraz jej bojkówkami. Ten wywód uzupełniony był drwinami, że totalitaryzm prędko do władzy miałoby powstrzymać orzecznictwo grupki sędziów konstytucyjnych, a nie zdecydowane działania organów władzy wykonawczej.

Z niczym takim, o czym mówił Schmitt w dyskusji z Kelsenem, nie mieliśmy do czynienia w Polsce w latach 2015–2023. Bez względu na to, w jaki sposób i jak głęboko partia Jarosława Kaczyńskiego zawłaszczyła struktury państwa, po przegranych wyborach z 15 października 2023 r. bez oporów oddała władzę zwycięskiej koalicji centrolewicowej. Nie trzeba być stronnikiem Prawa i Sprawiedliwości, żeby tak twierdzić, a formułowanie jakiegokolwiek innego sądu jest wierutnym kłamstwem.

„DEMOKRACJA OPANCERZONA”

Kilka lat po przejściu władzy w Niemczech przez NSDAP Karl Loewenstein, niemiecki liberalny prawnik, emigrant po 1933 r., stworzył koncepcję „demokracji opancerzonej” (Streitbare Demokratie) ściśle związaną z ideą „demokracji walczącej” (Wehrhafte Demokratie). Aczkolwiek chodzi tu o nieco różne sprawy, ale urzędujący premier niejako zbiorczo się nimi zajmuje, używając tego ostatniego terminu.

Z analizy poglądów Loewensteina wynika, że pilnie studiował polemikę Schmitta z Kelsenem, stając niebezpiecznie po stronie tego pierwszego. Tusk zapewne nie zna tych prawniczych sporów, ale zapowiada przywrócenie praworządności, ergo panowania lewicowych liberałów, zgodnie ze sformułowanymi wtedy konkluzjami. Zresztą Pan Jourdain, bohater sztuki Moliera „Mieszczanin szlachcicem”, też nie wiedział, że mówi prozą.

Stanowisko Loewensteina sprowadza się do stwierdzenia, że demoliberalne rządy i sądownictwo mają prawo zakazać działania partii politycznych oraz likwidować partie mające na celu wygrać wybory, aby znieść instytucje parlamentarne i pluralizm polityczny. Poglądy te były wymierzone głównie w nazistów, faszystów i przedstawicieli autorytarnej prawicy, a w znacznie mniejszym stopniu w komunistów, których przeciwnik NSDAP traktował jako dopuszczalnych koalicjantów dla sił liberalnych i socjaldemokratów. Trudno zrozumieć, dlaczego komuniści mieliby być w lepszej sytuacji niż naziści czy faszyci i co wspólnego z tymi ostatnimi mają przedstawiciele autorytarnej prawicy. Dla Schmitta zarówno naziści, jak i komuniści byli wrogami, choć już niekoniecznie zwolennicy autorytaryzmu. Tuskwowi znacznie bliżej byłoby do poglądu Loewensteina, co nie powinno dziwić, skoro obaj zaliczają się do obozu liberalno-lewicowego.

W jednej ze swoich książek Adam Wielomski stawia zasadnicze pytanie: Czyż koncepcja demokracji opancerzonej albo demokracji walczącej, jak mówi Tusk, nie stanowi wymarzonego narzędzia do delegalizacji wszystkich przeciwników poglądów liberalno-lewicowych i do ustanowienia faktycznej dyktatury liberałów oraz socjaldemokratów, w której poglądy sytuujące się na prawo od nich będą wyjęte spod prawa? W końcu organ decydujący o tym, kto jest, a kto nie jest wrogiem liberalnej demokracji, może stać się narzędziem eliminującym z walki politycznej każdego, kto nie zgadza się z obozem lewicowo-liberalnym. Trudno odmówić logiki argumentacji znanego historyka idei politycznych, gdyż pokusa odniesienia łatwego zwycięstwa jest tu rzeczywiście olbrzymia.

W polskich naukach politycznych nie tylko dokonano recepcji poglądów Loewensteina, lecz także przy okazji znacznie je zaostrzono. Roman Backer i Joanna Rak piszą, że „opancerzona demokracja” to „rodzaj systemu politycznego, który potrafi walczyć o swoje przetrwanie (democratic self-preservation) przede wszystkim z wrogami wewnętrznymi, lecz także z zewnętrznymi”, przy czym „unieszkodliwianie zagrożeń, w zależności od typu reprezentowanych strategii, można umieścić na kontynu-

um między eksterminacją a neutralizacją”. Likwidację wrogów liberalnej demokracji dałoby się przeprowadzić, podejmując polityczną decyzję o użyciu „przemocy politycznej”. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak wprost formułuje się tego rodzaju groźby. Ani PiS, ani Konfederacja nie są żadnymi zagrożeniami dla istnienia porządku demoliberalnego, gdyż chodzi im jedynie o to, aby stać się częścią klasy panującej. Osobną sprawą byłoby to, czy Tusk dojdzie do tych samych konkluzji i czy w wymiarze praktycznym będzie chciał je stosować. Jednak nawet w PRL, po przełomie 1956 r., starano się unikać tego rodzaju działań, a nawet samej retoryki, w odniesieniu do oponentów realnego socjalizmu.

OCHRONA LIBERALIZMU

W koncepcji demokracji walczącej Tuska nie chodzi o żadne przywrócenie praworządności, a tym bardziej o obronę demokracji jako rządów większości, ale o ochronę systemu zinstytucjonalizowanego liberalizmu i – co z tym związane – pozycji warstw społecznych za nim stojących, a może nawet całej demoliberalnej klasy panującej. Te zbiorowości, można je określić mianem nowej arystokracji o charakterze funkcjonalnym, a nie rodowym, jak dawniej, w imię obrony swego stanu posiadania traktują wszelką próbę ograniczenia ich pozycji lub poddania kontroli sprawowanej przez siebie władzy, z czym w bardzo nieudolny sposób mieliśmy do czynienia w latach 2015–2023, za przejaw antydemokratycznego, skrajnie prawicowego, jak jest to najczęściej określane, populizmu.

Na taki wyłom Unia Europejska, od której w istotny sposób zależy jest urzędujący premier, może się godzić w przypadku niewielkich Węgier, ale już w odniesieniu do dużo większej Polski nie wchodziłoby to powtórnie w grę. Nie wiadomo jednak, jak sprawy by wyglądały, gdyby prezydentem USA został ponownie Donald Trump.

Nie należałoby jednak, odrzucając koncepcję demokracji walczącej, wylewać dziecka z kąpielą, gdyż koniecznie trzeba pamiętać o obronie podstawowych swobód, co niewątpliwie stanowi dorobek politycznego liberalizmu. Paradoksalnie zatem staramy się chronić

rzeczywiste osiągnięcia liberalizmu przed uroszczeniami ze strony jego współczesnych liberalno-lewicowych wyznawców. Ten paradoks to jeden ze znaków naszych czasów, a sam progresywizm jest śmiertelnym zagrożeniem dla całego Zachodu: w jednakowym stopniu od Waszyngtonu do Warszawy. Z pewnością nie uchroni nas przed tym zżarty przez demoliberalizm PiS.

Sensem działań Tuska jest głównie obrona ideologicznego i społeczno-gospodarczego panowania liberalizmu, a nie czegokolwiek innego. Przeciwnie temu byłoby chociażby zachowanie zwierzchnictwa Konstytucji RP nad prawem UE. Inaczej suwerenność narodu sprowadzi się do wyboru zarządu administrującego państwem przemienionym w rodzaj unijnego protektoratu w granicach ściśle wyznaczonych przez zinstytucjonalizowane zasady ideologii liberalnej. Zwycięstwo koncepcji demokracji walczącej spowodowałoby, że brukselski jaryk uprawniający do rządzenia Polską na stałe należałby do obozu liberalno-lewicowego, z pominięciem wszystkich innych sił politycznych, które, co najwyżej, mogłyby odgrywać rolę patriotycznego czy katolickiego PAX-u.

Obecne poglądy Tuska w sprawie demokracji walczącej nie są tak zupełnie oryginalne. Już w 1984 r. na łamach „Przeglądu Politycznego” pisał, występując jako Anna Barycz, że „postęp [...] będący w końcu faktem historycznym, a nie wymysłem progresistów, wymaga zwiększenia społecznego nadzoru nad gospodarką i bolesnego, ale koniecznego ograniczenia swobody jednostki”. Widać, jak ważny jest „postęp”, skoro dla jego urzeczywistnienia można nawet ograniczyć coś tak istotnego dla liberała, jak wolność jednostki i swobodę gospodarowania.

Po 40 latach w zupełnie nowych warunkach oczywiste jest, że bez posłużenia się koncepcją demokracji walczącej można przegrać starcie w obronie panowania postępu, czyli tego wszystkiego, czym jest współczesny lewicowy liberalizm. A czy wtedy dalsze istnienie Zachodu mogłoby mieć jakikolwiek sens? Dla progresisty chyba nie, skoro byłoby to równoznaczne ze zwycięstwem mroku nad oświeceniowym światłem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ustrojodawcą.

Tajna broń Putina



Mikołaj Iwanow

W Rosji odbywa się proces niezwyklej komercjalizacji wojny. Państwo sięgnęło po pieniądze i oferuje dobrobyt za udział w zbrodniczej wojnie

Wojna na Ukrainie wkracza w decydującą fazę. Rosja w tej konfrontacji dominuje wyraźnie w zasobach ludzkich, w ogólnych rozmiarach gospodarki, w swym potencjale przemysłu zbrojeniowego i w wielu innych dziedzinach. Posiada broń nuklearną. Przegrywa natomiast w motywacji do walki. Żołnierz ukraiński wyraźnie dominuje nad żołnierzem rosyjskim duchowo. Morale w armii ukraińskiej są na o wiele wyższym poziomie. Ukraińcy wiedzą dokładnie, za co ofiarują swe zdrowie i życie.

Na Kremlu doszli do przekonania, że jedynym sposobem na podniesienie ducha bojowego własnych żołnierzy są pieniądze. Potężna machina propagandowa Rosji okazała się zupełnie bezradna w masowym przyciągnięciu Rosjan do wojska. Jej wysiłki w kierunku przekształcenia wojny agresywnej, niesprawiedliwej w wojnę „ojczyźnianą” spęzły na niczym. Putin zdecydował słono płacić swym żołnierzom za udział w zbrodniczej wojnie.

ŻYCIOWY SKOK

W dzisiejszej Rosji odbywa się proces niezwyklej komer-

cializacji wojny, kiedy dla zwykłego Rosjanina państwo daje unikatową możliwość zdecydowanego podniesienia poziomu dobrobytu materialnego za koszt udziału w zbrodniczej wojnie. Stawki zarobków w armii rosyjskiej na tle średniego poziomu zarobków w kraju przerażają. Niżej podajemy za oficjalnymi źródłami rosyjskimi podstawowe pensje w armii rosyjskiej. Dla wygody naszych czytelników podajemy te dane również w przeliczeniu na dolary amerykańskie:

szeregowy – 200 tys. rubli (2,4 tys. dol.);
podoficer – 208 tys. rubli (2,6 tys. dol.);
dowódca plutonu – 244 tys. rubli (3,05 tys. dol.);
dowódca kompanii – 248 tys. rubli (3,1 tys. dol.);
dowódca batalionu – 264 tys. rubli (3,3 tys. dol.).

Brakuje tu danych o zarobkach wyższych dowódców armii. Są one objęte tajemnicą państwową prawdopodobnie dlatego, że są również na wysokim poziomie.

To zarobki, które zdecydowanie przekraczają średnie pensje w kraju. Uwzględniając to, że do wojska idą przeważnie ludzie najmniej zarabiający, dla wielu rodzin potencjalnych żołnierzy jest to jedyny sposób na szybkie wzbogacenie się. Dotyczy to przede wszystkim najbardziej ubogich regionów kraju.

Wyjaśnia to częściowo, dlaczego w armii tak mało ochotników z Moskwy i Sankt Petersburga. O ile w Moskwie średnie zarobki mieszkańców wahają się wokół 136 tys. rubli (1,7 tys. dol.), w Sankt Petersburgu 104 tys. rubli

(1,3 tys. dol.), o tyle w obwodzie pskowskim Rosjanie średnio zarabiają zaledwie 44,8 tys. rubli (560 dol.), w obwodzie riazańskim – 53,2 tys. rubli (665 dol.). Na Syberii średnie zarobki są nieco wyższe, w obwodzie irkuckim sięgają 88 tys. rubli (1,1 tys. dol.), ale również znacząco ustępują żołnierskiemu żołdu. Dla przykładu przypomnamy, że średnia emerytura w kraju to jedynie 21,2 tys. rubli (265 dol.).

STAWKI NA FRONCIE

Putin w odróżnieniu od Zełenskiego na razie zwleka z obwieszczeniem mobilizacji (częściowej lub powszechnej). Liczy na to, że pieniądź załatwi mu przypływ ochotników. Za podpisanie kontraktu z wojskiem żołnierz otrzymuje jednorazowe spore wypłaty: 400 tys. rubli (5 tys. dol.) z budżetu centralnego państwa i drugie 400 tys. rubli (5 tys. dol.) z budżetów lokalnych władz obwodowych. Putin osobiście zachęca również różne struktury biznesowe do przyłączenia się do tych wypłat. W ten sposób prawie każdy ochotnik może liczyć na dodatkowe ok. 300–500 tys. rubli. Można zbierać znaczną sumę jeszcze przed wyruszeniem na front.

Żołnierze rosyjscy otrzymują też pieniądze za udział w walkach na pierwszej linii frontu. Stawki są następujące: za zdobycie amerykańskiej wyrzutni Himars – 944 tys. rubli (11,8 tys. dol.);

za zdobycie czołgu Abrams lub Leopard – 944 tys. rubli (11,8 tys. dol.);

za zniszczenie czołgu Abrams lub Leopard – 472 tys. rubli (5,9 tys. dol.);

za zniszczenie wyrzutni Himars – 280 tys. rubli (3,3 tys. dol.);

za zniszczenie samolotu – 280 tys. rubli (3,5 tys. dol.);

za zniszczenie śmigłowca – 184 tys. rubli (2,3 tys. dol.).

Wszyscy wojskowi za każdy dzień udziału w walkach na pierwszej linii frontu dostają dodatkowe wypłaty 8 tys. rubli (100 dol.).

Za pierwszy strącony F-16 rosyjskim żołnierzom finansiersi armii ustalili cenę na poziomie 15 mln rubli (prawie 188 tys. dol.). Nikt tej gigantycznej kwoty jeszcze nie dostał, mimo że jeden z samolotów odpierający rosyjski atak rakietowy uległ katastrofie. Prawdopodobnie został trafiony własną raketą z wyrzutni Patriot.

Wypłaty wojskowym dokonywane są w rublach rosyjskich, które mimo wojny są stosunkowo stabilną walutą. Nie jest to pusty pieniądź. Od początku agresji kurs rubla rosyjskiego jedynie nieznacznie obniżył się wobec waluty amerykańskiej oraz euro i dziś waha się wokół poziomu 80 rubli za dolara. Czy świadczy to o nieskuteczności sankcji nałożonych na Rosję, które w założeniu miały spowodować poważny kryzys ekonomiczny w tym kraju?

O skuteczności „tajnej broni” Putina można na razie sądzić na podstawie liczby ochotników do armii rosyjskiej, która wbrew zapewnieniom propagandy państwowej i samego Putina nie jest imponująca. Liczba mężczyzn zdolnych do powołania pod broń w Rosji i na Ukrainie układa się w proporcji 5:1. Jednak na froncie ta potencjalna przewaga Rosjan nie przekłada się na sukcesy militarne. Ofensywa wojsk ukraińskich w obwodzie kurskim jest tego najlepszym dowodem. Armia Federacji Rosyjskiej nie jest w stanie obronić nawet własnego terytorium.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W połowie maja Dykasteria Nauki Wiary, kierowana przez argentyńskiego kard. Victora Manuela Fernández, wydała dokument dotyczący oceniania objawień i cudownych wydarzeń. Chodzi o normy, którymi ma się kierować Watykan, rozstrzygając, czy dane zjawisko można bezpiecznie polecać wiernym. Kościół od dawna czekał na taki dokument; brak transparentnych regulacji doprowadził na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci do pojawienia się wielu fenomenów o wątpliwym przebiegu i treści, które jednak cieszą się wśród wiernych olbrzymią popularnością.

O samym dokumencie pisałem na łamach „Do Rzeczy” (nr 22/2024) już kilka miesięcy temu. Przypomnę tylko, że Dykasteria przyjęła specyficzny modus operandi. Od teraz Kościół co do zasady nie będzie już rozstrzygać, czy dane objawienie lub cud są prawdziwe; Watykan ma jedynie sprawdzić, czy w badanym fenomenie są jakieś elementy sprzeczne z katolicką wiarą i kultem czy też ich nie ma. Jeżeli wszystko wydaje się w porządku, to Stolica Apostolska może udzielić nihil obstat, to znaczy „nic nie przeszkadza”; w mniej oczywistych przypadkach możliwe jest zalecenie objęcia danego zjawiska ściślejszym nadzorem albo też usunięciem niektórych wątpliwych elementów; a gdy sprawa jest wyraźnie negatywnie nacechowana – ma zapadać decyzja o zakazie propagowania danego fałszywego objawienia lub nieprawdziwego cudu.

WATYKAŃSKIE NIHIL OBSTAT

Od momentu ogłoszenia tekstu Watykan podjął już wiele działań. Pierwszą decyzją było całkowite zakazanie rzekomych objawień z Trevignano Romano we Włoszech. W czerwcu Stolica Apostolska w pełni zgodziła się z oceną, którą nieco wcześniej zaprezentował biskup miejsca, Marco Salvi: Watykan orzekł, że widzenia Matki Bożej, których miała doświadczać niejaka Gisella Cardia, nie są prawdziwe, a treść części przesłań jest sprzeczna z wiarą. W ten sposób rozwiązano problem, który nabrzmiewał od lat; i to nie tylko we włoskim katolicyzmie. Do Trevignano Romano jeździło również wielu Polaków; w naszym kraju wydawano też sporo książek poświęconych „słowom Maryi”, które – w ocenie biskupa i Watykanu – bynajmniej nigdy nimi nie były.

Objawieniowa ofensywa Watykanu



Paweł Chmielewski

Watykan podejmuje coraz więcej decyzji w sprawie prywatnych objawień. W czwartek 19 września, po latach oczekiwania, Rzym wypowiedział się także na temat Medjugorja



Do Medjugorja pielgrzymują miliony ludzi, zwykle w dobrej wierze i z zamiarem autentycznego uczczenia Matki Bożej FOT. ARTUR BOCIARSKI/ADOBE STOCK

Prawdziwa ofensywa objawieniowa nastąpiła jednak dopiero latem. Na początku lipca Stolica Apostolska wypowiedziała się na temat przesłania, które głosiła zmarła w 1991 r. włoska mistyczka Pierina Gilli. Chodzi o widzenia, których Gilli miała doświadczyć w latach

1947 i 1966 w regionie Brescii na północy Włoch (Montichiari-Fontanelle). Dykasteria Nauki Wiary uznała, że w treści przekazu mistyczki nie ma zasadniczo nic, co byłoby niezgodne z nauką katolicką. W Polsce objawienia z Montichiari są znane głównie za sprawą tzw. godziny łaski.

8 grudnia, w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, katolicy modlą się za wstawiennictwem Maryi między godzinami 12 a 13. Według Gilli do tego miała zachęcać sama Matka Boża. Rzecz bywa przez duchownych krytykowana jako mało poważna, ale Dykasteria w ogóle tego nie skrytykowała, co jest wyraźną sugestią, że da się „godzinę łaski” włączyć w zwykłe życie katolickie.

Nieco później wydano nihil obstat wobec objawień z Kalabrii we Włoszech. W 1968 r. 18-letni Cosimo Fragomeni miał w Santa Domenica di Placanica zobaczyć Matkę Bożą; Maryja miała w skierowanym do niego przesłaniu wzywać do nawrócenia i modlitwy, a w miejscu, gdzie się ukazała, powstało sanktuarium, przyciągające dziś wielu pielgrzymów. Sam Fragomeni w 1987 r. został tercjarzem franciszkańskim. Dykasteria uznała, że również w tych wydarzeniach nie ma nic, co sprzeciwiałoby się katolickiej wierze. Jeszcze w lipcu urząd kard. Fernández de opublikował też nieznaną dotąd notatkę z 1974 r., która dotyczy rzekomych objawień w Amsterdamie. Chodzi o wydarzenia z lat 1945–1956, kiedy Maryja miała ukazywać się Idzie Peerdeman. Kardynałowie kurialni, proszeni o ocenę tego fenomenu przez papieża Pawła VI, wyrazili się jednogłośnie negatywnie; werdykt był znany, ale konkretna jego treść – nie, co teraz się zmieniło. Treść zjawień amsterdamskich była głęboko konsternująca; zjawa miała np. sugerować, że „kiedyś” była Maryją, a potem przeszła jakąś przemianę.

Wreszcie pod koniec sierpnia Dykasteria dała zielone światło objawieniom maryjnym z Chandavila w Hiszpanii, do których miało dojść latem 1945 r. Dwóm dziewczynom, zapewniając je o swojej opiece, miała ukazać się Matka Boża Bolesna. W decyzji podkreślono, że obie prowadziły później bardzo pobożne i pokorne życie. We wszystkich werdyktach, oprócz treści samego fenomenu, dla Dykasterii bardzo ważne jest to, jak zachowują się widzący w latach po otrzymaniu objawienia.

DECYZJA W SPRAWIE MEDJUGORJA

W czwartek 19 września Dykasteria podjęła decyzję w sprawie domniemanych objawień z Medjugorja. Rzecz

była długo oczekiwana przez opinię publiczną, bo cała sprawa trwa od ponad 40 lat. Początkiem wydarzeń z terenu diecezji Mostar w Bośni i Hercegowinie (zamieszkanej w większości przez Chorwatów) był rok 1981. Sześciorgu wizjonerów miała ukazać się „Gospa”, postać o czarnych włosach i niebieskich oczach, w koronie z gwiazd, uznana przez nich za Matkę Bożą. Od tego czasu „Gospa” ma ukazywać się w Medjugorju regularnie; transmisje z wydarzeń można oglądać nawet w sieci. Widać na nich np. jedną z wizjonek, która pada na kolana i błądzi wzrokiem po niebie, a następnie przekazuje zgromadzonym rzekome słowa Maryi. W ostatnich latach słowa te ograniczają się do dość ogólnych napomnień, ale w przeszłości bywało też inaczej; zdarzały się błędy i sprzeczności. Istnieją też poważne wątpliwości co do sposobu życia niektórych wizjonerów oraz osób, które były zaangażowane w promowanie objawień na początku lat 80.

Biskupi miejsca wypowiadali się na temat zjawień zawsze negatywnie, ale nie przeszkodziło to ich wielkiemu rozpowszechnieniu: domniemane objawienia stały się słynne nie tylko w regionie byłej Jugosławii, lecz także we Włoszech, w Austrii, Polsce i wielu innych krajach świata. Dziś do Medjugorja pielgrzymują miliony ludzi, zwykle w dobrej wierze i z zamiarem autentycznego uczczenia Matki Bożej. Watykan badał ten fenomen, powołując nawet specjalną komisję pod kierunkiem kard. Camilla Ruiniego. Nie zdecydowano się jednak nigdy na ogłoszenie żadnych konkluzyjnych ocen – aż do teraz.

Decyzja, która zapadła, jest bardzo specyficzna. W specjalnej „nocie” opublikowanej przez Watykan wskazano wyraźnie, że nie ma mowy o uznaniu prawdziwości domniemanych objawień – kwestia pozostaje nierozstrzygnięta. Stolica Apostolska jednoznacznie odcięła się też od „widzących”. Zaznaczono, że ci, którzy jeżdżą do Medjugorja, nie powinni szukać z nimi kontaktu. W sumie uznano jednak, że pomimo różnych kontrowersji większość orędzi ma pozytywną treść, która kieruje ludzi ku Bogu; a jako że w Medjugorju dokonuje się wiele nawróceń i rodzą się powołania, można tam pielgrzymować oraz

rozpowszechniać orędzia. „Nihil obstat” – tak brzmi zatem ostateczny werdykt. Może budzić to zdziwienie: o ile nikt nie przypuszczał, że da się w jakikolwiek sposób zatrzymać fenomen pielgrzymkowy, o tyle wydawało się, że możliwe i konieczne będzie zdystansowanie się od rzekomych orędzi. Tego jednak zabrakło.

WIĘCEJ PRZYPADKÓW DO ZAOPINIOWANIA

Wciąż konieczne jest jednoznaczne rozstrzygnięcie w sprawie domniemanych objawień w Garabandal, do których miało dochodzić w Hiszpanii w latach 1961–1965. Maryja rzekomo ukazała się tam czterem dziewczynom. Sprawa była przedmiotem intensywnego badania przez biskupów miejsca. Wydali negatywny osąd. Stolica Apostolska zajmowała się tą problematyką i przyznawała rację krytyce formułowanej przez biskupów. W 1967 r. negatywnie o Garabandal wypowiedział się sam prefekt Świętego Oficjum, kard. Alfredo Ottaviani. Istnieją też analizy polskiego jezuita ks. Józefa Warszawskiego, podobnie jak biskupi miejsca bardzo krytycznie wobec rzekomych objawień. W obliczu braku jednoznacznego negatywnego oficjalnego stanowiska Watykanu krytyka ta jest jednak przez zwolenników Garabandal odrzucana i rzecz nadal podlega propagowaniu na świecie, w tym w Polsce. Mniej znane w naszym kraju, ale popularne choćby w Ameryce Łacińskiej, są też rzekome objawienia z Itapiranga w Brazylii, rozpoczęte w 1994 r., kiedy 22-letniemu Edsonowi Glauberowi miała ukazać się Maryja. Rzecz była raz pozytywnie, a innym razem negatywnie opiniowana przez biskupów miejsca, co tylko potęguje chaos i pilnie domaga się watykańskiej interwencji.

Niestety, jakkolwiek większość ostatnich decyzji Dykasterii Nauki Wiary była rozsądna, w sprawie Medjugorja postanowiono zająć bardzo wątpliwe stanowisko, tak jakby bano się mocniejszej interwencji. Nie pozwala to patrzeć z całkowitym spokojem na przyszłe dokumenty Watykanu w sprawie innych kontrowersyjnych domniemanych objawień.

Metropolita poznański abp Antoni Baraniak (po prawej), 1966 r. FOT. NAC



Ksiądz, biskup, a następnie arcybiskup Antoni Baraniak przez wiele lat znajdował się w cieniu innych wybitnych hierarchów takich jak prymasi Polski August Hlond i Stefan Wyszyński czy metropolita krakowski kard. Karol Wojtyła. Dzisiaj wiemy na jego temat znacznie więcej dzięki badaniom historycznym oraz ich społecznej popularyzacji. Jego dorobek został już właściwie doceniony, a postać abp. Baraniaka stała się o wiele bardziej popularna (szczególnie w Wielkopolsce).

Jakie były najważniejsze osiągnięcia długoletniego metropolity poznańskiego, szczególnie w zakresie jego działalności na rzecz Episkopatu Polski?

SEKRETARZ PRYMASÓW POLSKI

Antoni Baraniak urodził się w 1904 r. w wielkopolskim Sebastianowie, pochodził z wielodzietnej i religijnej rodziny.

Heroiczny kapłan



Rafał Łatka

Arcybiskup Antoni Baraniak był kluczową postacią Episkopatu Polski w okresie PRL

Święcenia kapłańskie uzyskał w 1930 r. z rąk abp. Adama Stefana Sapiehy. Młody kapłan podjął studia w Rzymie, które uwieńczył w 1933 r. dwoma doktoratami.

Szybko jego wyjątkowe zdolności intelektualne dostrzegł kard. Hlond, który uczynił go swoim osobistym sekretarzem. Obowiązki te objął 1 września 1933 r. Sprawdził się znakomicie jako dyskretny, a jednocześnie niezwykle sprawny współpracownik prymasa Polski. Było to szczególnie widoczne w okresie drugiej wojny światowej, gdy losy ks. Baraniaka były ściśle związane z aktywnością kard. Hlonda. W tym czasie m.in. gromadził informacje dotyczące sytuacji w okupowanym kraju, pochodzące zarówno z prasy, jak i od rodaków, którzy zdążyli uciec z Polski. Na tej podstawie kard. Hlond przygotował kilka memoriałów.

Przepisywał też listy prymasa i zajmował się całokształtem zagadnień związanych z utrzymywaniem kontaktów ze światem zewnętrznym. Od momentu zatrzymania prymasa w czerwcu 1943 r. w Hautecombe na kilka miesięcy losy kard. Hlonda i ks. Baraniaka się rozeszły.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej ks. Baraniak opuścił Francję i udał się do Rzymu, gdzie przebywał już prymas. Od razu podjął działania mające na celu uporządkowanie prac kancelarii obciążonej mnogością pytań o możliwość spotkania z prymasem Polski. Po krótkim pobycie w Rzymie kard. Hlond postanowił jak najszybciej dotrzeć do Polski. W lipcu 1945 r. wraz z księżmi Barania-kiem i Bolesławem Filipiakiem wyruszyli samochodem przez Monachium, Pragę i Wrocław, aby 20 lipca dotrzeć do Poznania.

Ksiądz Baraniak od powrotu do Polski kierował Sekretariatem Prymasa Polski, a od 1947 r. był także dodatkowo kapłanem kard. Hlonda (po wyjeździe do Rzymu ks. Filipiaka). Sekretarz prymasa był obecny podczas najważniejszych przedsięwzięć tamtych lat: zwołania pierwszej po wojnie Konferencji Episkopatu Polski, organizowania struktur Kościoła na Ziemiach Odzyskanych na mocy uprawnień Stolicy Apostolskiej czy pierwszych konfliktów z komunistami. Z woli prymasa Hlonda, który zmarł 22 października 1948 r., ks. Baraniak otrzymał zadanie

przekazania papieżowi sugestii, aby jego następcą został bp Stefan Wyszyński, do-tychczasowy ordynariusz lubelski – i tak też się wkrótce stało. Można to traktować jako pierwsze z kluczowych osiągnięć przyszłego metropolity poznańskiego.

Po objęciu godności prymasowskiej przez abp. Wyszyńskiego ks. Baraniak pozostał na swym stanowisku i samodzielnie kierował kancelarią jako dyrektor sekretariatu. Załatwiał wiele spraw wymagających szczególnej dyskrecji. Pośredniczył m.in. między urzędnikami ambasady włoskiej a prymasem Polski i sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu Polski bp. Zygmuntem Chormańskim w przekazaniu poufnego pisma do Stolicy Apostolskiej tuż przed zawarciem porozumienia między państwem a Kościołem w kwietniu 1950 r. Istotną formą docenienia zasług ks. Baraniaka dla Kościoła było ogłoszenie 30 kwietnia 1950 r. przez papieża Piusa XII jego nominacji na sufragana archidiecezji gnieźnieńskiej. Święceń biskupich udzielił mu 8 lipca 1951 r. osobiście prymas Stefan Wyszyński.

Po otrzymaniu nominacji biskupiej Antoni Baraniak pozostał dyrektorem Sekretariatu Prymasa Polski i jednym z najbliższych współpracowników abp. Wyszyńskiego. W przekonaniu Urzędu do spraw Wyznań bp Baraniak należał w tym czasie do współtwórców i realizatorów polityki Episkopatu wobec władz państwowych. W ocenie donosicieli Urzędu Bezpieczeństwa bp Baraniak był „idealnym konspiratorem”, który potrafił dochować tajemnicy. Zdaniem funkcjonariuszy bezpieki bp Baraniak miał „ustawić” prymasa w walce przeciwko Polsce „ludowej” oraz – jako osoba ciesząca się jego pełnym zaufaniem i mająca szerokie kontakty w Watykanie – prowadzić tajną korespondencję ze Stolicą Apostolską.

WIĘZIEŃ POLITYCZNY

Szczytem antykościelnej ofensywy władz komunistycznych było zatrzymanie w nocy z 25 na 26 września 1953 r. kard. Wyszyńskiego, a następnie jego internowanie. Kolejnego dnia aresztowany został bp Baraniak. Sekretarz prymasa tak wspominał ten moment: „Wczesnym rankiem [...] zaprowadzili mnie do mojego pokoju na pierwszym piętrze. Najpierw pogrzebali w różnych rze-

czach i papierach, potem odczytał jeden z ubowców postanowienie Prokuratury Wojskowej, że jestem aresztowany, ale papierka mi nie dali. Kazali się ubrać. Na pytanie, jak mam się ubrać, jeden z nich odrzekł: »Raczej ciepło«.

Był to początek tortur, które komuniści przygotowali dla bp. Baraniaka. Przewidzieli oni dla niego rolę dostarczyciela informacji mogących skompromitować zarówno poprzedniego, jak i obecnego prymasa Polski, by oskarżyć ich w procesie pokazowym. W dłuższej perspektywie miało to doprowadzić do rozbitcia Kościoła i przejęcia nad nim pełnej kontroli przy pomocy środowiska tzw. księży patriotów – czyli duchownych współpracujących jawnie z komunistami.

**Więziony przez prawie rok
bp Antoni Baraniak
był przesłuchiwany
łącznie 145 razy**

Z materiałów archiwalnych wyłania się obraz ogromnego heroizmu bp. Baraniaka. W okresie uwięzienia, od 26 września 1953 do 14 września 1955 r., był on przesłuchiwany łącznie 145 razy. Wielogodzinne przesłuchania połączone z torturami miały na celu doprowadzenie do załamania się tego kapłana i wymuszenia zeznań zgodnych z oczekiwaniami komunistów. O tym, jak strasznie musiał być bp Baraniak wyniszczony fizycznie trwającym śledztwem, najlepiej świadczy decyzja o umieszczeniu go 12 sierpnia 1954 r. w szpitalu więziennym, w którym przebywał do 6 maja 1955 r. Decyzja ta nie była oczywiście podyktowana troską o zdrowie biskupa, lecz obawą, że umrze w trakcie śledztwa, co mogłoby skompromitować władze PRL w społeczeństwie, tym bardziej że trwała już odwilż polityczna.

W areszcie śledczym Antoni Baraniak przebywał do 28 grudnia 1955 r., następnie został przeniesiony do domu salezjanów w Marszałkach, gdzie przebywał do 1 kwietnia 1956 r. W końcu marca 1956 r. Episkopatowi udało się uzyskać od władz państwowych zgodę na leczenie schorowanego kapłana w Krynicy

■ w domu siostr elżbietanek. Biskup Baraniak do swoich obowiązków powrócił 1 listopada 1956 r., gdy ponownie objął stanowisko kierownika Sekretariatu Prymasa Polski. Pierwszy raz po wyjściu na wolność wystąpił publicznie 14 listopada 1956 r.

Przetrawienie okresu uwięzienia i nieprzekazanie przez bp. Baraniaka żadnych kompromitujących informacji na temat kard. Wyszyńskiego było jego wielkim osiągnięciem. Pokazało to ogromną siłę ducha tego kapłana, który nie uległ torturom komunistycznych oprawców. Taką niezłomnością charakteru cechował się do końca swojego życia.

METROPOLITA POZNAŃSKI I WYBITNA POSTAĆ EPISKOPATU POLSKI

22 października 1956 r. zmarł metropolita poznański abp Walenty Dymek. Jego następcą został bp Antoni Baraniak, który 30 maja 1957 r. otrzymał od papieża Piusa XII nominację na arcybiskupa archidiecezji poznańskiej. Rządy w metropolii objął 2 lipca.

Władze zgodziły się na to, licząc, że schorowany biskup krótko będzie pełnił ten ważny urząd. Wcześniej radzono się w tej sprawie lekarzy, którzy nie dawali zbyt dużych nadziei na jego powrót do zdrowia.

Nominacja wynikała z wdzięczności kard. Wyszyńskiego oraz docenienia przez niego zasług poznańskiego hierarcha dla Kościoła w Polsce. Tak ujęto to w protokole z pierwszej Konferencji Plenarnej po objęciu nowej funkcji przez abp. Baraniaka, która odbyła się 25 czerwca 1957 r.: „X. Prymas wita Arcybiskupa Baraniaka jako Arcybiskupa Metropolite Poznańskiego; Arc. Baraniak cierpiał więzienie za Kościół – Sekretariat Stanu określił nominację tę jako najbardziej sprawiedliwą; niech obecnie Arc. Baraniak przyjmie od Konferencji podziękowanie za tak ofiarną i owocną pracę w Sekretariacie Prymasa i życzenia na nową pracę w Metropolii Poznańskiej”.

W ten sposób rozpoczęły się niezwykle owocne 20-letnie rządy abp. Baraniaka w archidiecezji poznańskiej. Komuniści bez wątpienia żalowali, że zgodzili się na tę nominację. Decyzja Stolicy Apostolskiej spowodowała wejście abp. Baraniaka

Metropolita cieszył się zaufaniem prymasa. Konsultował z nim kandydatów na biskupów

do kierowniczego gremium polskiego Kościoła, którym od 1945 r. była Komisja Główna Episkopatu Polski. Po raz pierwszy w jej obradach nowy metropolita poznański uczestniczył 19 listopada 1957 r. Z formalnego punktu widzenia stał się osobą numer trzy w polskim Kościele (w dokumentach Komisji wymieniany był zawsze jako trzeci – za prymasem oraz abp. Eugeniuszem Baziakiem), niemniej ze względu na zły stan zdrowia metropolity krakowskiego i lwowskiego był w istocie najważniejszym po kard. Wyszyńskim biskupem w Polsce. O pozycji metropolity poznańskiego w Episkopacie świadczyło również to, że to właśnie on w imieniu biskupów dziękował prymasowi Wyszyńskiemu za przewodniczenie obradom Konferencji Plenarnych oraz Komisji Głównych Episkopatu. Zmieniła to dopiero kreacja kardynalska abp. Wojtyły, który przejął ten obowiązek od abp. Baraniaka w 1967 r.

Arcybiskup Baraniak udanie łączył swoją działalność jako metropolita poznański z aktywnością na rzecz Episkopatu. Doskonale przygotował archidiecezję, którą zarządzał, na obchody tysiąclecia polskiego chrześcijaństwa. Poznań należał obok Gniezna i Częstochowy do miejsc głównych uroczystości milenijnych. Arcybiskup angażował się w obchody w trakcie całego roku jubileuszowego. Przez cały okres posługi jednym z najważniejszych zadań Kościoła katolickiego była dla abp. Baraniaka sprawa budownictwa sakralnego. Zachęcał księży do odważnej i zdecydowanej postawy w tej sprawie. Sam też podejmował liczne interwencje u przedstawicieli władz. Niestety, komuniści skutecznie blokowali inicjatywy zakładania nowych parafii i sprawy dotyczące budownictwa kościołów, szczególnie w nowych dzielnicach Poznania.

Arcybiskup Baraniak zdecydowanie przeciwstawiał się również wszelkiej współpracy duchowieństwa i katoli-

ków świeckich z komunistami. Mocno potępiał działalność księży patriotów, ostro wypowiadał się na temat działalności Stowarzyszenia PAX. Metropolita poznański przywiązywał wielką wagę do katolickiego wychowania młodzieży. Poskutkowało to m.in. licznymi powołaniami kapłańskimi i zakonnymi w zarządzanej przez niego archidiecezji.

Arcybiskup Baraniak brał udział w obradach Soboru Watykańskiego II (1962–1965). Nie tylko był ich bardzo aktywnym uczestnikiem, lecz także przewodniczył Komisji Soborowej Episkopatu Polski. Organ ten na bieżąco monitorował prace komisji przygotowawczych obradujących w Rzymie oraz koordynował krajowe przygotowania polskich biskupów do soboru.

Niezwykle ważne było soborowe wystąpienie abp. Baraniaka z 5 października 1965 r. dotyczące przygotowywanej konstytucji „O Kościele w świecie współczesnym”. Odnotował je w swoich zapiskach kard. Wyszyński: „Przemawiał abp A. Baraniak; poruszył zagadnienie współpracy katolików z rządami ateistycznymi i totalistycznymi, które też się powołują na to, że omnis potestas a Deo, zaś władzy swej i owoców współpracy używają do ateizacji społeczeństwa”. Słowa abp. Baraniaka wywołały niezadowolone władz komunistycznych, nie tylko zresztą w Polsce.

Metropolita poznański cieszył się nie tylko osobistą sympatią, lecz także wielkim zaufaniem prymasa, który m.in. konsultował z nim kandydatów na biskupów oraz prowadził w jego imieniu znaczną część korespondencji ze Stolicą Apostolską. W imieniu Episkopatu odpowiadał również na część listów przesyłanych przez watykańskich hierarchów. Pomagały mu w tym jego wybitna znajomość sytuacji w Stolicy Apostolskiej oraz szerokie kontakty w Rzymie nawiązane w czasie studiów i wyjazdów do Watykanu. Arcybiskup Baraniak od połowy lat 60. przygotowywał na zlecenie Komisji Głównej Statut Konferencji Episkopatu Polski. Opracowanie statutu polecił polskim biskupom Sekretariat Stanu, przysyłając wzorcowy dokument, który metropolita poznański miał dostosować do polskich warunków. Powierzenie tego zadania właśnie jemu świadczyło o wielkim zaufaniu, którym darzyli go polscy biskupi.



Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński i metropolita poznański abp Antoni Baraniak, 1966 r. FOT. NAC

Arcybiskup Baraniak na początku lat 70. wykazywał się trzeźwym i realistycznym spojrzeniem na politykę władz PRL wobec Kościoła i społeczeństwa. Podobnie jak prymas uważał, że deklarowana przez ekipę Edwarda Gierka „normalizacja” miała pozorny charakter i służyła jedynie do poprawy legitymizacji społecznej rządów nowej ekipy partyjnej. W czasie obrad Rady Głównej w kwietniu 1971 r. odradzał prymasowi kroki mogące obniżyć autorytet Kościoła, takie jak zbyt częste spotkania kard. Wyszyńskiego z komunistycznymi dygnitarzami. I tak też czynił aż do swojej śmierci.

Władzom, mimo wielu działań dezintegracyjnych prowadzonych przez SB w latach 1957–1977, nie udało się

doprowadzić do konfliktu w Episkopacie. Planowano m.in. poróżnić abp. Baraniaka z kard. Wojtyłą na tle „rozbieżności zdań w koncepcjach i w formach pracy duszpasterskiej” oraz nominacji kardynalskiej dla metropolity krakowskiego. Tego typu działania okazały się całkowicie nieskuteczne, gdyż między obydwoma hierarchami panowały pełne zrozumienie i wzajemny szacunek. Z donosu jednego z informatorów aparatu represji znajdujących się w otoczeniu ordynariusza poznańskiego wynikało: „Abp. Baraniak miał wypowiedzieć się, że gdyby w tej chwili miało miejsce konklawe, to najpoważniejszym kandydatem byłby Karol Wojtyła, który aktualnie ma doskonałą passę i jest bardzo wysoko notowany

w kurii rzymskiej. Baraniak podkreślał ogromny takt kard. Wojtyły, który np. nie zabiera głosu pierwszy, a zwykle pod koniec dyskusji, co pozwala mu wypośrodkować swój głos, przez co zyskuje na autorytecie”.

Efektu nie przyniosły także inne działania SB realizowane wobec metropolity poznańskiego do końca jego życia. Wśród nich wspomnieć należy o systematycznie prowadzonych próbach poróżnienia abp. Baraniaka z jego sufraganami: bp. Franciszkiem Jedwabskim, bp. Tadeuszem Etterem i bp. Marianem Przykuckim.

Arcybiskup Baraniak zmarł 13 sierpnia 1977 r. Uroczystości pogrzebowe metropolity poznańskiego odbyły się pięć i sześć dni później na Ostrowie Tumskim w Poznaniu, gromadząc dziesiątki tysięcy wiernych oraz liczne grupy kapłanów z całej Polski, na czele z kard. Wyszyńskim.

Arcybiskup Baraniak niezwykle mocno zasłużył się dla polskiego Kościoła działającego w realiach komunistycznej rzeczywistości. Najlepiej świadczą o tym słowa Jana Pawła II, który jeszcze jako kardynał w 1977 r., w czasie wizyty w szpitalu u metropolity poznańskiego, podkreślił, że „Kościół nigdy księdzu arcybiskupowi nie zapomni, że go bronił w najtrudniejszych czasach”. Już jako Ojciec Święty w czasie swojej drugiej pielgrzymki do ojczyzny w czasie nabożeństwa w Poznaniu 20 czerwca 1983 r. mówił: „Przybywałem tutaj po wielokroć, zwłaszcza w okresie pasterzowania metropolity poznańskiego śp. Antoniego Baraniaka, którego pasterskie męstwo, wielką pokorę i Bogu znane zasługi otaczamy zawsze głęboką czcią”.

Biskup „niezłomny” odegrał na forum Episkopatu Polski ważną rolę. Był nie tylko jednym z najbliższych współpracowników kard. Wyszyńskiego, ciesząc się jego ogromnym zaufaniem, lecz także hierarchą, który realizował najtrudniejsze zadania przydzielane przez Konferencję Plenarną i Radę Główną. Arcybiskup Baraniak dał się poznać jako zdecydowany obrońca praw Kościoła w Polsce, zwolennik twardego podejścia Episkopatu do władz PRL i nieulegania naciskom komunistów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem UKSW, pracownikiem BBH IPN.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Czy to tylko faux pas?

Wzalewie propagandy bardzo szybko zapominamy nawet to, co jest bardzo istotne. Czasem jednak warto do tego wracać. Dlaczego? Bo znajomość przeszłości, również tej niedawnej, pozwala nam lepiej zrozumieć teraźniejszość. Ot, choćby taki fakt jak defilada z okazji sowieckiego dnia zwycięstwa w drugiej wojnie światowej, obchodzona na przekór Europie dzień później, czyli 9 maja.

Na obowiązkową defiladę w 2010 r. przed Putinem wykonujący wówczas obowiązki prezydenta RP Bronisław Komorowski zabrał ze sobą w delegację kombatanta. I to nie było jakieś! Zamiast, też czyniąc ukłon w stronę moskiewskich gospodarzy, przywieźć ze sobą np. prostego żołnierza spod Lenino (wiadomo, że łagiernika), uczynił ukłon jeszcze niższy i symboliczny. Wziął bowiem ze sobą Wojciecha Jaruzelskiego. A to przecież symbol dla obu stron – (post)sowieckiej i polskiej – nie było jaki. Symbol zniewolenia Polski. Co można było uzyskać w zamian? Przecież nic.

Być może obu delegatów strony polskiej rozpierała w Moskwie duma, choć trudno no orzec z czego. Ale to jeszcze nic. Tuż po obrzędach oficjalnych Komorowski w towarzystwie Jaruzelskiego odwiedził moskiewski cmentarz Doński. Tam znajduje się symboliczny (wiadomo dlaczego) nagrobek gen. Leopolda Okulickiego, ostatniego dowódcy AK.

Według oficjalnej wersji sowieckiej zmarł on w więzieniu NKWD na Łubiance w 1946 r. Jak było naprawdę, zapewne już nigdy się nie dowiemy.

Obaj oddali tam „hołd”, ramię w ramię, dowódcy AK. Paradoxem tej sytuacji było to, że gdy gen. Okulicki był w śledztwie i siedział w sowieckiej turmie, to Jaruzelski pacyfikował poakowskie podziemie na terenie kilku województw Polski Ludowej. Okulicki konał, Jaruzelski terroryzował Polskę w ramach „walki o ustanowienie i utrwalenie władzy ludowej”. Takim eufemizmem określano obławy, pacyfikacje i egzekucje podziemia i ludności cywilnej.

Pamiętajmy o tym, że to Sowietci wspólnie z III Rzeszą Niemiecką rozpętali piekło drugiej wojny światowej. Pamiętajmy o Katyniu i innych miejscach kaźni polskich oficerów, policjantów i urzędników państwowych. Pamiętajmy o tzw. deportacjach setek tysięcy polskich obywateli, w tym dzieci, do niewolniczej pracy w głębi Związku Sowieckiego. W związku z tym był i jest wybór – po której stronie się opowiedzieć: napastników i ciemnych czy jednak ofiar. Polskich ofiar. Jaruzelski wybrał i zrobił w Polsce Ludowej niezwykłą karierę mimo złego pochodzenia klasowego. Musiało być coś za coś. Nie on powinien być 9 maja 2010 r. w Moskwie. Nie było bardziej godnych weteranów? ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Autobiografia

Czasami zdarza się, że kultowe piosenki powstają przypadkowo, a sami wykonawcy nie są przekonani do ich wartości. Tak było w przypadku ballady grupy Perfect, która miała stać się hymnem pokolenia.

„Skomponowałem melodię w przerwie na stan wojenny – opowiadał Zbigniew Hołdys. – Nie było wtedy gdzie pić, a mnie się akurat zebrało na picie. W barze Opera w hotelu Victoria zaprzyjaźnione kelnerki oraz k...y uczyniły sobie ze mnie maskotkę i przynosiły mi w filiżankach alkohole. Raz coś mi wpadło do głowy, zacząłem zapisywać na serwetkach nuty, akordy”.

Autor tekstów zespołu, Bogdan Olewicz, nie był do piosenki przekonany. Podobno w wersji akustycznej „nie była fascynującym utworem”, miała bowiem bardzo wolne tempo i bardzo długą „balladową frazę”. Wreszcie zdecydował się na opowieść o człowieku ze swojego pokolenia, dzięki czemu „naszkicował 30 lat subiektywnej historii kraju”.

Tekst faktycznie sprawia wrażenie, jakby miał charakter autobiograficzny, ale w rzeczywistości stanowi połączenie losów kilku osób: Olewicza, Hołdysa, Andrzeja Mogielnickiego i ich wspólnego znajomego z Muranowa, Macieja Zajączkowskiego. Kiedyś należał on do ich grupy towarzyskiej, ale później wyjechał za ocean. Zrobił tam zresztą wielką karierę jako elektronik w koncernie Motorola.

Kiedy zespół rozpoczął próby, „wielkiego entuzjazmu nie było”. Wokalista grupy, Grzegorz Markowski, miał problemy z piosenką, „walczył z nią przez cały dzień”. Hołdys upierał się, by utwór został zarejestrowany w sposób „monotonny, opowiadający”, co przysporzyło dodatkowych problemów. W pewnej chwili rozpatrywał nawet porzucenie projektu.

Po latach trudno sobie wyobrazić, że członkowie Perfectu uznali „Autobiografię” za nudny utwór. Tekst Olewicza oczywiście jest główną atrakcją, jednak linii melodycznej niewiele można zarzucić. Refren jest znakomity, a pauzy w pierwszym zwrocie tylko dodają piosence uroku.

Być może zresztą rację miał Olewicz, twierdząc, że w tej piosence „każdy ze słuchaczy odnajduje część swojego życiorysu i pojawia się w nim taka myśl »przecież to jest o mnie«”. Nawet ci, którzy nigdy nie używali pocztówek dźwiękowych, nie słuchali Radia Luxembourg ani nie znali „Blue Suede Shoes”. I nie wiedzieli, kim był klezmer.

25 września 1982 r. utwór dotarł do pierwszego miejsca Listy Przebojów Programu Trzeciego i królował przez siedem notowań, a w pierwszej dwudziestce pozostał łącznie przez 17 tygodni. W zestawieniach najlepszych polskich piosenek wszech czasów zawsze zajmował miejsce pierwsze lub drugie, rywalizując z „Dziwny jest ten świat” Czesława Niemena. ©©



MINISTER DO SPRAW POLICJI OKRADZONA

Brytyjska minister do spraw policji, straży pożarnej i zapobiegania przestępczości wygłosiła w hrabstwie Warwickshire przemówienie przed stowarzyszeniem policjantów. Diana Johnson mówiła m.in., że rząd chce „przywrócić szacunek dla praworządności na brytyjskich ulicach”. Przyznawała, że brytyjskie miasta są „ogarnięte epidemią zachowań antyspołecznych, kradzieży i kradzieży sklepowych”. W trakcie tej konferencji minister została okradziona. Złodziej zabrał jej torebkę.

FOT. PAUL EDWARDS / NEWS LENSING / FORUM

O EKOLOGII NA FRONCIE

Jak doniósł portal wPolityce.pl, francuski dokumentalista Phil Az na Ukrainie realizował materiał „Wojna dronów”. Gdy prowadził wywiady z ukraińskimi żołnierzami, jeden z wojaków podczas rozmowy rzucił niedopałek papierosa na ziemię. Reżyser przerwał rozmowę i zrobił Ukraińcowi wykład o tym, jak ważne jest dbanie o przyrodę, po czym płynnie przeszedł do opowieści o rosnących na świecie temperaturach, braku wody i działaniach ludzkości w sprawie ograniczenia emisji dwutlenku węgla. Podobno żołnierze nie powiedzieli mu, co o tym myślą.

SZPIEGOWSKIE POKEMONY

W białoruskiej państwowej telewizji dyskutowano o tym, jakim zagrożeniem są szpiegzy. Szef wydziału do spraw pracy ideologicznej Ministerstwa Obrony Białorusi, Alaksandr Iwanou, powiedział, że kiedyś najwięcej pokemonów – do złapania w smartfonowej grze z rzeczywistością rozszerzoną – było na

pasie startowym 50. Bazy Sił Powietrznych. Jego zdaniem gra służyła do zbierania informacji wywiadowczych.

DEMOKRACJA PO SZWACJARSKU

Każdy obywatel Szwajcarii może forsować swój pomysł na zmiany w kraju. Gdy zbiera co najmniej 100 tys. podpisów, jego pomysł poddaje się pod głosowanie w referendum. Okazało się, że agencje pomagające w zbiórce podpisów – za pieniądze – podpisy... fałszują. Wpisywały rzekome poparcie np. zmarłych.

CZESKI POCIĄG

Na moście kolejowym w czeskiej Pradze zderzyły się dwa pociągi. Policja ustaliła, że do zdarzenia doszło, bo jeden z maszynistów dopiero się uczył – pod okiem instruktora – i nie zastosował się do sygnalizacji. Najechał na skład stojącego pociągu. W drugim pociągu maszynista zachowywał się dziwnie i po przebadaniu alkomatem okazało się, że ma 1,9 promila alkoholu w organizmie. ©©

Lukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Drugi zamach na Trumpa

Już drugi raz w ciągu ostatnich kilku tygodni doszło do nieudanego zamachu na byłego prezydenta. Tym razem agenci Secret Service w porę dostrzegli zamachowca z karabinem AK-47 i celownikiem optycznym, kryjącego się na terenie Trump International Golf Club, i unieszkodliwili go, jeszcze zanim na linii strzału pojawił się Donald Trump.

On sam winą za drugą próbę zamachu obarczył Kamalę Harris i Joe Bidena, którzy od miesięcy przedstawiają Trumpa jako zagrożenie dla demokracji, Ameryki oraz świata. Ta eskalacja przemocy powinna

budzić przerażenie i otrzeźwienie. Próby zamachów stały się bowiem w USA „nową normalnością”.

Ataki te mogą mieć też wpływ na przyszłość USA. Sondaże przeprowadzone jeszcze przed drugą próbą zabicia byłego prezydenta, ale już po debacie kandydatów pokazały, że choć Harris wygrała telewizyjny pojedynek z byłym prezydentem, to nie zwiększyło to istotnie jej szans na sukces w listopadowych wyborach. Według różnych badań obecna wiceprezydent prowadziła 48:45 (przy marginesie błędu wynoszącym niemal 2 proc. i 8 proc. wyborców

niezdecydowanych) lub remisowała 45:45 (przy 10 proc. wyborców niezdecydowanych). Dla demokratów to sukces, bo gdy przeciwnikiem Trumpa miał być jeszcze Biden, były prezydent prowadził stosunkiem głosów 48:40 czy 53:47 etc. Teraz wyścig do Białego Domu jest dużo bardziej wyrównany. Trump i Harris robią zaś wszystko, by zdobyć głosy niezdecydowanych i mieszkańców „swing states”. Drugi nieudany zamach może znacząco wpłynąć na końcówkę kampanii i wynik wyborów 5 listopada. Umacnia bowiem wiarę, że opatrność głosowałaby na Trumpa... ©©



Z Ołeksijem Arestowyczem,
bloggerem, byłym doradcą szefa Biura Prezydenta Ukrainy
rozmawia Maciej Pieczyński

Polityka Orbána wobec Kijowa jest skuteczna



MACIEJ PIECZYŃSKI: Kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy, stwierdził pan, że Zelenski, który kłócił się z PiS, zepsuje relacje również z ekipą Tuska. I rzeczywiście: Polska podtrzymuje embargo na ukraińskie zboże, trwają spory o historię, a wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz zapowiedział, że Ukraina nie wejdzie do UE, jeśli nie załatwi sprawy Wołynia...

OŁEKSJ ARESTOWYCZ: Polskę i Ukrainę łączą wspólne interesy w sferze bezpieczeństwa, dzieli zaś konkurencja w wielu sektorach gospodarki. Jednakże to dzięki wam przetrwaliśmy pierwszy okres wojny. Niestety, politycy z obu naszych krajów, zamiast łagodzić spory, tylko dolewają oliwy do ognia, bo to podoba się ich elektoratom. Weźmy kluczowy spór – o tragedię wołyńską...

W Polsce mówi się „rzeź wołyńska” albo „ludobójstwo wołyńskie”.

Ja wolę mówić o tragedii, bo uważam, że to była tragedia dla obu stron. Narracja ukraińskich nacjonalistów w tej sprawie brzmi tak: Polska przymusowo polonizowała Ukraińców, kolonizowała ich ziemię, zmuszała ich do przyjęcia katolicyzmu. Wszystko zaczęło się w czasach Chmielnickiego, aż w końcu, kilka wieków później, UPA musiała wystąpić przeciwko AK w słusznej walce. Narrację strony polskiej można zaś streścić następująco: na niewinnych polskich cywilów napadały dzikie bandy ukraińskich nacjonalistów. Na Ukrainie do wyboru są dwie drogi rozwoju państwa: albo wąski, monoet-

niczny projekt, albo projekt szeroki – społeczeństwo wielokulturowe. Ukraina to nie tylko tradycja banderowska, lecz także bogate wpływy polskie, niemieckie, żydowskie, rosyjskie, tatarskie... Niestety, nasi przywódcy wybrali drogę wąską, nacjonalistyczną. Na fali Majdanów i wojny z Rosją władzę nad ogromnym, różnorodnym kulturowo krajem przejęła garstka fanatyków, którzy w normalnych, pokojowych warunkach nie mieliby w polityce nic do powiedzenia. Przy czym nie rządzą oni bezpośrednio. W kolejnych wyborach nacjonałści zbierają co najwyżej kilka procent. Ale są dobrze zorganizowani, silni i grożą fizyczną rozprawą każdemu, kto się im sprzeciwi.



rodacy z zagranicy. Bogaci przedstawiciele amerykańskiej i kanadyjskiej emigracji kupowali ukraińską humanistykę, płacąc sutymi grantami. Tak się składa, że owi sponsorzy to byli głównie weterani albo potomkowie weteranów OUN czy UPA. W zamian za finansowe wsparcie ukraińscy naukowcy zaszczepiali elitom politycznym i medialnym nad Dnieprem kult Bandery i Szuchewycza, który następnie umocnił się w warunkach dwóch rewolucji i wojen. O tym procesie opowiadał mi kiedyś pewien amerykański szpieg. Jego zdaniem Waszyngton popełnił ogromny błąd, pozwalając na to wszystko. Co najśmieszniejsze, dziś spora część ukraińskich elit uważa, że Bandera i Szuchewycz to nie tylko wielcy patrioci swojego kraju, lecz także bojownicy o zachodnie wartości...

A jeśli Polska spełni groźbę i postawi Ukrainie warunek „załatwienie sprawy Wołynia albo zablokujemy waszą akcesję do UE”, to jaka będzie odpowiedź?

Takie ultimatum doprowadziłoby do wzrostu nastrojów antypolskich na Ukrainie, ale jednocześnie przyniosłoby realny skutek w postaci konkretnych decyzji Kijowa. Potwierdza to przykład Węgier, które twardo i skutecznie bronią praw swojej mniejszości na Zakarpaciu...

Czyli Polska powinna naśladować politykę Orbána wobec Ukrainy?

Ja tego nie powiedziałem, ja tylko wyraziłem swoje zdanie, że naciski ze strony Budapesztu sprawiają, iż z władzami węgierskimi Kijów zaczyna rozmawiać o konkretach i ustępować.

Kijów nadal blokuje ekshumację polskich ofiar rzezi wołyńskiej. Może nie chce na nie pozwolić, bo się boi, że to zaszkodzi wizerunkowo Ukrainie?

Oczywiście. Kolejne doniesienia o odnalezionych ciałach ofiar tragedii wołyńskiej będą szkodzić mainstreamowej narracji o bohaterskich banderowcach jako rycerzach bez skazy. Blokada ekshumacji to potworna zbrodnia przeciwko moralności. Nawet Niemcy mogą ekshumować ciała esesmanów, którzy dokonywali ludobójstwa na Ukrainie. Polakom zaś nie pozwala się pochować swoich bliskich, niewinne ofiary zbrodni.

Gdy podczas Campusu Polska Dmytro Kułeba został zapytany o ekshumację, zaczął opowiadać

o akcji „Wisła”. Dziś już nie jest szefem MSZ, ale to jego myślenie wydaje się dość powszechne nad Dnieprem. I niesprawiedliwe, bo akcja „Wisła” to były przesiedlenia, które Polska dawno potępiła, Wołyn zaś to masowa zbrodnia, za którą Kijów nie zamierza się pokajać.

Porównanie „Wisły” z Wołyniem jest nie na miejscu, choć też nie jestem ekspertem od historii, więc nie będę się nad tym rozwodzić. Wolałbym patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość. Jestem gorącym zwolennikiem rozwoju relacji polsko-ukraińskich. Nie wierzę jednak, że uda się wam przekonać nas, że OUN czy UPA ponoszą pełnię odpowiedzialności za tragedię wołyńską. Można dyskutować o proporcjach, o liczbie ofiar. Ukraińcy mogą przyznać, że zabili więcej Polaków niż Polacy Ukraińców, ale nie zaakceptują takiej wersji, w której Polacy są całkowicie niewinni.

Ziemie objęte akcją „Wisła” Kułeba nazwał „ukraińskimi”, z czego później się wycofał. To przejęzyczenie czy roszczenia terytorialne?

Ja nie zauważyłem, żeby na Ukrainie ktokolwiek poważny mówił o roszczeniach terytorialnych wobec Polski. Zostawmy Kułebę, to były szef dyplomacji...

Ale jego następca, Andrij Sybiha, choć świetnie zna język polski, to raczej nie będzie żadnym „nowym otwarciem” w relacjach Kijów – Warszawa. Niedawno miało nawet dojść do ostrego spięcia między Radosławem Sikorskim a Zełenskim, który ponoć dość obcesowo domagał się zwiększenia polskiej pomocy dla Kijowa. Witold Jurasz z Onetu, który tę scysję ujawnił, zauważył przy okazji, że zdaniem Kijowa Polska jest tak zagrożona przez Rosję, że pomagając Ukrainie, pomaga sobie. Czy ukraińskie elity naprawdę nie rozumieją, że Polska jest w NATO? Naprawdę wierzą, że są przedmurem Zachodu?

Naprawdę w to wierzą. To zabawne, ale tego typu argument jest jedynie kopią analogicznej polskiej narracji sprzed 100 lat. Przecież wy wtedy też mówiliście, że Polska uratowała Europę przez inwazję bolszewickiej Rosji. Co więcej, sięgając dalej wstecz, kiedyś identycznej retoryki używali sami Rosjanie, twierdząc, że Europa uniknęła najazdu mongolskiego dzięki Rusi, która przyjęła na siebie uderzenie tych barbarzyńskich koczowników ze Wschodu. Ukraina odwołuje się do tych właśnie tradycji, mówiąc, że jest tarczą Zachodu. Zełenski żąda od

Dlaczego kolejni prezydenci Ukrainy (czy to prounijny liberał Poroszenko, czy to ugodowy rosyjskojęzyczny Żyd Zełenski) po dojściu do władzy przejmują język nacjonalistów, skoro ci ostatni są niewielką liczebnie garstką?

Po pierwsze, boją się kolejnego Majdanu. Po drugie, w sytuacji zagrożenia ze strony Rosji wyczuwają koniunkturę na twardą, nacjonalistyczną retorykę. Ale problem jest o wiele głębszy. W latach 90. kryzys gospodarczy na postsowieckiej Ukrainie dotknął również uczelnie środowiska humanistyczne, które były odpowiedzialne za tworzenie nowej ukraińskiej tożsamości. Do klepiących biedę ukraińskich socjologów, politologów czy historyków pomocną dłoń wyciągnęli

sojuszników nierealnych dostaw broni po to, by potem powiedzieć, że przegrał wojnę, bo tej broni nie dostał, więc winni są ci, którzy jej nie dostarczyli. Ukraińskie społeczeństwo nie zaakceptuje utraty terytorium. A że taka utrata jest nieunikniona, to władze w Kijowie zrzuca winę na Polskę i Zachód, które „zmusiły” Zełenskiego do ustępstw.

Może Polacy powinni częściej i głośniej podkreślać w rozmowie z Ukrainą, że nie wierzą w tę opowieść o tym, iż to Kijów jest gwarantem naszej niepodległości?

W każdej propagandzie jest ziarno prawdy. Podobnie jest z tą narracją Kijowa. Tak – Ukraina broni Polski przed Rosją, ale do pewnego stopnia. Jednak również wy nas bronicie, bo bez waszej pomocy już dawno byśmy przegrali wojnę. Zamiast się kłócić o to, kto kogo broni, powinniśmy szukać wspólnych interesów i je realizować. Polska powinna pamiętać, że powstrzymywanie Rosji jest dla niej korzystne. Ukraina zaś musi zrozumieć, że są też sprawy, w których Polska nie chce i nie może spełniać woli Ukrainy.

Od dłuższego czasu przebywa pan za granicą. Kiedy powróć do kraju?

Wróć, kiedy będę miał zagwarantowaną ochronę prawną. Przeciwno mnie wytoczono trzy postępowania. Jedno za fałszywe zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, bo oskarżyłem deputowaną do Rady Najwyższej o podżeganie do nienawiści na tle etnicznym [za to, że zwróciła uwagę piosenkarzowi śpiewającemu po rosyjsku – przyp. red.]. Drugie (za rzekomo seksistowskie wypowiedzi) umorzono przez sąd. Trzecie – za wywiad z Ksenią Sobczak, w którym jakoby prezentuję narrację Kremla. Grupa deputowanych publicznie zaapelowała o areszt dla mnie, jak tylko przekroczę granicę Ukrainy. Bez śledztwa, bez wyroku sądu! Nie mogę wrócić do kraju, ryzykując represje w warunkach wojennej dyktatury. Jestem politycznym emigrantem.

Dalej planuje pan wystartować w wyborach prezydenckich?

To zależy, jakie będę miał sondaże. Nie ma sensu kandydować, nie mając szans na zwycięstwo. Łatwiej będzie założyć partię i wejść do parlamentu.

Według badań Centrum Razumkova z początku roku ponad 79 proc. Ukraińców panu nie ufa.

Na Ukrainie to akurat dowód na to, że jest się politykiem wagi ciężkiej. Podobne wyniki braku zaufania mają Poroszenko i Tymoszenko. Ważne, że wzbudzam emocje. Poza tym nie jestem systemowym politykiem. Chcę być odpowiedzią na zapotrzebowanie tej części społeczeństwa, która nie akceptuje mainstreamu. Na Ukrainie jest dużo prawicy i dużo lewicy. A ja chcę reprezentować centrum.

Podczas wojny radykałowie są ważniejsi niż centryści. Tymczasem Ukraińcy niezbyt przepadają za Arestowiczem, który jest gotów oddać ziemię za pokój i broni języka rosyjskiego...

Jak się wojna skończy, to tacy jak ja będą potrzebni. Poza tym nie jestem tylko politykiem. Prowadzę on-line szkołę psychologiczno-filozoficzną, w której uczy się 60 tys. osób z ponad 60 krajów świata. Niezależnie od tego, ilu Ukraińców jest gotowych na mnie zagłosować, na pewno bardzo wielu chętnie mnie słucha i czyta. Wywieram wpływ ideologiczny na społeczeństwo – temu pan nie może zaprzeczyć.

Na razie Ukraińcy chcą co prawda rozmów pokojowych, ale nie są gotowi na ustępstwa terytorialne. Kiedy zrozumieją, że nie da się pogodzić jednego z drugim?

Kiedy nastąpi katastrofa na froncie. Jej oznaki widać, odkąd na czele armii stoi gen. Syrski. Na razie jest katastrofa organizacyjna i kadrowa. Słabo idzie mobilizacja. Brakuje ludzi. Oficerowie skarżą się na generałów, podają ich do sądu. Syrski świetnie zorganizował operacje charkowską i kurską, ale jednocześnie, jak przystało na dowódcę starej szkoły, trzyma armię nazbyt silną ręką, zarządzając poprzez strach, co raczej obniża morale kadry.

Jest pan krytyczny wobec delegalizacji Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej (patriarchatu moskiewskiego). Ale czy w czasie wojny, biorąc pod uwagę agenturalne związki części duchowieństwa z agresorem, naprawdę Kijów powinien się przejmować wolnością słowa czy wyznania? Może jednak lepiej czyścić Ukrainę z wszelkich wpływów wroga?

A o co w takim razie walczymy, jeśli niepotrzebna jest wolność słowa i wyznania?

O niepodległą Ukrainę.

Ale Ukraina autorytarna nie jest mi potrzebna.

Stwierdził pan, że operacja kurska „demonstruje wzrost podmiotowości” Ukrainy. W jaki sposób?

To wielki sukces psychologiczny. Operacja kurska podnosi morale armii, a także pozwala przezwyciężyć mit Ukrainy jako ofiary, którą wróg bezkarnie prześladowa. Zajęty obszar, jeśli się w ogóle uda utrzymać, jest zbyt niewielki, żeby podczas rozmów pokojowych wymienić go np. na Donbas. Ale już sam fakt okupacji międzynarodowo uznanego terytorium Federacji Rosyjskiej stwarza pewne możliwości dla Ukrainy. Moskwa bowiem dąży do tego, by w razie zamrożenia konfliktu linia rozgraniczenia, czyli potencjalna powojenna granica, pokrywała się z aktualną linią frontu. Jeśli będzie to na terenie Ukrainy, to Putin odtrąbi wielki sukces. Ale jeśli linia ta będzie przebiegać na terytorium Rosji, to Kreml będzie musiał de facto oddać Ukrainie kawałek swojej ziemi, a to już wizerunkowa tragedia dla Putina, który w takiej sytuacji będzie zmuszony zaproponować jakieś inne tymczasowe rozwiązanie konfliktu.

Jedni komentatorzy wskazują, że operacja kurska to kolejny dowód słabości Rosji, która najpierw grozi zemstą za przekroczenie „czerwonej linii”, a potem tej groźby nie spełnia. Inni zaś przeciwnie – ostrzegają, że zajęcie rosyjskiego terytorium niesie ze sobą ryzyko poważnej eskalacji. Kto ma rację?

Putin sprawnie rządzi swoim imperium. Jestem przekonany, że popiera go większość Rosjan. Operacja kurska nie zaszkodzi mu, bo przecież Rosjanie wierzą, że walczą nie z Ukrainą, tylko z całą potęgą NATO. A skoro tak, to nie mają pretensji, gdy ich armia przegrywa. A co do ryzyka eskalacji, to Rosja użyła wobec Ukrainy już wszystkich rodzajów broni oprócz jądrowej, której i tak nie użyje, bo na to nie pozwolą ani Chiny, ani Indie, a z ich głosem akurat Putin się liczy. Poza tym Amerykanie chcą się dogadać z Rosją, by zyskać albo jej neutralność, albo najlepiej sojusz w konflikcie przeciwko Chinom. Zachód boi się sojuszu rosyjsko-chińskiego. Putin o tym wie, dlatego się targuje. Rozpad Rosji ani nawet jej klęska w wojnie z Ukrainą nie są

w interesie Waszyngtonu. Putin ma więc możliwość manewru. Prowadzi politykę wielowektorową, tak jak Ukraina za czasów Kuczmy.

Ale przecież chciał podbić Ukrainę.

Nie. Myślę, że jego celem była zmiana władzy w Kijowie, obalenie Zełenskigo i zastąpienie go jakimś prorosyjskim politykiem. Chciał zrobić z Ukrainy taką drugą Białoruś. Rosja nie ma sił ani możliwości, by zająć i okupować tak wielki kraj.

Ponad rok temu przedstawił pan swój program polityczny. W jednym z punktów postulował pan, by Kijów złożył Zachodowi następującą propozycję: Ukraina wejdzie do NATO, jednocześnie rezygnując ze zbrojnej walki o wyzwolenie ziem okupowanych, zamiast tego deklarując jedynie walkę polityczną. Nadal aktualne?

To byłby idealny wariant, ale obawiam się, że NATO nas nie przyjmie.

Niedawno stwierdził pan, że z uwagi na demografię Ukraina nie jest w stanie zagospodarować terytorium w granicach z 1991 r. Czy to wystarczający powód, by rzec się swojej ziemi? Przecież

Kijów może zachęcać Ukraińców, by wracali do kraju...

Na razie robi wszystko, żeby ich do tego zniechęcić. Chociażby ograniczając usługi konsularne dla emigrantów. W całej Europie do placówek dyplomatycznych wpłynęły setki tysięcy wniosków o zrzeczenie się obywatelstwa ukraińskiego. To skutek 33 lat naszej polityki. Wąski, nacjonalistyczny projekt „Ukraina” jest nieatrakcyjny. Choć na sztandarach widnieją Bandera i Szuchewycz, to zwykli Ukraińcy głosują przeciwko nim nogami, uciekając na zachód.

Jaki prognozuje pan wynik rozmów pokojowych, jeśli one w końcu nastąpią?

Putin uważa, że Zełenski jest prezydentem nielegalnie, bo rządzi mimo końca kadencji i braku nowych wyborów. Pod tym pretekstem odmówi podpisania pokoju z Ukrainą. Dojdzie do częściowej deeskalacji – np. obie strony dalej będą czasem walczyć na froncie, ale zrezygnują z ostrzału tyłów wroga. Potem przyjdzie czas na zawieszenie broni. Stan

wojenny na Ukrainie zostanie zniesiony, wobec czego odbędą się wolne wybory. Zełenski, który utrzymuje wysokie poparcie głównie dlatego, że w czasie wojny zmiana lidera jest ryzykowna, może stracić władzę. Zaczną się poważniejsze rozmowy z jego następcą. Ale Ukraina i tak nie uzna straty terytorium. Wybuchną protesty. Nacjonaliści oskarżą władzę o zdradę i jeszcze dumniej będą nosić sztandar z Bandera. Lewica będzie głosić potrzebę pomocy zwykłym ludziom poszkodowanym przez wojnę. A ja, jako centrysta, będę apelował o realizm w polityce. Czyli o odbudowę przemysłu, odejście od nacjonalizmu w stronę wielokulturowości, naprawę relacji z sąsiadami i przygotowanie kraju do nowej wojny. Bo Rosja może wyciągnąć wnioski z błędów i za kilka lat znów nas zaatakować. Trzeba ściągać na Ukrainę zachodnie inwestycje, żeby później Zachód miał większą motywację, by nas bronić. Potrzebny jest też nowy system bezpieczeństwa w Europie. I silna armia, żeby następnym razem Rosja bała się nas najeżdżać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



WIARA ODWAGA MĘCZEŃSTWO

40. ROCZNICA ŚMIERCI KS. JERZEGO POPIELUSZKI

ZAMÓW:
12/254 56 02, 12/254 56 19, 783 250 300
lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl
Przy zamówieniu powyżej 200 zł
koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

272 str.
144 ilustracje
16,5 x 23,5 cm
twarda oprawa

Dla czytelników „Do Rzeczy” 25% taniej!
Wejdź na stronę bialykrak.pl
i wykorzystaj kod rabatowy **DORZECZY25**

PREMIERA!



MĘCZENNIK ZA WIARĘ
I SOLIDARNOŚĆ

Biografia ilustrowana
bł. ks. Jerzego Popiełuszki

**Jolanta
Sosnowska**

69 zł

Jak wyważyć drzwi męskiego świata



Teresa Stylińska

Bojownicy współczesnej rewolucji kulturalnej uważają, że ani skrawek sfery społecznej – żadne miejsce, żadna instytucja – nie może być zamknięty przed kobietami. Dlatego – nie brzmi to elegancko, bo i realia nie są eleganckie – starają się wepchnąć kobiety wszędzie tam, gdzie było ich niewiele albo nie było ich wcale

Unijne traktaty każą państwom zgłaszać kandydata na komisarza Unii Europejskiej. Nie ma w nich mowy o przedstawianiu dwóch kandydatur – tymi słowy premier Grecji Kyriakos Mitsotakis skwitował oczekiwania Ursuli von der Leyen, by każde z państw członkowskich zgłaszało dwie osoby – obowiązkowo kobietę i mężczyznę. Z tej dwójki ona, jako przewodnicząca Komisji Europejskiej, dokona wyboru.

Panią Ursulę spotkał jednak srogi zawód. Spośród 25 państw (bez Niemiec i Estonii, bo ich miejsca w Komisji obsadziła już Rada Europejska – to nominacje dla niej samej i dla Kai Kallas jako szefowej dyplomacji) tylko jedno przykładnie posłuchało wezwania. To Bułgaria. Wśród pozostałych aż 17 państw zgłosiło mężczyznę, siedem kobietę. Do czasu.

Czy to ważne, jakiej płci jest komisarz, jeśli tylko jest kompetentny? Albo przeciwnie – niekompetentny, bo do braku kwalifikacji obie płcie mają równą prawa. Tak mogą sądzić tylko naiwni. Obecność kobiet – najlepiej na zasadzie parytetu, czyli podziału po połowie – to przejaw postępu i w tym nurcie mieści się szefowa Komisji, zapowiadająca, że jej zespół będzie – jak się obecnie mówi – „zrównoważony pod względem płci”. Jakże fatalnie, jak z innego świata i innych czasów prezentowałaby się na zdjęciu Komisja panów w garniturach...

Problem jednak jest o wiele głębszy. Bojownicy współczesnej rewolucji

kulturalnej uważają, że ani skrawek sfery społecznej – żadne miejsce, żadna instytucja – nie może być zamknięty przed kobietami. Dlatego – nie brzmi to elegancko, bo i realia nie są eleganckie – starają się wepchnąć kobiety wszędzie tam, gdzie było ich niewiele albo nie było ich wcale. Stąd idea kwotowego uregulowania ich obecności w zarządach firm – współczesna odmiana akcji afirmacyjnej. Stąd pomysł parytetu w rządzie i na-przemysłowych miejscach kobiet i mężczyzn na listach wyborczych. Stąd zakusy na miejsca dla kobiet zamknięte – brytyjskie męskie kluby czy sanktuaria, takie jak grecka góra Athos.

PRIORYTET DLA PANI KOMISARZ

Mitsotakis jest wprawdzie premierem kraju niewielkiego i nie najbardziej znaczącego, tak się jednak składa, że może sobie na wiele pozwolić. To on bowiem – wraz, dodajmy, z Donaldem Tuskiem, który jednak ma powody do wdzięczności wobec Ursuli von der Leyen i duży dług do spłacenia – najmocniej zaangażował się po jej stronie, przekonując przywódców państw Unii, że powinna pozostać na drugą kadencję. Nic nie ryzykuje, bo w tej sytuacji szefowa Komisji nie ukarze Grecji, przydzielając greckiemu komisarzowi jakiś mało znaczący obszar tematyczny, czyli unijny resort.

Zasługi greckiego premiera sprawiły, że pani von der Leyen oszczędziła mu nacisków, które zastosowała wobec



FOT. BLOOMBERG/CETTY IMAGES

kilku nieposłusznych krajów. Ich władze znalazły się pod presją, namawiane, by przedstawionego kandydata na komisarza wycofały, a na jego miejsce zgłosiły kobietę. Tych zabiegów – dość, powiedzmy sobie, bezwstydnym – nie udało się ukryć. Na celowniku szefowej Komisji znalazły się, według portalu Politico, kraje niewielkie i niemające większych wpływów – Malta, Słowenia i Rumunia. Malta odmówiła, choć jako najmniejsze państwo Unii wydawała się najłatwiejszym celem. Jak dziennikowi „Times of Malta” zdradził jeden z maltańskich dyplomatów, rząd stanął wobec dylematu: jeżeli ustąpi, to okaże słabość, za to Malta otrzyma nagrodę w postaci pożądanego resortu; jeśli odmówi, to w Komisji straci, okaże jednak siłę i determinację.

Rumunia natomiast ugięła się od razu i nie zwlekając, wysunęła eurodeputowaną Roxanę Minzatu na miejsce Victora Negrescu, który, przynajmniej na użytek publiczny, wyraził absolutne zrozumienie dla genderowych oczekiwań pani von der Leyen. Słowenia odmawiała – tylko do czasu. Zmiana jej kandydata nastąpiła jednak z zachowaniem pozorów, bo Tomaz Vesel sam się wycofał, choć nikt nie wątpi, że nie uczynił tego z własnej woli.

Ta taktyka jasno też pokazuje, jak wyglądają unijny układ sił i sposoby działania. Szefowa Komisji nie odważyła

się naciskać na Francję czy Włochy, unijne potęgi, ani też żadne z krajów starej Unii. Co nie dziwi, bo presja na małe kraje ma w Unii długą tradycję. Gdy w 2005 r. Francuzi i Holendrzy odrzucili w referendum projekt konstytucji europejskiej, Unia to zaakceptowała. Gdy jednak Irlandczycy odrzucali kolejne unijne traktaty, Bruksela zawsze przekonywała irlandzki rząd, że głosowanie trzeba powtórzyć, bo po intensywnym przekonywaniu narodu wynik może być inny. I zawsze był.

Ursula von der Leyen dysponuje środkiem nacisku potężniejszym niż perswazje słowne. To przydział zadań w Komisji. Tylko od niej zależy, co który kraj otrzyma. Czy najbardziej pożądane, bo związane z dysponowaniem pieniędzmi resorty ekonomiczne – budżet, przemysł, rolnictwo? Czy ważne sprawy związane z przyjmowaniem nowych państw? Może stanowisko wiceprzewodniczącego Komisji? Państwo niepokorne będzie musiało zadowolić się jakąś mało istotną sferą – ochroną zdrowia albo kwestiami równości. Państwo, które zgłasza kobiety, u pani Ursuli może liczyć na więcej.

W KLUBIE DŻENTELMENÓW

Dwie aktorki – Judi Dench i Sian Phillips – jako pierwsze kobiety dostały zaszczytu. Na początku lipca obie zostały przyjęte do ekskluzywnego londyńskiego Garrick Clubu. Było to zwieńczenie

i Jacob Rees-Mogg, aktorzy Benedict Cumberbatch, Brian Cox i Hugh Laurie, przedstawiciele wielkiego biznesu i szefowie instytucji kulturalnych, sędziowie, naukowcy – i król Karol. W sumie ok. 1,5 tys. osób. Kobiety należeć do niego nie mogły, natomiast zaproszone miały prawo przyjść u boku mężczyzny.

Każdy czytelnik obeznany z literaturą angielską wie, czym jest klub. To specyficznie angielska, uświęcona tradycją instytucja. Członkowie klubu, opłacający wysoką z reguły roczną składkę, spotykają się przy dobrym jedzeniu, piu i cygarach w stylowych wnętrzach, by spędzić czas we własnym gronie, rozmawiając i nawiązując kontakty. Przynależność do dobrego klubu przydaje splendoru.

Ortodoksyjnie pojmowana równość i inkluzywność w połączeniu z pogardą dla tradycji wszystko to postawiły pod znakiem zapytania. W nowoczesnym świecie wszystko musi być otwarte i dostępne, inaczej mamy do czynienia z karygodnym przejawem dyskryminacji. Tę tendencję doskonale ilustruje akcja przeciwko zasadom Garrick Clubu – a de facto przeciwko kolejnym męskim klubom, a jest ich w Londynie wiele – podjęta przez lewicowy dziennik „The Guardian”.

Uruchomiła ją publikacja omawiająca skład klubu i ostro piętnująca jego „elitarny męski charakter” i to, że stanowi on „ostoję brytyjskiego establishmentu”.

W nowoczesnym świecie wszystko musi być otwarte i dostępne, inaczej mamy do czynienia z karygodnym przejawem dyskryminacji

trwającej od początku tego roku zenującej kampanii, która miała zmusić – wręcz zmusić, nie skłonić – członków klubu do wyrażenia zgody na otwarcie jego podwoju przed kobietami. Przez blisko 200 lat – Garrick istnieje od 1831 r. – jego członkami mogli być wyłącznie mężczyźni.

Mężczyźni oczywiście z wyższych sfer, przez pochodzenie albo własne zasługi. Do klubu należeli m.in. Charles Dickens, A.A. Milne (który zostawił Garrickowi w spadku część praw do „Kubusia Puchatka”), Lawrence Olivier i Richard Burton. Dzisiaj jest w nim wiele znanych nazwisk, m.in. politycy Michael Gove

Zaraz potem czterech należących do klubu sędziów, którym zarzucono, że klubowe nieformalne kontakty mogą zaburzać ich niezależność, zrezygnowało z członkostwa. Od tej chwili inicjatywę przejęła grupka członków klubu, na czele z aktorem Stephenem Fryem i Stingiem, którzy zagrozili odejściem, jeśli zasady nie zostaną zmienione. Doprowadziło to do głosowania, w którym otwarcie klubu poparło 60 proc. członków – wcale nie tak wiele, gdy wziąć pod uwagę, jak zaciekle był atak „Guardiana”.

Tradycji bronił konserwatywny dziennik „Daily Telegraph”, podkreślając, że

skoro – istna herezja! – kobiety i mężczyźni się od siebie różnią, to mają chyba prawo spędzać czas osobno, we własnym gronie i w formie, która najbardziej odpowiada każdej z płci. Kto to pojmie w świecie, w którym wszyscy muszą mieć prawo do wszystkiego?

BASTION NA ŚWIĘTYCH GÓRACH

Bojowo nastawione feministki i gorliwi ideolodzy rewolucji kulturalnej od lat dokładają starań, by doprowadzić do otwarcia paru miejsc, które, głównie z przyczyn religijnych, są przed kobietami zamknięte. Nie jest ich wiele – ale kuszą. To przede wszystkim święta góra Athos w Grecji oraz święta góra Omine i święta wyspa Okinoshima w Japonii. Na Omine kobiety mają prawo wspiąć się do połowy wysokości. Do pozostałych dwóch miejsc nie mają wstępu w ogóle.

To zakazy prawnie. Półwysp Athos jest zamknięty dla kobiet od ponad tysiąca lat. I nie tylko dla kobiet – również dla samic zwierząt. Wyjątek uczyniono dla samic dzikich zwierząt, bo w ich wypadku zakaz trudno wyegzekwować, i dla kotek. Wszystko to razem wzięte jest dla greckich feministek solą w oku i prawdziwym wyzwaniem. Nie mogąc nic wskórać, dwukrotnie, w latach 2003 i 2004, zwróciły się do Parlamentu Europejskiego o interwencję, by zmusić mnichów z Athos do otwarcia świętej góry. Nic z tego nie wyszło i starania zarzucono. Na pomoc rządu greckiego nie mają co liczyć. Góra Athos to państwo w państwie, rządzi się sama, rząd w Atenach nie ma na to wpływu.

Zabiegi czasami bywają skuteczne. Świątynia Sabarimala w indyjskim stanie Kerała przez wieki była zamknięta dla kobiet w wieku rozrodczym, pojmowanym szeroko, bo od 10 do 50 lat, które, z uwagi na menstruację, uważano za nieczyste. W 2018 r. Sąd Najwyższy Indii zakaz uchylił. Mimo to problem nie zniknął, bo duchowni w świątyni nadal mają wątpliwości, a i część kobiet Sabarimalę, w dawnym duchu, omija.

Jedno trzeba przyznać: świat postępu jak dotąd nie wysunął jeszcze żądania, by kobiety mogły wstępować do męskich klasztorów. To bardzo pocieszające – choć jest tak pewnie dlatego, że owemu światu z Bogiem jest zupełnie nie po drodze.

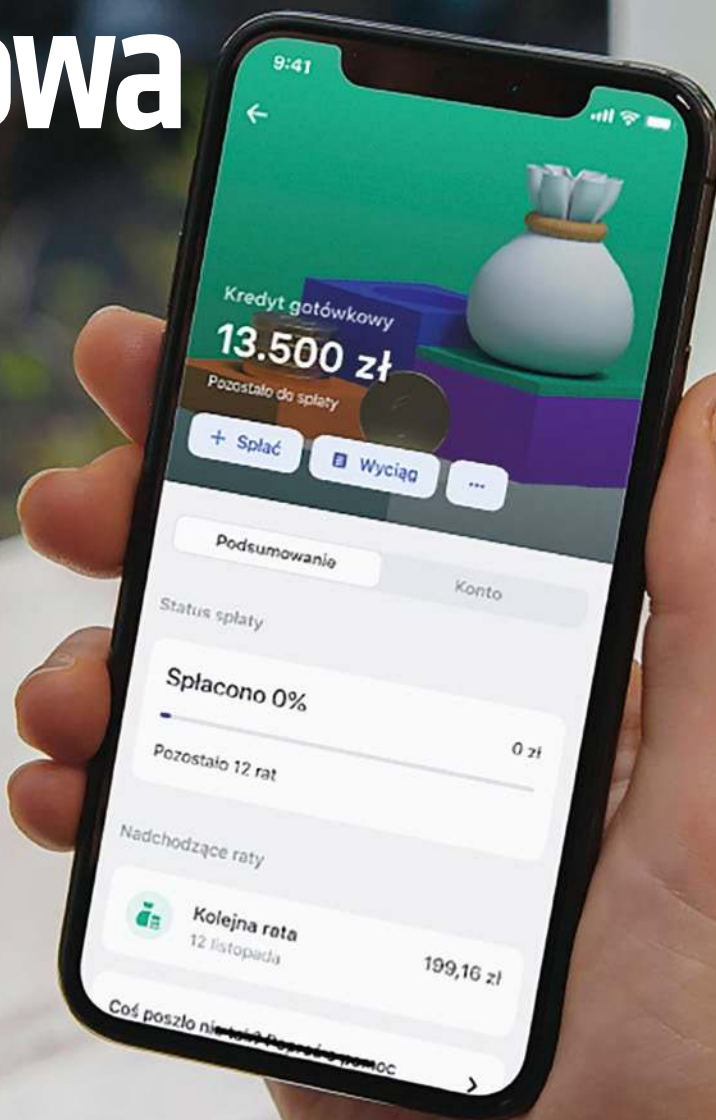
© Wszelkie prawa zastrzeżone

Fintechowa rewolucja



Jacek Przybylski

W sektorze finansowym trwa w najlepsze fintechowa rewolucja. Wśród rebeliantów, którzy rzucili rękawicę gigantom, są m.in. brytyjski fintech Revolut – którego wartość przekracza kapitalizację wielu największych banków w Europie – oraz Polski Standard Płatności, czyli popularny BLIK, stanowiący coraz większą konkurencję dla takich firm jak Visa czy Mastercard



W Polsce Revolut, czyli istniejący od zaledwie dziewięciu lat brytyjski fintech, już w czwartym kwartale ubiegłego roku przekroczył próg 3 mln klientów (osiągając wzrost w stosunku do roku 2022 na poziomie 47 proc.). Polscy klienci Revoluta mieli zaś pod koniec ubiegłego roku na swoich kontach zdeponowaną równowartość 783 mln funtów, a w ciągu całego zeszłego roku wykonali ponad 172 mln fizycznych płatności kartami i transakcji w bankomatach.

W ciągu pierwszych sześciu miesięcy obecnego roku konto w tym cyfrowym banku otworzyło niemal pół miliona Polaków (to wzrost o 15 proc. w porównaniu z pierwszą połową 2023 r.). Menedżerowie popularnego fintechu liczą więc na to, że pod koniec roku z Revoluta korzystać będą już 4 mln polskich klientów. – Na świecie dołącza do nas jeden milion klientów miesięcznie, a w Polsce jeden milion rocznie. Liczymy, że jeśli w tym roku uda nam się pochwalić 4 mln klientów w Polsce, to w przyszłym

roku celem będzie już 5 mln. Wówczas, jeśli chodzi o liczbę klientów, zrównamy się z największymi tradycyjnymi bankami w Polsce – przewiduje w rozmowie z „Do Rzeczy” rzecznik prasowy Revoluta w Polsce, Stefan Bogucki, jeden z 1,1 tys. pracowników zatrudnionych przez brytyjski fintech na terenie naszego kraju.

Jeśli ambicje fintechu się spełnią, to będzie to oznaczało, że pod względem liczby obsługiwanych rachunków osobistych już pod koniec roku Revolut wypierze



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rynkowa wartość Revoluta to 45 mld dol., Société Générale – 20 mld dol., a polskiego PKO BP – ok. 18 mld dol.

dzając Bank Pekao obsługujący 5,46 mln rachunków oraz Santander Bank Polska (z 4,68 mln ROR).

Revolut zostawia w tyle nie tylko tradycyjne banki w Polsce. Wartość europejskiego fintechu w sierpniu 2024 r. rynek wycenił na 45 mld dol. (to dość wiarygodny szacunek, ponieważ wynika on ze sprzedaży akcji w trybie tzw. secondary share sale). Dla porównania: wartość rynkowa brytyjskiego Barclays wynosi 43,42 mld dol., Société Générale – 19,96 mld dol., a polskiego PKO BP – ok. 18 mld dol. – Chcielibyśmy stać się dla Polaków bankiem pierwszego wyboru i w ostatnim czasie obserwujemy, że przybywa nam klientów, którzy np. na konto w Revolucie przelewają swoją pensję – powiedział nam Stefan Bogucki.

Tempo ekspansji tego fintechu nad Wisłą robi szczególne wrażenie. Na całym świecie cyfrowy bank ma już bowiem 45 mln klientów, a do końca obecnego roku planuje przekroczyć symboliczny próg 50 mln.

BANK PIERWSZEGO WYBORU?

Brytyjski fintech w 2015 r. zaczynał jako typowy start-up, który umożliwiał głównie wymianę 150 walut (po konkurencyjnych kursach) i bezprzewidywalne płatności za granicą. Jego założycielem oraz szefem jest 40-letni rosyjski przedsiębiorca Nikołaj Storoński, jednocześnie prezes Revoluta, syn Rosjanki oraz Ukrainka będącego jednym z menedżerów Gazpromu, który po ukończeniu fizyki i ekonomii moskiewskich uczelni przeniósł się do Wielkiej Brytanii, gdzie finansów w praktyce uczył się m.in. w takich firmach jak Credit Suisse Group czy Lehman Brothers, i który po rosyjskiej pełnoskalowej inwazji na Ukrainę zrzekł się rosyjskiego obywatelstwa i występuje jako urodzony w Rosji brytyjski biznesmen Nikolay Storonsky.

Obecnie Revolutowi dalej od start-upu, a coraz bliżej do największych banków.

Fintech zyskał licencje bankowe na Litwie, w Wielkiej Brytanii i Meksyku (w Polsce działa na podstawie licencji litewskiej). Aby móc utrzymać szybkie tempo rozwoju nad Wisłą, Revolut Bank konsekwentnie rozszerza więc ofertę i próbuje usuwać kolejne bariery dla potencjalnych klientów. Fintech umożliwia handel złotem, akcjami, a także kryptowalutami. Od połowy roku fintech umożliwia obrót obligacjami korporacyjnymi i rządowymi, w tym obligacjami polskimi, które cieszą się wyjątkową popularnością nie tylko wśród klientów nad Wisłą. Z najnowszego zestawienia Revoluta wynika, że obligacje Polski znajdują się w zestawieniu TOP 3 papierów skarbowych emitowanych przez państwa, których największa liczba znajduje się w portfelach użytkowników tej finansowej aplikacji (tuż po obligacjach emitowanych przez rządy Stanów Zjednoczonych i Francji).

W ubiegłym tygodniu wprowadził zaś na polski rynek kredyt konsolidacyjny, który ma ułatwić klientom spłatę kredytów udzielonych przez polskie banki. To uzupełnienie oferty kredytowej. Od grudnia 2020 r. ten cyfrowy bank oferuje nad Wisłą m.in. karty kredytowe (obecnie z maksymalnym limitem wynoszącym 50 tys. zł) oraz kredyty konsumenckie (obecnie z limitem do 150 tys. zł). Revolut Bank chwali się, że wartość wolumenu udzielonych przez kredytów złotych w Polsce w sierpniu 2024 r. była aż o 75 proc. większa niż w roku ubiegłym (rok do roku).

– To kolejny krok, aby stać się bankiem pierwszego wyboru dla klientów w Polsce. Najniższe oprocentowanie stałe kredytu konsolidacyjnego wynosi 7,99 proc. w skali roku i jest konkurencyjne – przekonuje Stefan Bogucki, podkreślając, że sam proces oceny zdolności kredytowej za pomocą aplikacji przebiega bardzo szybko, a decyzja kredytowa podejmowana jest niemalże od ręki. W aplikacji trzeba odpowiedzieć m.in. na pytania o miesięczny dochód netto, średnie wydatki, liczbę osób pozostających na utrzymaniu etc.

– Jedni klienci zaczynają nas traktować jak swój główny bank, inni się wahają. Jeśli chodzi o bariery, to dla różnych osób mogą być to różne rzeczy, np. brak możliwości wpłacenia gotówki na rachunek, brak klasycznej infolinii czy brak

takie tradycyjne banki jak Millennium czy ING, a w przyszłym mógłby powalczyć o pokonanie mBanku i Santanderu, czyli zacząć marzyć o bankowym podium. Według danych opublikowanych w zeszłym tygodniu przez serwis Bankier.pl ING Bank Śląski prowadził pod koniec czerwca 2024 3,795 mln rachunków ROR, mBank – 4,355 mln. Jak podał Bankier.pl, najwięcej kont złotych (bez rachunków oszczędnościowych) prowadził na koniec pierwszego półrocza obecnego roku PKO Bank Polski (ponad 9,36 mln), wyprze-



FOT. ADDESTEK

■ płatności BLIK. Pracujemy nad tym. Jednocześnie są w Revolucie produkty i usługi, których nie oferuje w Polsce żaden bank, więc dla osób, które się wahają, możemy być wygodnym drugim kontem – przyznaje Stefan Bogucki.

Brytyjski fintech w ostatnich dniach włączył się w pomoc powodzianom. Revolut współpracuje bowiem od 2020 r. też z Polskim Czerwonym Krzyżem (od tego czasu 75 tys. klientów wpłaciło w sumie ponad 10,5 mln zł), przekazując 100 proc. datków w aplikacji do organizacji dobroczynnych.

CEL: DWA MILIARDY TRANSAKCYJ

Tempo rozwoju Revoluta robi wrażenie, ale również Polacy mogą pochwalić się ogromnym sukcesem na niezwykle konkurencyjnym nowoczesnym rynku finansowym. Polski rynek płatniczy w ostatnich latach zrewolucjonizował system płatności mobilnych BLIK, który dzięki swej prostocie i bezpieczeństwu szybko stał się znaczącym konkurentem dla globalnych wydawców kart płatniczych.

Polski BLIK – umożliwiający dokonywanie płatności za pomocą jednorazowych sześciocyfrowych kodów – został uruchomiony w lutym 2015 r. I od tego czasu bije kolejne rekordy liczby transakcji wykonywanych przez użytkowników.

Tylko w pierwszej połowie tego roku wykonali oni ponad 1,1 mld (sic!) operacji, czyli o 40 proc. więcej niż rok wcześniej. Łączna wartość tych transakcji wyniosła 157,8 mld zł. Od stycznia do końca czerwca klienci dokonywali przez BLIK średnio 71 transakcji na sekundę, czyli 6,1 mln transakcji dziennie.

Najwięcej, bo niemal 49 proc. płatności, klienci dokonali on-line. Polski wynalazek jest bowiem bezkonkurencyjny właśnie wśród użytkowników sklepów internetowych. Szacunkowy udział systemu BLIK w polskim rynku płatności e-commerce wynosi już ok. 70 proc., ale przedstawiciele PSP deklarują, że chcą, aby wzrósł on jeszcze bardziej. Jednocześnie BLIK chwali się bardzo szybkim wzrostem transakcji w segmencie POS (liczba takich płatności od stycznia do końca czerwca wzrosła aż o 58 proc. rok do roku). Tylko w drugim kwartale 2024 r. użytkownicy wydali przez BLIK 83,9 mld zł, dokonując ponad 601 mln transakcji. Bardzo szybko na popularności zyskuje też usługa natychmiastowych i bezpłatnych przelewów na telefon. Na koniec ubiegłego roku aktywnie z tej usługi korzystało 15,8 mln osób. PSP chwali się, że aktywnych użytkowników systemu BLIK, czyli takich, którzy korzystają z niego co najmniej raz w miesiącu, jest już nad Wisłą aż 17 mln.

„Nasza działalność na polskim rynku stale się umacnia, a jednocześnie otwieramy się na nowe perspektywy poza jego granicami. W Rumunii czekamy na zgodę regulatora, a na Słowacji BLIK jest już dostępny dla użytkowników Tatra banka VIAMO, którzy realizują pierwsze transakcje. Nasza oferta na tym rynku jest skalowalna w całej strefie euro, co daje przestrzeń do ekspansji na kolejne europejskie rynki – poinformowało „Do Rzeczy” biuro prasowe Polskiego Standardu Płatności (PSP). – Jednocześnie stale doskonalimy nasze dotychczasowe usługi, takie jak płatności zbliżeniowe czy BLIK Płacę Później, który jest już dostępny w bankach Millennium i VeloBank. Cały czas pracujemy też nad nowymi wdrożeniami, w tym płatnościami powtarzalnymi. Równolegle realizujemy wiele nowych projektów i partnerstw, a o wszystkich nowościach i zmianach będziemy informować w odpowiednim czasie. Podejmowane przez nas działania przekładają się na konkretne wyniki – szacujemy, że w 2024 r. liczba transakcji przekroczy 2 mld. We wszystkich kanałach obserwujemy systematyczny wzrost – liczba transakcji rośnie w dwucyfrowym tempie rok do roku. Nasze plany strategiczne przewidują podwojenie wyników na polskim rynku w ciągu najbliższych trzech lat” – prognozuje biuro prasowe PSP.

WIELKIE POŁĄCZENIE?

Na początku września „Rzeczpospolita” poinformowała nieoficjalnie, że Polski Standard Płatności (PSP) oraz Revolut nawiązały współpracę, której efektem ma być udostępnienie możliwości korzystania z płatności BLIK polskim klientom finansowej aplikacji. W tej sprawie przedstawiciele obu firm stanowczo odmawiają komentarza.

Jak jednak nieoficjalnie dowiaduje się „Do Rzeczy”, choć prace wciąż są na wczesnym etapie, to w „optymistycznym scenariuszu” do rozszerzenia funkcjonalności Revoluta o kody BLIK może dojść już pod koniec 2024 r. W dłuższym okresie współpraca z międzynarodowym fintechem mogłaby zaś wyjść poza granice Polski i ułatwić spełnienie marzeń PSP o szybkiej europejskiej ekspansji polskiego systemu BLIK.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Prof. Środa wali w Zielony Ład

Zycie przynosi czasami tak niespodziewane niespodzianki, że aż dech w piersiach zapiera. I oto właśnie z całkiem niespodziewanej strony wsparcie uzyskali przeciwnicy aberracyjnego unijnego Zielonego Ładu, czyli przytomni zwolennicy jak najszybszego odejścia od niego, porzucenia go za każdą cenę, bo każda z nich będzie i tak niższa od ceny brnięcia weń dalej.

Owego zaskakującego poparcia udzielił bowiem temu obozowi zdrowego rozsądku nie kto inny jak... prof. Magdalena Środa! Tak, oczy państwa nie mylą – prof. Środa; „ta” prof. Środa. Czyli jednocześnie prof. Środa dokonała również zaskakującego uderzenia w jednego z najważniejszych bożków mainstreamu – w Zielony Ład właśnie.

„Bernard de Mandeville pisał o chciwości, że to »jadłowita obrzydliwość«. Rzeczywiście” – zaczęła w „Gazecie Wyborczej” niewinnie. Po czym uderzyła: „Teraz mamy do czynienia z innym zjawiskiem: farmami fotowoltaicznymi. Bogaci posiadacze ziemscy [...] zorientowali się, że najlepszym użytkiem z ziemi, która nie jest urodzajna i wymaga pracy, będzie wykorzystanie jej pod farmy fotowoltaiczne. Ponieważ w Polsce nikt nie traktuje poważnie planów zagospodarowania terenu [...], farmy rosną jak grzyby po deszczu [...]. Zaśmiecają krajobraz, niszczą ziemię, zabierają dzikim zwierzętom ich przestrzeń. Są

ohydne, ale przynoszą zysk; przykrywką dla chciwości jest tu »troska o redukcję emisji gazów cieplarnianych«. Więc i ten pieniądz nie śmierdzi. W mazurskich urzędach – gdzie region ten przybiera piękne garbate kształty – leżą setki podań o pozwolenie na wybudowanie kolejnych farm, na stu, kilkuset hektarach każda. To fantastyczna, dotowana inwestycja! To nic, że ziemia stanie się jałowa, że pod szpetotą takich farm zginie całe piękno krajobrazu. Ta »jadłowita obrzydliwość« – chciwość – wygra ze wszystkim: ze zwierzętami, z ziemią, z krajobrazem, z pięknem, z ludźmi. Żyć się nie chce z tyłoma chciwcami, po co więc prąd?” – zakończyła górnolotnie.

Jak widać, prof. Środa przypuściła atak na Zielony Ład, bo jej fobia na punkcie naturalnego dla ludzkiej natury i zdrowego dla życia społecznego kierowania się przez ludzi chęcią osiągnięcia zysku – niech będzie: kierowania się przez nich zdrową chciwością – tym razem wzięła górę nad jej wiarą w bożka Zielonego Ładu, czyli potrzebą ciągłej walki z rzekomą katastrofą klimatyczną, rzekomo powodowaną przez ludzi, rzekomą „nadprodukcją” przez nich CO₂. A przecież żeby uratować dla prof. Środy Mazury (i resztę Polski) przed Zielonym Ładem (czyli przed jej doszczętnym zapanelowaniem i zawiatrakowaniem), wystarczyło, by prof. Środa nie obudziła wcześniej tego upiora! ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wioska potiomkinowska

Najbardziej z mojego punktu widzenia szokujące jak dotąd nagranie związane z powodzią to takie, na którym wcale nie ma wody. To apel mieszkanki Stronia Śląskiego, która mówiąc do kamery, łamiącym się głosem prosi pana premiera, żeby pomógł jej miastu. Według jej relacji w zniszczonym w ponad 70 proc. Stroniu Śląskim, które wygląda jak po trzęsieniu ziemi lub ataku wojsk pancernych, panuje chaos. Poszczególne służby nie wiedzą, co mają robić. Lokalne władze nie znają się na zarządzaniu kryzysowym. Nie ma prądu,

ła się o tej sprawie, nie dali znaku życia. Wiadomo, że nie zostali wymienieni w statystyce zaginionych osób. Sytuacja mogła się już zmienić do chwili, gdy czytają państwo ten tekst, ale pojawia się przerażająca myśl – że być może na koniec dostaniemy listę nie kilku czy kilkunastu, ale kilkudziesięciu czy nawet kilkuset osób, którym powódź odebrała życie.

Pytań i wątpliwości jest coraz więcej. Zdziwia, że 27 lat po podobnej powodzi w tym samym regionie woda mogła znów wyrządzić tak gigantyczne szkody – mimo doświadczenia, które powinno było zapisać się w instytucjach państwa. Zdziwia bezradność państwa także po zejściu wody.

Z tyłu głowy zaś pojawia się pytanie: Skoro tak to wygląda w przypadku powodzi, a więc zjawiska cyklicznego, które w dodatku zostało przewidziane, a ostrzeżenia o wielkiej wodzie pojawiły się co najmniej kilka dni wcześniej, to jak wyglądałoby to w przypadku ataku na Polskę – niezapowiedzianego, nagłego i niszczycielskiego?

Jest to oczywiście pytanie retoryczne. Po raz kolejny okazuje się bowiem, że jeśli trochę poskrobać warstwę nowomowy, którą z lubością posługują się politycy, oraz jeśli zedrzyć warstewkę łatwego PR – to pokazuje się potiomkinowska wioska sklejana z rozmiętego papieru mâché. ©©

Być może na koniec dostaniemy listę nie kilku ale kilkuset osób, którym powódź odebrała życie

wody, Internetu. I nawet jeśli wkrótce potem zarządzanie kryzysowe w mieście przejął fachowiec z Państwowej Straży Pożarnej, to stało się to dopiero dobrych kilkadziesiąt godzin po ustąpieniu wody.

Znajoma, która odwiedziła zalane tereny, relacjonowała mi w ubiegłym tygodniu, że w jednej z miejscowości powódź zmiotła wóz strażacki z całą jego załogą. Ci strażacy do momentu, gdy dowiedzia-

ŁUKASZ ZBORALSKI: Pana sześćioletnia kadencja na stanowisku rzecznika małych i średnich przedsiębiorców niedawno się zakończyła. Czyba nie był pan dość dobrze słuchany przez rząd z własnego obozu politycznego...

ADAM ABRAMOWICZ: A to było różnie.

Przekazywałem własne uwagi, a także przedsiębiorców, których skupiłem wokół siebie w Radzie Przedsiębiorców liczącej ponad 400 organizacji. Część uwag została wysłuchana.

Rząd Zjednoczonej Prawicy podczas pierwszej kadencji bardzo dużo zrobił dla sektora MŚP. Zwiększył kwotę jednorazowej amortyzacji, wprowadził mały ZUS+. Było naprawdę wiele działań na korzyść małych firm. I wiele z nich było inspirowanych naszymi pracami.

W drugiej kadencji niestety rząd wpadł na pomysł Polskiego Ładu, no i tu rozpoczęły się schody. Nastąpiło zderzenie małych firm z brutalną rzeczywistością. Choć i tu trochę nam się udawało ich bronić. Na przykład mocno broniliśmy podatku liniowego wtedy, bo ci, którzy rozliczali się podatkiem liniowym, mieli płacić także dziewięcioprocentową składkę zdrowotną do ZUS i rząd dał się przekonać, by ona była niższa – 4,9 proc. Generalnie Nowy Ład wprowadził jednak ogromne koszty dla małych firm. Ten chory system nadal istnieje i trzeba go natychmiast zmienić.

Czyli jest pan za tym, żeby składka zdrowotna, która tak naprawdę stała się dodatkowym podatkiem dla takich firm, wróciła do stałej kwoty?

Ja jestem za tym, żeby wrócić do zasad obliczania składki zdrowotnej sprzed Polskiego Ładu. Obiecano nam to jako środowisku przedsiębiorców. Przypomnę, że gdy PiS wprowadzał Polski Ład, wszystkie partie opozycyjne krzyczały, że jest to nieuczciwe.

Poprzednia opozycja teraz rządzi. Myśli pan, że odkręci tę sprawę?

Ja myślę, że należy dotrzymywać obietnic, zwłaszcza jeżeli te obietnice spowodowały, że przedsiębiorcy poszli i zagłosowali na te partie, które są w tej chwili w rządzie. Przedsiębiorcy liczyli przecież na tę zmianę. Bo dla wielu firm to jest być albo nie być. Wystarczy zobaczyć, co się dzieje po Polskim Ładzie, jeśli chodzi o zamykanie i zawieszanie firm. Jak wiele zaczęło tracić zdolność do działania na rynku.



Z Adamem Abramowiczem, byłym rzecznikiem małych i średnich przedsiębiorców rozmawia Łukasz Zboralski

Przedsiębiorcy nie odpuszczają rządowi obietnicy

Trzeba wrócić do uczciwych zasad składki zdrowotnej. Powinno pójść gładko, bo w Sejmie większość to zwolennicy zmiany. Obecny rząd przed wyborami do Parlamentu Europejskiego ustami ministra finansów i ministra zdrowia zapowiedział taką zmianę wśród zmian na 100 dni.

Z kolei po przegranych wyborach prezes PiS na jednym ze spotkań sam przyznał, że to był błąd, i obiecał, że jeśli jego partia wróci do rządzenia, to powróci do zasad sprzed Polskiego Ładu.

Czyli jest ogromna większość w Sejmie w tej sprawie!

Na razie minister Kosiniak-Kamysz zapowiedział, że od nowego roku przedsiębiorcy będą zwolnieni od płacenia składki zdrowotnej ze sprzedaży środków trwałych.

Gdyby na tym miało się skończyć, to byłaby kpina z przedsiębiorców. I my na coś takiego nie pójdziemy!

Liberałowie dzisiaj patrzą na polskie małe firmy inaczej. Mówią, że jeśli mamy tytuł przedsiębiorców, którzy tak naprawdę zarabiają średnią polską pensję albo niżej, to może jednak powinny te małe przedsiębiorstwa się pozamykać, żeby ludzie nie kombinowali, tylko poszli do dużych zakładów do pracy, mieli etat, opiekę socjalną, urlop. Bo tego wszystkiego nie mają jako jednoosobowa działalność gospodarcza...

Oni tego wszystkiego nie mają, ale za to konsumenci mają fantastyczną i szybką obsługę. Dostają produkty i usługi najwyższej możliwej jakości za najniższą możliwą cenę, bo tak się dzieje wtedy, kiedy jest wolny rynek.

Ci, którzy tak mówią, jak pan redaktor wspominał, podają przykład Niemiec. Dowodzą, że tam jest dużo, dużo mniej przedsiębiorców działających jako jednoosobowa działalność gospodarcza. „No i proszę, jaka bogata gospodarka niemiecka” – argumentują. Tylko że my tę strukturę, którą mamy dzisiaj, mieliśmy od transformacji ustrojowej i trzeba sobie zadać pytanie: Dlaczego Polska tak szybko się rozwijała i dlaczego tak szybko doganialiśmy Zachód? Między innymi właśnie dlatego, że ta struktura tak wyglądała. Mieliśmy mnóstwo tych małych, zwinnych firm. One też potem, np. w momencie kryzysu w 2008 r., zamortyzowały to uderzenie, które przyszło do nas z zagranicy.

Konsumenci dzisiaj w każdej chwili mogą sobie zamówić hydraulika. Bo mały przedsiębiorca pracuje od rana do wieczora, nie kończy pracy o godz. 15 czy 17 i zawsze można jeszcze z jego usługi skorzystać.

Mamy naprawdę dobrą strukturę gospodarczą, która pozwala na szybkie nadrabianie naszych zaległości, które

wynikają z komunizmu, czyli mamy duże firmy, mamy korporacje, mamy średnie firmy, małe i mikrofirmy. To wszystko do-
skonałe funkcjonuje, tworząc symbiozę.

Czyli nie trzeba wysyłać ludzi z jednoosobowej działalności na etaty?

Ci, którzy mówią, że trzeba to zlikwidować czy ograniczyć, chcą spowolnienia rozwoju gospodarczego Polski i chcą dla konsumentów gorszej możliwości obsłu-
gi i wyższych cen.

Państwo od dawna kładzie przedsiębiorcom kłody pod nogi. Pan interweniował przecież np. w sprawie urzędnika, który chciał utylizować szczupaki sprowadzone z Kanady tylko dlatego, że nie zgadzały się opis ich długości na palecie w odróżnieniu od dokumentu papierowego, który był w specyfikacji.

Ta sprawa z województwa pomorskiego oczywiście była dość symptomatycznym przykładem tego rodzaju działania urzęd-
niczego, które jest wymierzone w przedsię-
biorców. Problem w tym, że my mamy na-
wet całe urzędy, które z samego założenia
działają przeciwko zdrowemu rozsądkowi
i przeciwko konstytucji biznesu.

Jakie?

Takim urzędem jest ZUS.

A mnie się wydaje, że problemem nie jest jeden czy drugi urząd, tylko mentalność Polaków, którzy tam za biurkiem zasiadają i każdemu z rodaków raczej utrudnią życie, niż pomogą. Przecież tu coś nie gra z naszą mentalnością...

Pewnie tak, pewnie trochę tej men-
talności naszej zaborowej, a później
komunistycznej zostało, że trzeba było
przed urzędnikiem stać z czapką w ręku
i się kłaniać.

Nie wzięło się jednak znikąd przysło-
wie, że ryba psuje się od głowy. Bardzo
duże znaczenie ma, jakie nastawienie
mają do działania prawa ci, którzy
decydują o działalności danego urzędu.
W Ministerstwie Finansów od jakiegoś
czasu, już po Konstytucji Biznesu, to
nastawienie zaczęło się zmieniać. Może
i urzędy skarbowe nie są jeszcze idealne,
jednak odczucie przedsiębiorców jest
takie, że w nich się poprawiło.

A dlaczego w ZUS się nie poprawiło?

To jest właśnie pytanie dla mnie
zagadkowe. Był ten sam rząd, rządził PiS

i w tym obszarze też był mianowany mi-
nister z tego obozu. No i wiadomo, że jest
wpływ władzy na ZUS. A tam nastawienie
było jednak wciąż takie, że trzeba ściągać
pieniądze za wszelką cenę. Nawet za cenę
dramatów matek wychowujących dzieci.

**Chodzi panu o sprawy z macierzyńskimi urlopa-
mi kobiet na działalności gospodarczej, które były
podważane?**

Były podważane świadczenia dla tych,
które były na urloпах, były odmawiane
zasiłki tylko z tego powodu, że urzęd-
nicy ZUS sami sobie przyznali prawo
do tworzenia zapisów, których nie ma
w ustawie.

**Ja jednak pamiętam, jak bardzo operatywni
potrafią być rodacy, i pamiętam, jak kobiety otwie-
rały działalność tylko po to, żeby potem mieć
zasiłek macierzyński, czyli tak naprawdę od nas
wszystkich pobierały trochę niesłusznie pieniądze.**

Tak. I wtedy słusznie zareagowali i ZUS,
i politycy, bo zmienili ustawę i uszczelnili
ten system. Tylko że to uszczelnienie
wcale nie przeszkadzało urzędnikom
dalej twierdzić, że ktoś, kto prowadził
już działalność gospodarczą przez jakiś
czas i spełniał wszystkie warunki ustawy,
nadal czegoś ma nie dostać. Chodziło o to,
że kobiety płaciły wybraną przez siebie
wysokość ubezpieczenia. Jednak ustawa
pozwalała tę wysokość wybierać. No
i oczywiście, że ludzie wybierali czasem
wyższą składkę dającą potem wyższe
świadczenie.

Jeżeli to bolało tych urzędników
i polityków, to powinni też zmienić
ustawę. Tymczasem urzędnik ZUS sam
sobie prawem kaduka orzekał, że ta pani
przedsiębiorca nie miała przychodów
lub dochodów na tyle wysokich, żeby
można było tę dużą składkę zapłacić.

**I tu się panu jako rzecznikowi udało zawalczyć
przed Sądem Najwyższym.**

Sąd w końcu przyznał, że rzecznik
MŚP ma rację, mówiąc, że urzędnik nie
może sobie sam dopowiadać tego, czego
nie ma w ustawie. Po kilku wygranych
przez rzecznika sprawach ze skarg
nadzwyczajnych w Sądzie Najwyższym
zaprzestano już tego typu działania.

**Nie jest już pan rzecznikiem MŚP, ale pozostaje
pan z przedsiębiorcami i zamierza walczyć o ich
interesy?**

Środowisko, które było wokół mnie
skupione – ponad 400 podmiotów, wiele
osób w radzie konsultacyjnej – uznało, że
szkoda byłoby się rozproszyć, że warto
dalej razem działać. Nie w kontrze do
obecnego rzecznika, ale w merytorycznej
współpracy.

Środowisko MŚP zauważyło, że nie ma
organizacji reprezentującej ich skutecznie.
Stąd pomysł, żeby się zorganizować. Zało-
żyliśmy organizację Rada Przedsiębiorców.
Mamy spółkę, która świadczy przedsię-
biorcom usługi doradcze. Będziemy mieli
fundację i związek zawodowy przedsię-
biorców na B2B. A nad tymi ostatnimi
zbierają się ciemne chmury. Rząd zapowia-
da, że Inspekcja Pracy będzie sobie sama
decydowała, że jakiś stosunek pracy to jest
jednak etat, a nie współpraca firm. To jest
niezwykle groźne. Bo do tej pory Inspekcja
mogła uznać, że jest jakaś nieprawdło-
wość, i to sąd orzekał, czy tak jest. A teraz
chce ktoś postawić to na głowie. Inspektor,
wbrew woli zainteresowanego, zmieni mu
umowę z B2B na stosunek pracy i w sądzie
to przedsiębiorca ma udowadniać, że „nie
jest wielbłądem”.

**Jakie będą pierwsze działania Rady Przedsię-
biorców?**

Zbliża się uchwalenie budżetu,
obietnice do rozliczania składki zdrowot-
nej w formie sprzed Nowego Ładu nie
zostały spełnione i wygląda na to, że rząd
zamierza się z tego wymigać. Dlatego
poproszę przedsiębiorców, by dać wyraź-
ny sygnał politykom, że obietnice należy
spełniać i że jest to nam bardzo po-
trzebne. Będziemy zbierać podpisy pod
petycją „Uczciwe składki”. Nazwaliśmy
ją tak nie od parady – zasady ryczałto-
we składki zdrowotnej były uczciwe
i powrotu tego oczekujemy. Będziemy
zbierać podpisy on-line na stronie Uczci-
weskładki.pl.

Uważam, że będzie duży oddźwięk
tej akcji i da to do myślenia rządzącym.
Niech pamiętają, że przed nami wybory
prezydenckie, a przedsiębiorcy nie zapo-
mnieli tego, co im obiecano.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Adam Abramowicz – były poseł,
były rzecznik małych i średnich
przedsiębiorców.



Joanna Bojańczyk

Czystość jest dla Japończyków sprawą honoru i potrzebą duchową, nie tylko higieniczną. Minimalistyczna estetyka japońska jest pochodną tej wiary. Z zapałem sprzątają także Europejczycy, najbardziej Holendrzy. W Polsce też się bardzo poparwiło



Kadr z filmu „Perfect Days” Wima Wendersa FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W kinie mieliśmy już historie o blondynkach w atłasowych sukniach, uwodzicielskich amantach, o kowbojach, Indianach, wojnach międzygalaktycznych. Było o przygodach, bitwach, katastrofach, awanturach, morderstwach. Filmu o sprzątaniu jeszcze nie było, chociaż teraz w gorączkowym poszukiwaniu tematów reżyserzy i do tego się biorą.

Jednak nazwać „Perfect Days” Wima Wendersa filmem o sprzątaniu byłoby nie tylko głębokim nietaktem wobec tej uroczej historii, lecz także zafałszowaniem jej przesłania. Jest to film o skromnej codzienności, o skromnym człowieku, który prowadzi monotony żywot, co wszelako nie prowadzi go do traum, frustracji i innych współczesnych wielkomiejskich udręk oraz nie wypycha w łapy psychoterapeutów. Wręcz przeciwnie: bohater filmu Wendersa jest zadowolonym ze swego życia, pogodnym człowiekiem, wstaje o świcie, cały dzień pracuje, sprzątając toalety, czyta książki, siaduje na ławeczce, żeby patrzeć na drzewa. Nie czuje się upokorzony zajęciem, do którego wielu wolałoby się nie przyznawać.

W podobnej kategorii kina kameralnego z wolną akcją był parę lat temu film „Patterson” Jima Jarmuscha. Też skromniutki, prawie monotony, ale budujący w swojej wymowie.

A jednak sprzątanie jest u Wendersa istotne. Zaczęło się od tego, że władze Tokio zwróciły się do reżysera z propozycją nakręcenia filmu reklamującego designerskie toalety w eleganckiej dzielnicy Shibuya (każde miasto chciałoby takie mieć). Projekt tak się rozwinął, że stał

Sprzątanie doskonałe

się pełnometrażowym filmem, którego temat rozrósł się i oderwał od głównego zlecenia.

Byłam w Japonii tylko dwa tygodnie, ale to wystarczyło, żeby zobaczyć, jak wszystko jest tam czyste. Zamiata się i szoruje chodniki, pociągi, poczekalnie, toalety. Ludzie też się szorują – obowiązkowo wieczorem. Dopiero potem, kiedy są już czysti, wchodzi do wanny, żeby w niej odpocząć i się wymoczyć. Tak kończy się dzień. Onseny i publiczne łaźnie są popularne do dziś. Widać to u Wendersa, obecnie jest to bardziej forma kontaktu towarzyskiego z sąsiadami niż potrzeba, spadek po czasach, kiedy Japonia była biedna i mało kto miał łazienkę w domu. Przed jedzeniem dostaje się ściereczkę do wytarcia rąk. Nawet w McDonaldzie dają rodzaj ściereczki, choćby papierowej i w plastikowej torebce.

Te wszystkie rytuały mają związek z religią shinto. Świat ma być czysty, bo inaczej jest nie miły bóstwom. W reli-

gii shinto nie ma nakazów, przykazań, reguł. Jedyne wymóg to wspomniana czystość. Bogini słońca Amaterasu miała zatarg z bratem, bogiem wiatru, który załatwił się w jej domu. Była to największa z możliwych zniewag. Czystość jest zatem sprawą honoru i potrzebą duchową, nie tylko higieniczną. Przed wejściem do świątyni shinto także trzeba się umyć. Służy do tego rodzaj chochelki. Myje się najpierw jedną rękę, potem drugą, potem usta.

W świątyniach buddyjskich tych chochelek nie ma (wyjątkiem są domy herbaty i ogródki herbaciane), za to przechodzi się najczęściej przez mostek, który ma być ekwiwalentem mycia wodą.

W buddyzmie zen proces sprzątania, zamykania, grabienia żwiru, pielienia także ma znaczenie – jest uważany za formę duchowego ćwiczenia. Robi się to nie tylko po to, by było ładnie i czysto, lecz także by doskonalić swój charakter. W chramach czy świątyniach często

miotły pozostawione są na widoku. Mają podkreślić, że było tu sprzątanie.

NO NAME

W zeszłym roku w Poznaniu można było oglądać wystawę poświęconą japońskiej firmie Muji. To sklep z rzeczami do domu i ubraniami, który w jakimś sensie tłumaczy na język przedmiotów tę narodową nipponską obsesję: czystość. W urządzaniu przestrzeni – zarówno publicznych, jak i prywatnych – przekłada się to na jedyną wskazówkę: minimalizm. W Tokio Muji ma ogromny sklep, w innych japońskich miastach podobnie; w Warszawie jest jeden niewielki. Jak zaobserwowałam, cieszy się powodzeniem. Muji ma dużą ofertę rzeczy do domu, w tym do utrzymania czystości.

Marka powstała w 1980 r. w odpowiedzi na drażliwy konsumpcjonizm i logomanię. Ich reklamy nie starają się hałaśliwie podkreślić zainteresowania towarem, raczej przedstawiają jego rzeczywiste zalety: trwałość i dobry design. Towar ma klienta zadowolić i wystarczyć na długo. Produkty konsekwentnie minimalistyczne i pozbawione logo korzystały z materiałów wtórnych, zanim to stało się modne. Na poznańskiej wystawie można było obejrzeć dwa filmy reklamowe Muji – to reklama niewiele mająca wspólnego z tym, co widzimy w naszej telewizji... Spokój widać także w nazwie marki: Muji jest członem japońskiego określenia Mujirushi Ryōhin, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „jakościowe produkty bez marki”. Pokazywano też książki, projekty związane z rozprzestrzenianiem idei na całym świecie: Muji House, Muji Hotel. Wszędzie można spodziewać się tej samej minimalistycznej estetyki.

Z tą japońską obsesją coś jest na rzeczy, bo przecież najsłynniejsza propagandzistka, instruktorka czy też – jak byśmy powiedzieli dziś – influencerka Marie Kondo jest Japonką. Jej porady w książce „Magia sprzątania. Japońska sztuka porządkowania i organizacji” (wydawnictwo Muza), jeszcze zanim zostały wydane w Polsce, przeleciały łamy czasopism poradniczych. Mamy tu sprzątanie totalne: pod miotłą idą szafa, kuchnia, biblioteka, łazienka, torebka damska. Taki remanent, jak zapewnia autorka, pozwala osiągnąć stan trwałego

ładu, sukcesy zawodowe, nabrać pewności siebie, zyskać motywację i zapał do życia. Mało tego: japońska ekspertka, także wytrawny psycholog, przekonuje, że idealnie posprzątany dom pozwoli zakończyć toksyczny związek, schudnąć, wypięknąć i uwolnić się od lęku przed nieznanym.

Można wziąć to wszystko poważnie. Wolę czystość niż brud, ale jednak z pewnością siebie i sukcesem bym nie przesadzała. Jednak obserwując karierę naszej rodzimej ekspertki od czystości, Małgorzaty Rozenek-Majdan alias Biała Rękawiczka, można uwierzyć, że sprzątanie jest najpewniejszą drogą do sukcesu.

PRANIE, TRZEPANIE

Czystość nie jest raczej naszą narodową obsesją, chociaż w ostatnich latach nastąpiła pewna poprawa w tej sprawie. W Polsce szlachecko chłopskiej, z późnym rozwojem mieszczaństwa oraz turbulencjami historycznymi, czystość wydawała się czymś całkowicie drugo-

W religii shinto nie ma nakazów, przykazań, reguł. Jedyne wymóg to czystość

rzędnym, godnym co najwyżej służby. Któż miałby myśleć o trzepaniu dywanów, gdy trzeba było szablę chwycić w dłoń i odzyskiwać niepodległy byt?

Tymczasem w Holandii, kraju niewielkim, geograficznie niezbyt uprzywilejowanym i także poturbowanym przez historię, udało się osiągnąć poziom cywilizacyjny, którego pozazdrościć mógł niejeden potężniejszy kraj Europy. Pracowały na to potęga morska, pracowitość i religijność mieszkańców, zdecentralizowany system państwowy. Niechęć do gloryfikacji własnych osiągnięć według badaczy jest jedną z najważniejszych cech charakteru narodowego Holendrów. Całkiem odwrotnie niż u nas...

Profesor Roch Sulima, antropolog i historyk kultury, uważa, że pod tym względem dużo się zmieniło. – W Polsce mamy dziś do czynienia ze zmianą wzorca pocucia „czystości” – mówi.

Kiedyś sprzątanie było swoistym obrzędem przejścia. W tradycyjnej kulturze odnowienie świata i otoczenia dokonywało się poprzez operacje wykonywane na przedmiotach – bielenie ścian, pranie, trzepanie. Tym były m.in. „wielkanocne porządki” – dotykany, naoczny sposób obcowania z czymś, co nas przekracza. W PRL przybierało to często formę akcji, mobilizacji. Dziś coraz bardziej odczuwamy społeczny przymus sprzątania, a nierzadko swoisty terror. Wydaje się, że za sprawą standaryzowanych urządzeń i technologii prac domowych coraz częściej wychodzimy z polskiego bałaganu i brudu. Jednak pod względem mentalnym może być to odczuwane jako dotkliwa utrata utrwalonych w tradycji znaczeń „swojskiego śmietnika”. I nie tylko dlatego, że perfekcyjny porządek jest nie do zniesienia, gdyż wyobcowuje nas z dotykającego świata.

Gdy magnaci I Rzeczypospolitej, wjeżdżając do Rzymu, gubili złote podkowy, żeby pokazać zbytek, w Holandii epatowanie bogactwem było naganne. Chociaż kraj podzielony między protestantów, katolików, Żydów i wyznawców innych religii nie był tak jednorodny wyznaniowo, jak zwykle się uważa, to religią większościową pozostawał reformowany ewangelicyzm. A ten dopuszczał pomnażanie dóbr, lecz potępiał ostentacyjne korzystanie z nich. „Obyczaje, prostota i równość były takie w Amsterdamie, jak w Sparcie” – pisał Wolter. Popularna w XVII-wiecznej Europie anegdota mówiła, że kiedy posłowie hiszpańscy zjechali do Hagi, żeby podpisać rozejm, zastali najważniejszych dostojników państwa leżących pod drzewem i posilających się chlebem z serem.

Od XVII stulecia aż do lat 70. XX w. sprzątanie stało się dla Holendrów narodową manią. Gdy w miastach Europy przez okna wylewano na ulicę zawartość nocników, ulice tonęły w błocie i fetorze, cudzoziemscy podróżnicy odwiedzający Holandię opisywali nieustanne zabiegi higieniczne: mycie fasad domostw i chodników, sterylność obór, w których krowom miano podwiązywać ogony, by nie brudziły nimi pobielonych ścian. Groźne służące przenosiły na plecach gości w zabłoconych butach. Polerowano domowe sprzęty, ścierano kurze i zamiatano. © Wszelkie prawa zastrzeżone

BMW i5 M60 xDRIVE TOURING



realnym do osiągnięcia w trybie mieszanym (miasto, drogi krajowe i autostrada).

Nie jest to może zasięg rekordowo wysoki, ale jest już na tyle duży, aby nie bać się o to, czy zdołamy dojechać do kolejnej stacji ładowania. Do tego całkiem sensownie wygląda także czas uzupełniania energii (na szybkich ładowarkach na podładowanie baterii z poziomu 10 do 80 proc. trzeba ok. 30 minut, a więc akurat tyle, żeby w trasie coś zjeść i popić dobrą kawą).

Przestrzenna kabina utrzymana jest w minimalistycznym stylu. Na desce rozdzielczej dominują gigantyczne wyświetlacze o wysokiej rozdzielczości (główny ma 14,9 cala przekątnej, a ekran z cyfrowymi zegarami kierowcy ma przekątną wielkości 12,3 cala). Możliwości konfiguracji cyfrowych zegarów jest mnóstwo. Sam system infotainment działa dobrze, choć nie zawsze jest intuicyjny w obsłudze (na szczęście można go dostosować do własnych preferencji). Bardzo ciekawe i praktyczne jest za to wsparcie dla rozszerzonej rzeczywistości w nawigacji podczas kluczenia po uliczkach nieznanymi miast.

Cena i5 Touring zaczyna się od 355,5 tys. zł, ale za testowany wariant M60 xDrive Touring trzeba już zapłacić co najmniej 510,5 tys. zł. A to tylko podstawa faktury, bo dopłacić warto m.in. za zawieszanie adaptacyjne, pakiet innowacji (z obsługą gestów, dopracowanym kolorowym HUD-em i asystentem parkowania z kamerami 360 stopni) czy adaptacyjny tempomat wraz z systemem rozpoznawania sygnalizacji świetlnej. Dodatków jest dużo więcej, więc przekroczenie granicy 600 tys. zł wcale nie jest bardzo trudne.

Pierwsze w pełni elektryczne kombi ze stajni BMW to model, który zarówno sportowymi osiąganiami, jak i jakością wykonania oraz praktycznością użytkowania dorównuje tradycyjnym kombi serii 5. To dobre auto dla zamożnych osób, które szukają komfortowego i rodzinnego, a jednocześnie niezwykle dynamicznego i naszpikowanego nowoczesnymi technologiami e-samochodu.

Pokaźnych rozmiarów kombi z dużym, foremnym bagażnikiem (o pojemności 570 l) oraz przestrzennym wnętrzem prowadzi się wyjątkowo dobrze. I to nie tylko dlatego, że ma pod maską

601 KM i że moment obrotowy wynosi 795 Nm. Przyspieszenie? To kombi od zera do pierwszej setki potrafi rozpędzić się w 3,9 s. Do tego napęd na wszystkie koła, fantastyczny układ kierowniczy i komfortowe zawieszenie, które sprawia, że długie podróże przestają być uciążliwe.

Nie trzeba się też bać wyższych prędkości. Akumulatory w tym elektrycznym kombi są już na tyle dobre, że nawet na autostradach zasięg nie topnieje niczym bałwan na pustyni. Maksymalny zasięg podawany przez producenta wynosi 499 km i muszę przyznać, że nasz test pokazał, iż nawet w prawdziwych warunkach drogowych 450 km jest zasięgiem

INTELIGENTNY ZAMEK NETATMO

Proste montaż i obsługa, dopracowane wzornictwo, możliwość łatwego dodawania i usuwania kluczy, bezpłatna aplikacja, brak połączenia z Internetem – to największe zalety inteligentnego zamka francuskiej firmy Netatmo.

W skład testowanego zestawu wchodzi m.in. wkładka z inteligentnym zamkiem, trzy klucze NFC służące do jego otwierania oraz dodatkowy klucz służący jedynie do konfiguracji systemu i dodawania w aplikacji kolejnych kluczy mogących otworzyć ten konkretny zamek. Całość wygląda solidnie. Producent zapewnia, że produkt został zaprojektowany w taki sposób, aby chronił przed fizycznymi próbami włamania polegającymi np. na otwarciu zamka wytrychem czy też za pomocą przewiercenia, wyrwania, przecięcia czy wybitcia (spełnia normę EN15684, zamek uzyskał również certyfikat niemieckiego instytutu AV-Test).

Produkt Netatmo jest też odporny na działanie hakerów, ponieważ nie jest na stałe podpięty do Internetu. Zamek można otworzyć jedynie za pomocą inteligentnych kluczy (wykorzystujących technologię NFC) lub smartfona z bezpłatną aplikacją Netatmo, ale tylko z bliskiej odległości z wykorzystaniem szyfrowanej komunikacji Bluetooth. Inteligentne klucze można w razie zgubienia lub kradzieży szybko dezaktywować

w aplikacji (działa na smartfony z systemem iOS lub Android). Tymczasowy dostęp za pomocą aplikacji można zaś w dowolnej chwili wysłać e-mailem.

Sam montaż inteligentnego zamka Netatmo jest bajecznie prosty i zajmuje zaledwie kilka-kilkanaście minut. Przed przystąpieniem do zamiany tradycyjnych drzwi w „inteligentne” radzę się jednak upewnić, że np. nasz antywłamaniowy model nie jest wyposażony w dodatkowe zabezpieczenia (wówczas instalacja może się okazać trudna lub wręcz niemożliwa). Jeden klucz NFC można też przystosować do działania z różnymi zamkami. Dzięki temu można więc istotnie zmniejszyć wagę pęku tradycyjnych kluczy.

Wady? W razie wyczerpania się baterii zamek jest wyposażony w stare połączenie micro-USB. W 2024 r. można byłoby się spodziewać USB-C. Zamek Netatmo (ma 50 mm średnicy i 145 mm głębokości) obsługuje drzwi o szerokości do 10 cm – jeśli chce się go zamontować w jeszcze szerszych drzwiach, to trzeba dokupić dodatkowe poszerzenie (koszt: 139,99 zł). Drogie są też same klucze NFC (jeśli rzeczywiście potrzebujemy więcej niż zawarte w zestawie trzy klucze, to jeden dodatkowy kosztuje 179,99 zł, a zestaw trzech 449,99 zł).

Za inteligentny zamek Netatmo trzeba zapłacić 1629 zł.



STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Hospodarskie skarby z Suczawy



JACEK KOMUDA

Miało Suczawa w północno-wschodniej Rumunii znane jest z wielu zabytków, w tym z ruin twierdzy powstałej pod koniec XIV w., a rozbudowanej na początku XVI w. przez hospodara Stefana Wielkiego. Wielokrotnie opierała się Turkom i Polakom, zwłaszcza na przełomie września i października 1497 r., kiedy oblegała ją armia naszego króla Jana Olbrachta.

Forteca w Suczawie została odbudowana i wzmocniona w połowie XVII stulecia przez hospodara Bazylego Lupu, człowieka zdradzieckiego i chciwego. Stała się miejscem dramatycznych wydarzeń w czasie buntu kozackiego, w których główną rolę odegrały oddziały wojsk polskich i ich dowódca Jan Kondradzki, kapitan kamieniecki. W 1650 r. Bohdan Chmielnicki, przywódca zbuntowanych Kozaków, zmusił hospodara Lupu, aby wydał córkę Rozandę za jego syna Tymofieja. Słynęła ona z wielkiej urody, a jej starsza siostra, Maria, była żoną hetmana Janusza Radziwiłła. Jej ślub stał się elementem polityki dynastycznej hetmana, który za wszelką cenę usiłował stworzyć sojusz, który osłabiłby zniechęconą przez niego Rzeczpospolitą.

Związek zawarty 30 sierpnia 1652 r. skończył się tragicznie. Najpierw Tymofiej odkrył, że Rozanda nie była dziewicą – kiedy bowiem przebywała jako zakładniczka w Stambule, oddała się wielkiemu wezyrowi, aby wydostać się na wolność. Kozak bił ją więc i znieważał, nawet kiedy stała się brzemienna. Jednocześnie Hospodarstwo Mołdawskie stanęło u progu katastrofy. Małżeństwo, a przede wszystkim to, że stary Chmielnicki uzyskał od Turcji zgodę na zarządzanie księstwami naddunajskimi, stanowiło cios w interesy dwóch ościennych

księstw – Siedmiogrodu i Hospodarstwa Wołoskiego. Ich władcy zawarli sojusz, do którego przyłączyła się również Rzeczpospolita, i w maju 1653 r. pobili wojska kozacko-mołdawskie pod Jałowicą. Rozanda i jej matka schroniły się w Suczawie, zabierając ze sobą legendarny skarbiec hospodara, a Tymofiej i Lupu uciekli na Ukrainę, aby zorganizować odsiecz. Tymczasem zamek oblężony został przez oddziały siedmiogrodzkie i wołoskie. Przybyły z Kozakami w sierpniu Tymofiej mógł tylko przebić się do Suczawy, co też uczynił. Bronił się w niej razem z żoną, próbując dotrzeć do odsieczy ojca i Tatarów.

Wcześniej jednak niż główna armia zaporosko-tatarska pod Suczawę dotarły posiłki polskie. Dowodził nimi wspomniany Jan Kondradzki stojący na czele najlepszych 40 chorągwi wojska. Rozpoczęto oblężenie i ostrzał zamku, który okazał się trudny do zdobycia. W tym samym czasie główne siły króla Jana Kazimierza stały pod Glinianami, odciągając armię Chmielnickiego od Mołdawii.

12 września Tymoszko odpoczywający po hulance w namiocie został postrzelony z działa w nogę nad kolanem. Umarł, zanim doniesiono go do zamku. Być może, jak podaje Ludwik Kubala, położenie namiotu zdradził jeden z Kozaków, którzy licznie przechodzili na stronę polską.

Rozanda i jej matka obawiały się, że kapitulacja oznacza dla nich śmierć i przepadek ogromnego bogactwa. Próbowaly zatem za wszelką cenę przekupić załogę składającą się w dużej części z Kozaków do wytrwania do czasu odsieczy. Hospodarówna posunęła się nawet do tego, że wyszła powtórnie za mąż za Mikołaja Fedorowicza,

którego Zaporozcy wybrali sobie za hetmana po śmierci Tymosza.

Na próżno. 9 października 1653 r. Suczawa skapitulowała. Mikołaj Fedorowicz zaprzysiągł posłuszeństwo królowi polskiemu, a Kozacy wyszli z twierdzy, wioząc ciało Tymofieja Chmielnickiego. Doszło wówczas do incydentu – część chorągwi polskich, mszcząc się za dokonaną przez Zaporozców rzeź jeńców pod Batochem, zaatakowała kondukt kozacki ze zwłokami dowódcy.

A co ze skarbami Bazylego Lupu? Wszystko, co zostało w twierdzy, podzielili między siebie hospodara wołoski Mateusz Basarab i Stefan Georgica, który obwołany został wcześniej władcą Mołdawii. Polakom jak zwykle dostał się honor zdobywców twierdzy: „7 armat polnych, 500 śmigownic i 400 trupów, których w oblężeniu stracili” – pisał Ludwik Kubala. Skarb zresztą okazał się nad wyraz skromny. Przede wszystkim dlatego, że Rozanda i jej matka rozdały wiele złota Kozakom, chcąc skłonić ich do jak najdłuższej obrony twierdzy. Część być może została zakopana gdzieś w Suczawie i leży tam do dziś, co jednak można włożyć między bajki. Okazało się też, że zapobiegliwy Lupul trzymał kosztowności... w bankach weneckich, gdańskich i holenderskich. W ręce zwycięzców dostały się być może tylko skrypty i papiery...

Rozanda żyła jeszcze wiele lat i istnieje przynajmniej kilka wersji jej śmierci. Według jednej trafiła na Ukrainę i została zamordowana przez rozbójników szukających pozostałości skarbów jej ojca. W innej mieszkała w Raszkowie, w kolejnej – zabili ją polscy żołnierze jako synową zniechęconego Chmielnickiego, kiedy zdobyli w 1686 r. twierdzę Neamt. ©



ANNA POPEK Z D. CHRZUŁIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUŁIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Jesień pachnąca śliwkami

Mieliśmy 22 września równonoc jesienią – dzień trwał mniej więcej tyle samo co noc i od tego czasu aż do równonocy wiosennej słońce będzie oświetlało półkulę północną krócej niż południową. Zakończyło się lato, a zaczęła się astronomiczna jesień.

Do jesiennych smaków już trochę zaczęliśmy się przyzwyczajać, zjadając jajecznice z kurkami czy zupę z dyni, która jest absolutnym skarbem jesiennego stołu. Dziś jednak chcieliśmy napisać kilka słów o śliwce, która oprócz wspaniałego smaku zawiera moc i właściwości wspierające układ trawienny, jest bogata w błonnik, witaminy A, C, E.

Śliwka jest smaczna na surowo, suszona oraz w każdej innej postaci. Najsmaczniejsza jest węgierka – dojrzała, słodka, rozpylająca się w ustach. Do zrobienia powideł czy kruchego ciasta popularne są również renklody.

Śliwką nafaszerujemy schab, zrobimy z niej polewę do lodów albo czekośliwkę, czyli zdrową wersję popularnego kremu czekoladowego ulubionego przez dzieci.

Popularna śliwka węgierka przywędrowała do Europy z Azji Mniejszej, a do nas bezpośrednio z Węgier. Za stolicę śliwki w Polsce uważa się średniowieczny świętokrzyski Szydłów zwany kamiennym miastem. To tu, w Dolinie Purpurowej, uprawia się ok. 45 odmian

śliwy, a najpóźniejszą odmianę zbiera się jeszcze w październiku. Szydłów słynie ze wspaniałej śliwki w czekoladzie deserowej, nalewek oraz wyśmienitych powideł.

Zgodnie ze staropolską recepturą tradycyjne powidła śliwkowe smaży się trzy dni do osiągnięcia idealnej konsystencji i smaku. W naszym domu jesienią takie powidła smażyła dla nas mama i robiła najlepsze knedle ze śliwkami, polane podsmażoną na masle bułką tartą. W domu wówczas było święto, a smak tych knedli pamiętamy do dziś.

Knedle ze śliwkami

- 1 kg ziemniaków – mącznych
- ½ kg śliwki węgierki • 250 g mąki pszennej • 50 g mąki ziemniaczanej
- 2 jajka • ½ łyżeczki soli • cukier brązowy – ½ szklanki • 4 łyżki bułki tartej • 4 łyżki masła • cynamon – ½ opakowania • 150 g kwaśnej śmietany – 1 opakowanie

Ze śliwek wydrążyć pestki i do każdej nasypać trochę cukru i odrobić cynamonu. Ziemniaki umyć i ugotować w osolonej wodzie, przecisnąć przez praskę, odstawić do ostudzenia. Następnie dodać mąkę, jajka, sól. Wszystko ładnie wyrobić i wyłożyć na stolnicę, podsypać mąką. Oderwać kawałek ciasta wielkości orzecha włoskiego, rozłożyć cienko w dłoni, włożyć śliwkę i owinąć jak kuleczkę z każdej strony. Odłożyć na stolnicę. Zagotować w garnku dużą ilość wody, osolić, po zagotowaniu wrzucić knedle partiami po kilka sztuk; gotować do wypłynięcia i jeszcze 5 min. Podawać polane śmietaną z cukrem i cynamonem. ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Talent kontra ciężkie czasy

Obyś żył w ciekawych czasach – mówi chińskie przysłowie. Osobiście wolę nieciekawie, ale w przypadku Jana Bogusławskiego „ciekawie” – czytaj ciężkie – czasy okazały się bodźcem dla talentu. Architekt urodzony w roku 1910 przed wojną zdążył jeszcze skończyć studia na Politechnice Warszawskiej, rozpocząć praktykę u Antoniego Dygata (ojca pisarza), zaliczyć studia podyplomowe w paryskiej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych. W połowie lat 30. dwudziestoparolatek był już wziętym architektem. Projektował wille, meble, brał udział w międzynarodowych wystawach. Za dom letni pod Warszawą otrzymał grand prix na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu.

Dobre czasy skończyły się we wrześniu 1939 r. A w październiku ppor. Bogusławski trafił do niewoli w oflagu w Woldenbergu na długich sześć lat.

Powrót do życia w powojennej rzeczywistości. Zatem państwowe Biuro Odbudowy Stolicy, wielka akcja, w którą zaangażowany był cały naród, praca w państwowym biurze projektów Miastoprojekt. W roku 1955 Jan Bogusławski wygrał konkurs na odbudowę Zamku Królewskiego. Historyczne wyzwanie. Wykonał wielką i ważną robotę: drobiazgową dokumentację, która spoczęła w archiwach i odgrzebaną została dopiero po 20 latach, gdy Gierek ogłosił odbudowę zamku.

Jan Bogusławski projektował w całej Polsce i za granicą, ale Warszawa zawdzięcza mu najwięcej. Niestety, jego świetne realizacje z centrum stolicy, ikoniczne budynki modernizmu po barbarzyńsku rozebrano. Pawilon Chemii, kino Praha, bar Zodiak poszły pod kilof. Na ich miejscu postawiono „bardziej opłacalne” nijakie budynki.

O budynkach publicznych projektu Bogusławskiego słyszeli zainteresowani architekturą; mieszkańcy bloków rzadko wiedzą, kto zaprojektował ich budynek. Znajomi z osiedla Czerniakowska zdziwili się, gdy im powiedziałam, że mieszkają w domu projektu Bogusławskiego.

Osobny temat w życiorysie architekta to wnętrza. Amatorzy duńskiego designu z lat 50. i 60. zachwyciliby się meblami jego projektu wykonanymi w polskich zakładach rzemieślniczych, z polskich materiałów. Krzesła, fotele, biurka, toaletka, szeslongi.

„Są dwa wielkie tematy w architekturze – mawiał Bogusławski – kościoły i teatry”. Niektóre z jego projektów nie zostały zrealizowane – projekt opery w Madrycie; Teatr Narodowy w Budapeszcie. Inne stoją: kościół NMP Matki Miłosierdzia na Stegnach w Warszawie, konkatedra w Stalowej Woli, kościół w Gorajcu, kościół św. Andrzeja Boboli na Saskiej Kępie.

Wystawa do 30 września, w IWP przy Świętojerskiej. Warto zobaczyć. ©



FOT. ADOBÉ STOCK



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Onuce na wałach (powodziowych)

Już się zaczęły powodziowe zapasy, że to przez Tuski, na co się Tuski odwinęły, że to pisiory i jak zwykle wyjdzie na remis ze wskazaniem na... PO-PiS. No bo obywatela w sumie mało interesuje, kto zawinił. Bo co mu to da, zalanemu tam na Dolnym Śląsku? Mieliliśmy powódź w 1997 r. i – jak widać – nikt nikogo nie ukarał, a medialne twarze tamtych wydarzeń dopiero niedawno wróciły z laby, którą im zafundował w Brukseli zalany wyborca. Stawiam juany przeciw dolarom, że z aktualnymi rozliczeniami skończy się na niczym i znowu państwo z dykty, zamoczonej tym razem w wodzie, zawiedzie systemowo swych usługobiorców.

Ale pokazała się ostatnio inna odpowiedź na pytanie: „Kto winował?”. Nie bez kozery trzymam się tu rosyjskiego języka, bo okazuje się, że zawinił wspólny wróg PO-PiS, czyli ruski onuczym. Tak, to on nie tyle sprowadził na nas ulewę, bo tu ruskie jeszcze z klimatem za krótkie, ile ubezwłasnowolnił władze na tyle, że te, mimo szczerych chęci, nie były w stanie przeciwstawić się zmanipulowanemu społeczeństwu na tyle, by wybudować ratunkowe zbiorniki.

Czytamy: „W 2019 r. promującym rosyjskie treści antyszczepionkowcom udało się namówić wielu mieszkańców Kotliny Kłodzkiej, a także naukowców i polityków do zablokowania

budowy suchych zbiorników przeciwpowodziowych. Inicjatywa »NIE dla zbiorników na Ziemi Kłodzkiej« promowała też Rafała Trzaskowskiego i namawiała do udziału w »antycovidowej« manifestacji”.

Dwa zdania, a tyle myśli. Wychodzi na to, że winni powodzi są antyszczepionkowcy i antycovidowcy. Ale jak to się mogło zadziać, kiedy COVID i afra ze szczepionkami zaczęły się grubo w 2020 r., a ukryci putinowcy zagieśli parol na zbiorniki już rok wcześniej? To jacy to antyszczepionkowcy? I zarzut o organizację w antycovidowej manifestacji – a ktoś był za? Znaczący się za COVID?

Idźmy dalej tym tropem: jak ze słynnym szpiegiem rosyjskim przebranym za hiszpańskiego dziennikarza można po jego „tematach” zobaczyć, na czym zależy Putinowi. Jest tu niezły mikś, bo to oczywiste, że chce on, by nas woda zalała, i wpływa nawet na naukowców, żeby nie budować zbiorników, chce także, by Polonusi się nie szczepili, co przyspieszy ich wyginiecie i ułatwi wejście ruskim na nasze wyludnione ziemie. Ale dlaczego ci sami ludzie popierają Trzaskowskiego? Trzeba to wyjaśnić: Jak Pan Rafał z Warszawy może być pożyteczną onucą dla putinowskich interesów? Przecież to może być przyszły prezydent Priwislinskiego Kraju, a to wieje zgrozą bardziej, niż wieje smrodem z ruskich onuc. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Test powodziowy

Siedząc przy biurku łatwo się wymądrzać – „a nie mówiłem”, jednak od wielu lat, a już zwłaszcza od lutego 2022 r., nie opuszczam żadnej okazji, by poruszać temat obrony cywilnej. Gdy rosyjskie wojsko ruszyło na Kijów, wysłałem e-maile do RCB i do zarządzenia kryzysowego w warszawskim ratuszu z zapytaniem dotyczącym szkolenia na wypadek wojny. Deklarowaliśmy z rodziną gotowość udziału w ćwiczeniach z zakresu ochrony ludności cywilnej, ewakuacji itp. Moje pytania pozostały bez odpowiedzi. Należę do pokolenia, które miało ćwiczenia z obrony cywilnej i pamiętam, że choć prowadził je emerytowany oficer LWP, z którego robiliśmy sobie w żarty, on swoją misję traktował poważnie.

Powódź, oprócz dramatu, jest dla Polski (proszę o wybaczenie wszystkich, którzy stracili bliskich, dobytek i ucierpieli) ostrzeżeniem, które należy traktować jako gorzką, ale i błogosławioną okoliczność. Czy tym razem znów będzie miał rację poeta, mówiąc, że „Polak przed szkołą i po szkole głupi”?

Karygodne błędy władz centralnych, lekceważenie zagrożenia, skala dezinformacji, beczynność przed powodzią, bezradność w trakcie uderzenia fali i bałagan organizacyjny po przejściu wody, gdy już widać ogrom zniszczeń, pokazały kompletny brak odporności państwa na zagrożenia. W Polsce nie mamy procedur,

nie mamy kompetentnych organów dowodzenia ani struktury wyszkolonych ludzi, którzy mogliby reagować na takie zagrożenia.

Myślenie, że OSP albo WOT wszystko ogarnie, to dziecięca naiwność. W przypadku zbrojnej agresji WOT będzie na froncie, a strażacy będą gasić pożary. Potrzebujemy, tak jak zrobiły to kraje skandynawskie, ogólnonarodowego programu angażowania i szkolenia społeczeństwa w zakresie budowania odporności. Trzeba zacząć od pierwszych klas szkół podstawowych. Obrona i koordynacja działań mieszkańców, system ostrzegania, organizacja przeciwdziałania i pomoc kryzysowa to zadania dla zupełnie innych jednostek, których w Polsce nie mamy.

Powódź pokazała też, że nie mamy technologii ani infrastruktury potrzebnej do skutecznego ostrzegania i minimalizacji ryzyka w sytuacjach kryzysowych. Worki z piaskiem, pospolite ruszenie w układaniu – fajnie się filmuje, ale system mobilnych zapór wodnych to infrastruktura, w którą musimy zainwestować, nawet jeżeli użyje się jej raz na 27 lat. Na pytanie Szymona Hołowni, co ja zrobiłem, odpowiadam, że gdy piszę ten tekst, moja córka pakuje do samochodu myjkę ciśnieniową, zestaw węży i przewodów elektrycznych, zestawy kaloszy i jedzie z ekipą Radia Wnet odgruzowywać miejscowości, które najbardziej ucierpiały. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Niby ptak,
a nietot

Jest nowy trend polityczny. Stop. Jeśli ktoś wypowie oburzającą głupotę, czyli walenie babola, że ho, ho, to teraz mówi się, że doszło do „niezręczności komunikacyjnej”. Stop. Tak właśnie o niemądrej propozycji minister klimatu, udzielania pożyczek ofiarom powodzi powiedział Hołownia. Stop. Za babola minister, przepraszam, za niezręczność, wyrzucono z pracy jej rzecznika. Stop. Kogoś trzeba było.

Tusk wystąpił w niskobudżetowym filmie na terenach zalanych powodzią. Stop. W jednej z dramatycznych scen widzimy, jak otwiera drzwi i wchodzi do zniszczonego wnętrza domu. Stop. Żle wychowani widzowie zwrócili uwagę, że to prymitywna ustawka, bo przed Donaldem wszedł tam kamerzysta ze światłowym, żeby dzielnego Tuska PR dopieścić. Stop. I tak oto już we wrześniu premier zagrał nam w szopce...

Paulinę Henning-Kłoskę, minister klimatu i środowiska, w trakcie wywiadu u red. Rymanowskiego zapytano o możliwość regulacji polskich rzek. Stop. Nie była nastawiona optymistycznie: „Jeżeli wybudujemy rynnę z gór do Bałtyku, to woda będzie nam spływać, jak po rynnie przy domu”. Stop. A tak zupełnie bez trybu, czy państwo wiedzą, że nietot to ptak, który utracił zdolność latania? Jakoś mi się nasunęło. Stop.

W telewizji na żywo, u redaktora Jankowskiego, dr Grzegorz Chocian, prezes

fundacji ekologicznej, poinformował, że niemieckie służby chciały go zwerbować, żeby protestował przeciwko regulowaniu rzek. Stop. On się zwerbować nie dał, ale podobno wie, kto się dał. Stop. Mówiąc o sprzedajnych ekologach, dodał: „Nimi nie zawsze powoduje sponsor, ale także oficer prowadzący”. Stop. A teraz przypomniemy sobie rzesze ekologów, dla których ważniejszy jest zimorodek niż ludzie, albo tych, którzy mówili wprost, że z powodu suszy nie ma co budować zbiorników retencyjnych. Stop.

Banda ekooszołomów twierdzi, że powódzie są spowodowane efektem cieplarnianym i dlatego musimy jeszcze bardziej zrezygnować z własnych pieniędzy. Stop. Jak doskonale wiemy, arka Noego jeszcze przed potopem napędzana była potężnymi silnikami Diesla, a namioty, w których Noe koczował ze zwierzyną, opalane były piecykami na węgiel kamienny. Stop. Stąd cały ten potop.

Niedobrze: Gruziński parlament zakazał zawierania związków jedнопłciowych i adopcji dzieci przez osoby LGBT. Stop. Niedobrze 2: Minister kultury Słowacji, Martina Šimkovičová (piękna kobieta, przyznać muszę), powiedziała publicznie do działaczy LGBT: „Jeśli macie zaburzenia psychiczne, to powinniście się leczyć, a nie narzucać ludziom, że jesteście jakąś normą i wszystko ma być tak, jak wy chcecie”. Stop. ©©

DARIUSZ
WIERONIECZNY

SPODE ŁBA

Klimatyzm
i hipokryci

Przełomowego odkrycia dokonał właśnie były premier Mateusz Morawiecki. W artykule opublikowanym na łamach portalu Politico ogłosił on, że w kwestii polityki klimatycznej „mamy do czynienia ze strategiczną hipokryzją klimatyczną Europy”.

W dalszej części wywodu przybliżył czytelnikom uprawianą przez europejskich decydentów sztukę iluzji: „Ale jaka jest korzyść dla klimatu, jeśli te gazy cieplarniane z produkcji stali są nadal emitowane przez firmy w Turcji, na Ukrainie lub w Azji, a nie w UE? Żyjemy w iluzji ekologizmu, podczas gdy w rzeczywistości nie zredukowaliśmy globalnych emisji, tylko pozbawiliśmy się miejsc pracy, zysków, suwerenności surowcowej, a zatem i bezpieczeństwa”. Stwierdzenie oczywistego faktu, że państwa europejskie odpowiadają za niewielką część globalnej emisji gazów cieplarnianych, przedstawia byłym premierem jako zaskakującą rewelację.

Ciekawe, w którym momencie kariery Mateusz Morawiecki przeistoczył się w tak bezkompromisowego demaskatora „hipokryzji klimatycznej”. Podczas urzędowania wygłaszał on poglądy biegunowo przeciwne. Walkę z emisją gazów cieplarnianych proponował zacząć od Polski, widząc w naszym kraju światowego lidera ograniczenia emisji CO₂ i promotora „elektromobilności”. Już w 2025 r. miały po Polsce

jeździć miliony elektrycznych samochodów Izera. „Z dumą i bez wahania mogę powiedzieć, że Polska jest jednym z liderów działań podejmowanych dla powstrzymania globalnego ocieplenia – powiedział Morawiecki na konferencji klimatycznej COP24 w Katowicach w 2018 r. „To, co jednak cieszy najbardziej, to fakt, iż na całym świecie burmistrzowie, organizacje pozarządowe i biznes równie mocno, coraz mocniej są zaangażowani w naszą polską inicjatywę elektromobilności. Zaangażowała się blisko jedna trzecia populacji. To rzeczywiście ogólnosiwiatowa inicjatywa”.

Na szczycie klimatycznym COP26 premier Morawiecki emanował podobnym entuzjazmem. „Niech nasze spotkanie stanie się kolejną okazją do budowania mostów i nowym kamieniem milowym dla naszych ambicji i recept na ich skuteczną realizację w duchu sprawiedliwej społecznie transformacji” – wzywał w roku 2021 dzisiejszy pogromca „iluzji ekologizmu”. O księżycowym projekcie masowej budowy samochodów Izera – i utopionych w nim publicznych funduszach – zdążyła już łaskawie zapomnieć zaangażowana weń „jedna trzecia populacji”.

Gdyby samochody nieemitujące CO₂ dało się napędzać, zamiast elektrycznością, hipokryzją rządzących, Polska byłaby światowym liderem zielonej motoryzacji. ©©

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Słownik wyrazów zaginionych

Zmiany cywilizacyjne podobno można dobrze wyczuć przez zmianę powszechnie używanego słownictwa. Na przykład: Kto dziś używa słowa „szlachetny”? Pachnie ono co najmniej „szlachetczyzną”, jeśli nie dziwactwem. W szkole zresztą mówili, że szlachta była okropna i chłopów jak niewolników trzymała. Dlatego o „szlachetności” już lepiej nie mówić. Ze słowem „cnota” jest kupa śmiechu. Skoro filozofowie podobno używali tego słowa w sensie wartości etycznej, to widocznie wszystko im się

może chodzić z „bojaźnią”. Czy to strach czy co za diabeł? Jeśli ktoś chce określić respekt, szacunek czy uwielbienie, to powie „szacun”, no bo „szacunek” brzmi cokolwiek niepoważnie. Możliwe, że „bojaźń” miała dotyczyć Boga... A w takim razie rozumiałe, że to przeszłość! „Pobożność” jakaś czy co? Straszne dziaderstwo.

„Dobroć” brzmi całkiem archaicznie, zupełnie jak „pocziwość”. Pocziwy może być jakiś dziadek, który stracił znaczenie i którego można co najwyżej poklepać po ramieniu.

się kochać siebie” i postępujemy zgodnie z duchem XXI w.! Bardzo dziwnie brzmi też „roztropność”. W jakich lekturach chyba występowała, ale mało kto to czytał. Więc co to może znaczyć? Dziwne jest też słowo „bardzo”. Ono podobno dawniej znaczyło tyle co „super” lub „mega”.

„Niewiasta” – a co to takiego? O babach tak dawniej mówili? Nieźle! A „nadobna”? Żeby tylko się jakaś kobieta nie obraziła, bo nie zrozumie... Tak samo jest z „męstwem”. Trzeba uważać, bo każda, zwłaszcza młoda, może się obrazić. Lepiej mówić „kozactwo”, bo „dzielność” kojarzy się z dziełami i wykluczaniem i z tym nie ma co igrzać. No właśnie: „igranie” jakoś przeżyło, bo kojarzy się z zabawą, czyli jest w porządku.

A o co dawniej chodziło z tym „kultem”? Zespół taki był... Jak coś jest kultowe, kawałek jakiś muzyczny czy ciuch – to wiadomo. Ale obraz? No, chyba że się dobrze sprzedaje lub na Facebooku pokazują. Młodzi to lepiej wyczuwają, ile polubień to będzie miało... To chyba nazywano „zachwyty”, ale dziś to słowo bardziej z chwytaniem się kojarzy. Jak oni dawniej wszystko komplikowali...

„Transcendencja”? – ludzie, no dajcie spokój! A jak ktoś dziś powie o „empatii”, to z pewnością chce dostać w dziób... Że pies „zdechł”? No, może twój pies zdechł, mój na szczęście jeszcze nie umarł.

Dorobek kulturowy stale narasta, tyle że jednocześnie biednieje, a jak się komuś to nie podoba, to niech wyp...a. ©©

„Dobroć” brzmi całkiem archaicznie, zupełnie jak „pocziwość”.

Pocziwy może być jakiś dziadek, który stracił znaczenie

i którego można co najwyżej poklepać po ramieniu.

Ze „skromnością” jest podobnie

kojarzyło z jednym... Człowiek wykształcony XXI w. nie da się w to wkręcić.

A kto by dziś zdenerwowany mówił: „Precz!”. Jak się wkuri, tzn. wkurzy, to raczej powie, żeby z tym wyp...ć lub żeby to je...ć. Ojoj, nie bądźmy zbyt delikatni, to już przecież standard językowy, a nawet, jak powiada pewien euro poseł, część dorobku kulturowego. W kategorii mało rozumiałych archaizmów występuje też wspomniana „delikatność”. „Delikatny” może być w reklamie serek lub papier toaletowy. Ale jako sposób reagowania na drugiego człowieka? Tak już się nie mówi. Kompletnie nie wiadomo, o co

Ze „skromnością” jest podobnie.

Jak ktoś chce być skromny, to niech sobie stoi w kącie i się nie odzywa. A jeśli chodzi o zdejmowanie odzieży, to w ogóle jakieś nieporozumienie – niech każdy robi, co chce. Nikt nie będzie tu niczego narzucał, kto z kim i dlaczego. „Pokora” to też niedzisiejsze słowo. Dawniej ktoś potrafił dowodzić, że pokorne cięły dwie matki ssie. Ale dzisiaj? Tak jak „skromniś” – niech sobie taki ktoś siedzi cicho. „Honor” sprawia problemy, bo nie wiadomo, przez jakie „h” to się pisze.

Słowa „wstrzemięźliwość” należy się wystrzegać, bo można sobie język połamać, a poza tym jesteśmy „warci więcej”, „uczymy

RATUNEK



FOT. W. LEPOWSKI / LUDYJANSKAW. SIOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdy zalało Houston w Teksasie oraz gdy huragan zmasakrował Florydę, to nie była niczyja wina – przyroda. W obu przypadkach władza była przygotowana na atak żywiołu, choć nikt nie wiedział, czy huragan zagna wodę na ląd czy skręci i pójdzie w morze. Z sąsiednich stanów pożyczono masę sprzętu ratowniczego oraz ekipy. Czekwały zaparkowane. Wozy ratownicze, pompy, generatory prądu, zapasy ropy do tego sprzętu oraz benzyna dla ludzi, zawodowi ratownicy. Wszystkemu stało, czekało i ruszyło do akcji zaraz za plecami huraganu.

Poza akcją ratunkową organizowaną przez władze ruszyła też akcja indywidualna – pogardzane przez demokratów „hordy rednecków”, coś w rodzaju naszych „narodowców i kiboli”. W USA miliony ludzi mają broń, amunicję, własne wozy terenowe do polowań, łodzie i prywatne lawety, by te łodzie przewozić. Społeczeństwo jest uzbrojone i wyposażone w sprzęt pozwalający przetrwać w dziczy. Ten sprzęt stoi przy domu, gotowy do akcji w każdej chwili. Kto ma łódź, nie zdejmuję jej z lawety, nie odkręca silnika i ma zawsze na tej łodzi zbiorniki zatankowane do pełna plus zapas w kanistrach. Kto lubi polować, ten ma zawsze w skrzyni na pikapie sprzęt podstawowy: buciory, kurtki, siekiery, paliwo, wodę, zapałki, latarki, racje żywnościowe. A skrzynię z bronią i amunicją trzyma w garażu. Wystarczy, że kumpel rzuci hasło: „To może się dziś puścimy na małe polowanko?” i w ciągu godziny są w drodze.

Tysiące pick-upów z doczepionymi łodziami i masą sprzętu survivalowego ruszyły natychmiast w stronę zalanego

Houston. Pospolite ruszenie, którego nikt nie musiał organizować – myśliwi, wędkarze, awanturnicy, czyli „horda rednecków” – pojechało ratować rodaków. Byli równie skuteczni jak służby zawodowe. Czasami bardziej, bo podejmowali działania niesztampowe, z brawurą i fantazją, której nie ma zawodowy strażak. Strażaka uczy, jak działać bezpiecznie, i na niektóre pomysły strażak nie wpadnie – za dużo wie o tym, co się może zdarzyć... No np., gdyby ktoś próbował wpłynąć łodzią motorową do zalanego tunelu. Redneck nie myśli o takich duperelach jak „możliwe zagrożenia i ich konsekwencje”. Redneck nie wie nic o tym, co się może dzieć w tunelu, przez który nadal płynie rwąca woda.

Tamto pospolite ruszenie było bardzo skuteczne i potem gubernator dziękował „tym wariatom”. Niewielu słyszało te podziękowania, bo byli już wtedy w drodze do domu, lizali rany, pili piwo i śpiewali te swoje „prymitywne nacjonalistyczne piosenki country, gdzie zawsze w refrenie musi być »America, Ameeerica!«”.

Druga poprawka do amerykańskiej konstytucji gwarantuje każdemu obywatelowi prawo do posiadania broni i amunicji. Druga poprawka to nie tylko prawo do samoobrony przed bandytą i napastnikiem, lecz przede wszystkim przed wyrodną władzą – ta poprawka gwarantuje narodowi prawo do zbrojnego buntu, czyli do insurekcji. Została uchwalona

w tym celu, by w razie potrzeby lub konieczności naród mógł własnymi siłami obalić tyranie władzy. W Polsce ani nigdzie w Europie nie ma takich zapisów w konstytucji, dlatego obywatele nie mają sposobu, by obalić tyranów, głupków lub szkodników siedzących u władzy. Nie mamy narzędzi, by obalić Tuska, Ursulę lub Łukaszenkę. Jesteśmy bezbronni, bo wybory „demokratyczne” i proces wyborczy kontrolowane są przez te same władze, które chcielibyśmy obalić.

W trakcie powodzi broń jest użyteczna także przeciw szabrownikom i innym bandytom. Gdy państwo przestaje działać i policja nie ma jak dojechać, musisz sobie radzić samodzielnie. Gubernator Florydy przypomniał swoim obywatelom o prawie do obrony życia i MIE-NIA. W miejscach zagrożonych przez szabrowników szybko pojawiły się domowej roboty tablice z napisami: „You loot – we shoot” („Tu się strzela do szabrowników”). W Houston podobnie.

Na co dzień, gdy czas spokojny, ludzie wieszają na domach tabliczki w tonie dowcipnym, ale przekaz jest ten sam: „W tym domu z drugiej poprawki korzystać potrafia nawet dzieci. To się weź zastanów, zanim się tu włamiesz”.

W wielu miejscach w Polsce prawo i państwo przestało działać, a władze (na odległość) radzą, by sobie ludzie radzili

sami, jak kto potrafi, bo władza nie potrafi. Dziękujemy za te świetne rady, premierze, marszałku, ministrze, wojewodo... Na co dzień, gdy czas spokojny, jesteście nam do niczego niepotrzebni i tylko przeszkadzacie normalnie żyć. A w czasie, gdy moglibyście się wreszcie na coś przydać, albo was nie ma, albo nadal przeszkadzacie swoją głupotą, wredotą, niekompetencją. Potraficie ludzi wnerwiać nawet za pomocą zupy szczawiowej – wyczyn!

Nysa uratowana przez mieszkańców. Oławę ratują mieszkańcy. Kobiety, dzieci, mężczyźni, ochotnicy. Nie rząd. Marszałek Sejmu pyta dziennikarza, co zrobił w sprawie zbiorników retencyjnych. Dziennikarz zrobił dokładnie to, co do niego należało, czyli ZADAŁ PYTANIE o zbiorniki retencyjne, bo na tym polega obowiązek dziennikarza. Z kolei marszałek nie zrobił tego, co należy do obowiązków marszałka, czyli nie wypowiedział się przed dziennikarzem i narodem z tego, co on zrobił w sprawie zbiorników.

Drugi zamach na Trumpa. W Polsce komentarze głupie o tym, że w USA ludzie mają za dużo broni i stąd to wszystko. Bzdury. Broń to narzędzie, a zły człowiek potrafi zabić także legalną siekierą. I kolejne komentarze też bzdurne, że Trumpowi słabo idzie z Kamalą. Gdyby mu słabo szło, nie byłby potrzebny drugi zamach. Za drugim razem strzelać zamierzał dobrze poinformowany aktywista Partii Demokratycznej, był w Waszyngtonie, był w Kijowie, rekrutował ochotników na wojnę ukraińską, no i zwalczał Trumpa, a teraz jest dumny, że chciał strzelać, i uśmiecha się do kamer, gdy go filmują po udaremnionym zamachu. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~869~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL:
„SKRADZIONA TOŻSAMOŚĆ. POLSKIE
DZIECI W RĘKACH NAZISTÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

401,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 468 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl b525c47aea

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



BIERUT – KRWAWY PIONEK STALINA

Gra przeciw Polsce – Bierut zrobił karierę w zaskakujących okolicznościach. Dla Stalina był dużo wygodniejszym narzędziem niż Gomułka

Czeski potop – Wielki bunt trawiący ziemie polskie zachęcił sąsiadów z południa do zorganizowania łupieżczej wyprawy. Polska stanęła wówczas na krawędzi zagłady

Hitler w okopach – Nie był ani tchórzem, ani herosem. Wojenna opowieść przyszłego Führera to w dużej części wytwór jego własnej wyobraźni

Z okładek „Vogue’a” do Dachau – Lee Miller wiodła kilka żyć. Najpierw zachwycała urodą, a później szokowała obrazami ukazującymi okrucieństwo wojny

Pogrom pod Cuszimą – Rosyjskie okręty były bez szans w starciu z japońską flotą. Klęska na Pacyfiku była dla Mikołaja II wyjątkowo bolesnym ciosem

Czytelnicy go kochali – Wańkowicz potrafił poruszyć czytelników i zyskać ich miłość. Przed nim był tylko Henryk Sienkiewicz. Po nim już nikt

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**